

2816

BIBLIOTEKA

Delegacji R. P.
w Charbinie.

Dział. ~~4~~. No. ¹~~24~~.

2. 7.

Konsulat
~~Rzeczy~~spolitej Polskiej
w Charbinie

WzF, °



**Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charbinie**

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO;

- Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza.** Powieść. Wyd. drugie. 1921.
Walka z Szatanem II. Zamieć. Powieść. Wydanie drugie 1921.
Walka z Szatanem III. Charitas. Powieść. 1919.
Aryman mści się. — Godzina. Wydanie drugie. 1911.
Biała rękawiczka. Sztuka w 3 aktach, z prologiem i epilogiem. 1921.
Dla młodzieży. Książka I. 1921.
Dla młodzieży. Książka II. 1921.
Duma o hetmanie. Wydanie czwarte. 1920.
Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.
Echa leśne. Wydanie nowe. 1920.
Inter Arma. Warszawa. 1920.
Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.
Opowiadania. (Doktor Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.
O przyszłość Rapperswilu. Kraków. 1912.
Organizacja inteligencji zawodowej. Warszawa. 1919.
Początek świata pracy. Kraków. 1918.
Ponad śnieg bielszym się stanę. Warszawa. 1920.
Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. 3 tomy. Warszawa. 1919.
Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.
Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa. 1918.
Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.
Rozdziobłą nas kruk, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami St. Janowskiego. 1905.
Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.
Sen o szpadzie. Kraków. 1914.
Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane. 1916.
Siłaczka. — Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5.). 1907.
Słowo o Bandosie. Wydanie nowe. 1920.
Sułkowski. Tragedja. Wydanie drugie. 1910.
Szyfowe prace. Powieść. Wydanie szóste. 1922.
Uroda życia. Powieść. 2 tomy. Wydanie drugie. 1920.
Utwory powieściowe. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910.
Wiatr od morza. Warszawa. 1922.
Wierna rzeka. Klechda. Wydanie trzecie. 1921.
Wisła. Warszawa. Wydanie drugie. 1920.
Wszystko i nie. Warszawa. 1919.
Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

**Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charbinie**

WIATR OD MORZA

Nr. 124.

STEFAN ŻEROMSKI

WIATR OD MORZA

WYDANIE DRUGIE

Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charkowie

Nr 124

9816

WARSZAWA MCMXXII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Prawa autorskie co do przedruków, tłumaczeń i t. d. w Rosji
zarezerwowane na zasadzie ustawy z dnia 3 kwietnia 1911 r.
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twenty two.

№ 5605

5124



I - 2843

BIBLIOTEKA
Konsulatu R. P.
w Charkowie

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

**Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charbinie**

Ofiaruję ten utwór córce mej

MONICE

z gorącym życzeniem, ażeby

GDY DOROŚNIE

nie znalazła już śladów Smętka

na ulubionem jej wybrzeżu

**Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charbinie**

Ujrzeni nareszcie bielejące brzegi. Wśród nocy ciemnej śnili o tym widoku na dnie dwuzagłowych statków, obitych skórą fok i białych niedźwiedzi, jeleni, odyńców i byków, — pośród tarcic napuszczonych smołą, gdy woda zamarzająca igłami kłuła golenie, a wicher morski zapierał oddech w gardzielach. W kolisku rozbestwionej burzy, gdy nagłe ryki i ponure łoskoty wybiegały z przepaści między wyniosłemi bałwany, jakgdyby łono ziemi pod niewolą wiekuistą wód głębiny zawarte przychodziło do głosu, śniła im się, — której jeszcze nie deptali, — garbata i od lasów rozchwianych falująca susza. Gdy wały niezmierne, chytrze, jak rozjuszony i z zemsty oszalałe zwierzęta, szły z nieskończonej oddali, ażeby pod burty znagła się podsadzać i na płask rozpościerać czarne żagle po przepaścistej wodzie, nie drżało serce wojowników i ręka ich nie popuściła szuta, liny przywiązanej do żagla. Gdy wyspy trzęsły się w posadach od uderzeń jakoby młota śtoleńców, gdy huk i świst powietrza płoszył sen z oczu ludzi pod niskimi powały, w ciemnych izbach rybackich, najeźdźnicy drzemali spokojnie na dnie łodzi, ukołysani od rzutów z góry na dół, od smaku soli i zapachu smoły. Uszy ich ogłuszone od huku zaczynały słyszeć teraz nanowo, — oczy przy-

uczone do barwy trupiobladej fali wchłaniały z niewysłowioną rozkoszą stałe smugi ziemi nad kątowiskiem zatoki, — płuca ich, przywykłe do wchłaniania olbrzymiego powietrza w morskich przestworzach, oddychały z ulgą w niemych okręgach małego morza. Radosny okrzyk fruwał teraz z łodzi do łodzi, jak złowieszczą rybitwa. Pokazały się dalekie, płaskie doliny, żółte smugi urwisk wysokich, góry piaskowe, strome gliny, które odziewa porost prastarego lasu, — i białe, gołe cyple, wchodzące daleko w wody.

Chytrze chwytając w szaty żagli wiatry sprzeczne, szerokie i ciasne, na każdy nastawione podmucha, i ze wszech sił pracując paczynami, dotarli do lodu, co opancerza haki i niskie piachów osady. Dzioby korałbiów worały się między lody, które rozgarnęła na strony słodka woda strumienia, z lądu idącego zakosem, — i w zatory strzyży, poskładanej przez północną flagę. Wydzwignąwszy czoła łodzi na lodozwały brzegowe, przywiązali je mocno do obmarzniętych pniów nadbrzeżnych linami z kręconego rzemienia. Wdziali hełmy wysokie. Porwali ze swych statków długie topory, przypasali naostrzone miecze, zawściągnęli pasy czerwonych puklerzów i ku lądowi pobiegli.

Dźwięczał nareszcie pod ich zdobywczym sandałem lód, zasklepiający niziny! Pięta uderzała o grude calizny! W prawo i w lewo słały się gliny, rozmazane przez zawieje i pluty, oślinione przez piany bałwanów. a w czasie upału zeschłe w twarde skorupy. Badyłe porostów i korzenie żarnowca wymarznęte do ziemi, krzaki głogu dzikiego, iwiny i tarek plątały się pod stopą pędzącą. Wysoko nad odpłuczyska poziomem

wznosiły się brzegi, barwione żółtymi i śniadymi wstęgami uwarstwień. Strome pęknięcia rozdierały tam, w górze, jednolitą wyniosłości caliznę. Pieczary i jamy, które morze w ciągu stuleci wyjadło, otwierały się w brzegów martwicy, jako gościnne koleby. Na szczycie góry tak wyniosłym, że szum morza do połowy osłabły ku niemu przypada, szamotały się w wichrze barwne sosny. Czerwone ich pnie były strzeliste i gładkie, czuby ubarwione najczarowniejszą zielenią. Zdawało się pędzącym wzgórze, że te puszcze czatownice i wysłanki cichych lasów, śpiących w spokoju lądowej zimy, podają hasła na trwogę, że swe korzenie chcą wysiepać z nad przepaści i że krzyk niemy szamoce się i wyrывa ku swoim w ich splątanych gałęziach. Gdy napastnicy gromadą dzikich i ponurych atletów na stromy wierzchołek wypadli, szukali na wsze strony oczyma mieszkań ludzkich. Nienawidzili osiedzieli tej strony, zanim ujrzeli dym ich ogniska. Nienawidzili ich pracy i ich snu pod odymionymi belkami i pod zczerniałym sosrębem, który praszczurów dzieciństwo życie i zgon zamierzchły pamięta. Nienawidzili ich pokory i wybiegających z pokory względem ludzi, podstępów nieskończonych względem zwierząt, ryb, ptaków i owadów.

Ujrzeli widne zdala na cyplu Oxywia grodzisko. Czuli pod zdyszanymi żebrami, ssanie żądz. Jak rude orły wlepili oczy, chciwe rzezi i zwycięstwa w strze-listy widok zamku, w drewniane wieże i strzechy, ostrokoły, ościenie i zasieki, sterczące na kępy kra-wędziach, ponad morzem zielonem i ponad szeroko rozpostartym na tyłach moczarem. Oto pochwycili na-

reszcie oczyma cel swej drogi dalekiej poprzez wichry, mroź, deszcz i przez niezliczone morskie denegi. Otrok posłuszny, huragan, zdradziecko wegnany i zagarnięty w żagle, przypchnął ich do przyciesi i dachów, które niewolnicza praca ścięła w boru, obrobiła i ku obronie dźwignęła. Jaskrawa północy gwiazda wskazywała im w mroku szlak prosty na morzu do tego urwiska klęski niechybnej leśnych łązęgów, rolników, pastuchów i rybaków. Sprzymierzeńcy oceanu dzikiego już widzieli w pospólnem marzeniu wielobarwny ogień szybujący chorągwaniami przeguby ponad krzepią Oxywia. Zapragnęli wraz wszyscy rozkoszy morderstwa i widoku męki pobitych, gdy można będzie ze śmiechem polować na uciekającą trzodę mieszkańców, dopadać mieczem dziadów struchlałych, jak prosięta zakłuwać dzieci, ciosem skracać płacz matek szpetnych, a hoże wlec za włosy, — gdy na ofiarę północnym bogom będzie można zarznąć dziesiątą część jeńców, a złupiwszy wszystko, odpłynąć w łunie wspaniałego pożaru domostw i lasów, wśród pieśni tryumfalnej, ku innym, nowym, nieznanym wybrzeżom. Popadli w niszczycielskie rozjuszenie. Dali się porwać furji krwiożerczego instynktu. Panczerze z błota walki krwią obmywać! Wyrywać szponami wnętrzości z brzuchów, nożem rozdartych! Wykłuwać starannie źrenice omdlałe, z lęku oślepe, błagalne! Odłamywać żebra aż do bioder, jako badyle, ażeby rana piersi tworzyła podobiznę rozpostartych skrzydeł orła! Mieczem płaść przyłbice i żywcem skalpy zdierać z czaszek wojenników pojmanyh! Oстрыm toporem odcinać prawice wzniesione do walki, jako odszczepy drzewa w boru!

Oszczepem z wątlęgo drzewa wiązu o grocie zatrutym
otwierać rany, kwitnące, jak róże! Słuchać dzikiego
pisku niedorosłych dziewcząt, na ziemię między zdo-
bywców rzuconych! Spać głucho w zapachu krwi go-
rącej, co zaleje podłogi i skrzepnie pod progami zdo-
bytego grodziszcza, spać głucho na jęczących łonach
kobiet z powiązanemi rękami!

Gdy ze wzgórza w płaską dolinę runęli i prze-
biegli pażycę szeroką, moczarem czarnym i grzęskim
zalaną, rozległa się w ich szeregach saga skalda
młodego.

Wrzało w tej pieśni męstwo nieustraszone wszego
wojska i pasya wszystkich wikingów, szukająca nie-
bezpieczeństw najazdu i podboju, zwycięstw w śmier-
telnych zapasach i samej nawet klęski. Pieniła się w jego
pieśni nieposkromiona siła, dziko wyła rozpacz poko-
nanych i bezmyślnie szalała radość. Wyrывało się z jego
pieśni ponad wszystko dumne piękno łamania wszel-
kiego zakazu, niweczenia przeszkody, imania nieulekłą
prawicą wszystkiego, co istnieje. Słyszeli wszyscy w tej
pieśni pochwałę wilka, idącego po strawę na pole ludz-
kiej walki, i pochwałę ptaka kruka, który za zdobyw-
cami polata na pobojowiska, pełne trupów bezwładnych,
bezsilnych i śmiesznych.

Porywał, podniecał, unosił i gnał znowu pędzą-
cych jutów, ni to bat świszczący, śpiew skalda mło-
dego. Wiekuista młodość i zawsze ta sama a nigdy
nieubytająca żądza w nim płonęła. Słyszeli zzewnątrz
przylatującą, a wewnątrz siebie samych na wezwanie
zaczajoną furję, ażeby służyć wiernie rzemiosłu swemu,
morderstwu, ażeby zwyciężać ludzi dla samego zwy-

cięstwa, a klęskę dla samej klęski ponosić. Pili z jej pieśni nie napój, lecz samo nigdy nienasycone pragnienie widoku wiekuistej walki człowieka z człowiekiem.

Przyskoczywszy zaś do samego płaskowzgórza stromemi taflami, zlatującego w piany morza, ujrzeni ludzi zaczajonych nad urwiskiem. Wódz Rōrik, utworzywszy w oczach słowian równy zastęp ze swych wojowników na płaskim brzegu, kazał na wroga uderzyć. Leżąc na skraju góry w zaszczytce swych tarcz skórą obciążonych, obrońcy rzucili na zdobywców olbrzymie głazy, śniaty drzewa, wylewali wrzącą smołę i ukrop. Pod zasłoną puklerzów jutowie ustąpili aż do rzeczki. Wtedy obrońcy, rozwarłszy bramy grodziszcza i wiszące mosty spuściwszy, rzucili się w pogoń za nimi. Lecz tu w gwałtownem natarciu pobici zostali na głowę. Wtedy to jeden z Kaszubów wystąpił poprzez szeregi i wyzywał Jutów do walki jednego przeciw jednemu. Był to wróż, czy czarownik, osobliwy wśród innych ze względu na wzrost i budowę ciała. Włosy jego były w warkocz splecione. Na sobie miał białe skóry wyprawne, pancierz na piersi z rogów kopyt końskich, jako łuska karaceny naszytych, a w rękę młot olbrzymi, kamienny. Wódz Rōrik przystał na spotkanie z umową, że skutkiem zwycięstwa Słowianina będzie odstąpienie od zamku, a w razie zwycięstwa rycerza Jutów nastąpi oddanie grodu. Na spotkanie kaszubskie wyszedł najmężniejszy, najdzielniejszy, niezwyciężony młodzieniec, Oleg, bohater. Słowiański wróż, czy czarownik, podbiegł ku niemu, podniósł swój młot kamienny i od jednego ciasu zabił Dana. Słowianie

przyczajeni na wałach grodziszcza, — gdzie za nasypami ludzką rzuconemi ręką, tała się woda, wyniesiona aż do połowy urwiska, — wydali okrzyk radości. Jutowie, stojący na brzegu wokoł wielkiej łodzi Rōrika wydali okrzyk zgrozy i zemsty. Wśród wrzawy dwu woisk, wyzwisk i zniewag czarownik przechadzał się tryumfując. Wówczas z zastępów Rōrika wystąpi inny wojownik, Fortinbras, znający czary. Wróż słowiański wyciągnął ręce i skinął przytakująco. Począł przed wojskiem swem tańczyć radośnie, tupać i skakać na miejscu, klaskając w dłonie. Wśród uwagi dwu hufców i wielkiej ciszy, tam na górze i tu w dole, wojownicy rzucili się na siebie. Obaj potężni i obaj znający czary, rozdarli swe tarcze, zmiażdżyli szyszaki, zadali sobie nawzajem ciosy tak śmiertelne, że wkrótce obadwaj ranami okryci i krwią brocząc, z głuchym łoskotem na ziemię runęli. Wtedy wódz Rōrik dał znak do zdradzieckiej napaści. Syk mieczów normandzkich, z pochew wyrwanych, zagłuszył morskie szelesty. Blask mieczów waregskich, jak błyskawica zamigotał. Mieliz morskcy rycerze, których dzień upływał wśród boju, a sen wśród gromu i błyskawic, których jedynem zajęciem była żegluga, wojna i rabunek, dochować wiary prostakom, zgarbionym w pracy około zasiewów, doglądania żniwa i omłotu prosa, zabiegów około zbiórki jagód, orzechów i grzybów, otrząsania po lesie dzikich jabłek i gruszek, warzenia potrawy z tłuczonego owsa i leśnego miodu, podbierania jaj przelotnego ptactwa i łowienia ryby?

Drużyna Rōrika pomknęła na wroga, gołą dłonią czepiając się kolców głogu i igieł tarniny, ostrych

bylin charszczu ostrego i kłęczów takrocznego żarowca. Wtargnąwszy na wał sypany, junacy rzucili się wpław przez podmarzniętą kałużę rowu, wydzwigniętego na połowę wysokości urwiska. Kto z niej wybrnął i piąć się zaczął ku ścianom, węglom i zaworom grodu, wszczepiał okrwawione palce w śliską powłokę prostopadłej szklanej góry, co wokół zamku z morskiego wypalona piasku potrzymywała przyciesi szerokie i strome częstokół. Krew wikingów kapała w wody rowu, na lodowisko fosy, ciekła długimi smugami po okrągłych bokach szklanej góry. Chmury strzał leciały z łuków słowiańskich na twarde szyszaki. Ciała nieulekłych berserkierów zlatywały w otchlisko, gdzie kipi ciemne morze ze wściekłą potęgą, gdzie się ciska na hardy przylądek i gdzie czuby pian, po zimnej chlaszcząc glinie, wyśpiewują nieulekłych chwałę.

Od majowego z południa powiewu morze stawało się białe, niby oczy kobiece. Wody jego snuły się same w sobie i bezwładem fal, ciężarem opadania wygładzały piaski wybrzeża, poorane od lodów. Gorący oddech dalekich stron południa kołysał się w gęsiach tych i przybijał do wyziębłych brzegów. Piaski były nieustępliwe, niemal twarde, jak skrzyżale kamienne. Mięka kidzena, zielonawa powłoka zwiędłych wodorostów, wypchnięta z toni, rozpościerała się na wzór kobierca. żeby snadź ostre kamyki, z głębokiego wymiecione odmętu, bosej stopy nie skrzywdziły. Równe, powłoczyste, ciężkie morze, na rewach i mieliznach żółte, na głębinach ciemnomodre, w cieniu obłoków zielone, przeistaczało się w przystań cichą, w rozkosz spojrzenia. Wysnuwało się z błękitu niewidzialne dotychczas, dalekie, jasne pasmo międzymorza. Naprzeciwko niego miłościwym łukiem zaznaczał się szlak mierzci jeszcze mniej znaczny, — ni to plama podłużna w źrenicy, — ład, który wielka rzeka z ziem swoich przez wieki wieków wynosi. Zataczały się ku sobie w źrenicy patrzącej te dwie krzywe linie, jakgdyby rzęsa górna i rzęsa dolna nad okiem niewysłowionej piękności. I otwierało się ku wiosennemu słońcu oko morza wiosenne, nieobjęte, nienapatrzone, samo w sobie

doskonałe. Błękit niebieski i światło niebieskie przeniknęły wody i ziemie dalekie, czyniąc z nich jedyną istotność piękności. Nad ziemią sunęły białe i śniade obłoki. Gdy obłok płynął nad kolebskimi wzgórzami, wąły cień przesuwiał się po zieleni lasów. Tam między jedną a drugą duną gajem sosnowym obrosła, otwierała się cicha dolina. A za doliną wznosiła się duna osobna, którą od podnóża do szczytu pokrył żarnowiec sam, jedyny. Witeczki jego z korzeni twarдых, jak róg pędzące nagiemi różgami, nie miały jeszcze liści. Sam jeno jasnożółty, płomiennobarwny kwiat od korzenia do najwyższego pędu je okrył. I wszystka góra od podnóża do okrągłego, najwyższego wierzchołka stała, jako jeden krzak ognisty, jasnożółta, na wzór słońca płomieniejąc. Zapach traw młodych niósł się z poprzecznych łąk między górami, gdzie Kaczy strumień po kamieniach z lasów spada, ażeby potem cichym błazikiem zataczać się między wierzbami i niepostrzeżenie w żółtych piaskach przelewać swe leśne wody. Daleki odgłos morza uderzał w ciche doliny między górami. Jakby usiłując naśladować piękność i nieskończoną melodyę morskiego szumu, zanosily się od śpiewu słowiki i kosy, przelewając melodye w melodye swoje. A jakgdyby na skutek śpiewu kosów i słowików, wzruszała się śniada i żółta ziemia, gliny i piaski, a z łona jej wonne konwalje tryskały.

Czarny łowiec, który jako skald z orszakami normannów przybiegł był na tę ziemię, błakał się w tych oto stronach. Mieszkał wśród tego plemienia. Na kozle lub dziku przebiegał niezbrodzone puszcze, polując na

dzieciobójczynie. Widywali go drwale pod Budowem i pasterze po Rziszczem, gdy przychodził do ogniska w nocy, prosząc o pozwolenie upieczenia sarniego uda w główniach sosnowych. Na przesmykach i polanach niezmiernych puszczy między Odrą a Wisłą, ponad wysokobrzeżnemi jeziorami, z których stężyczyńskiej głębiny czarownym wężem obok Babidołu Radunia się snuje, gdziekolwiek na wschód i zachód od Wieżycy mowa jednako brzmiała pod dymem bud leśnych i checz na polanach, trwoga padała na ludzi przed czarnym myśliwym. Nadano mu wszędy Smętka imię, Tropił bowiem chytrze młode dziewczyny ponad brzegami głębokich strumieni i nie przepuścił ani jednej, gdy się wśród bólu straszego i w trwodze większej od bólu słaśniała u stromych urwisk czarnego jeziora, szukając dogodnego odmętu, ażeby z kamieniem nieudźwignionym u kruchej szyjeczki cisnąć weń płód, zrodzony sekretnie, wbrew prawom i naprzekór ustawom, świadectwo hańby niezmytej, zbrodni największej, owoc miłości niezwalczonej i nieodpartej męskiej przemocy. Chodził ślad w ślad, — smętny tropiciel, — za ojcobójcami, gryzącymi w siebie na miejscach samotnych wiekuiście nie do zgryzienia zabójczy jad wspomnień o ciosie. Rozżarzał aż do szaleństwa oczywistości pamięć uczynku, podpowiadał fenomeny wydarzenia, potokroć, potysiąckroć przyprowadzał widzenie sprawy w to samo miejsce, w tę samą godzinę i wtedy sekretnym kluczem otwierał w duszy przeklęte drzwi jaskini nieposkromionej żalości, w której się wieczny ogień pali. Stawał niewidoczny a obecny, — sam, — nad legowiskiem synobójców. Nanowo rozdmuchiwał swym

mieszkiem węgle piekielnego gniewu, od długości czasu perzynę okryte, — przygasłe. *Podnosił nawowo rękę, która w furii zamordowała i łagodnie naciskał powieki, żeby oczy płakały straszliwszem ponad wszystko, sensem płakaniem nad zakłęszą, ohydną ziemię, w której leży syn, sekretnie ojcowską ręką zabity.

Rozsyłał z krzaków bzu, gdzie przebywały, podwładne mu krośnięta, karzełki na pół łokcia wysokie, z wielkimi głowami, czerwonymi nosy i w modrem obleczeniu, ażeby po nocy, przy blasku księżyca zamieniały w kołyskach dzieci, podrzucając swe własne potwory matkom, co się wymykały skrycie po za węgły checz dla tajemnej, poksiężycowej rozpusty.

Sam zaś podrzucał mory w ciała bladoliczych dziewcząt, które odtąd przy świetle księżyca wałęsać się musiały, błąkać się po brzegach wód, po dachach i płotach, po stajniach końskich i oborach krów, po zaroślach tarniny, męczyć siebie i męczyć ciężkimi ponocnemi morzyskami ludzi, zwierzęta i rośliny. Sunęły tedy pod powiekami zdrowych i tęgich młokosów, jako ciała nadobne, omdlałe z żądzy, jako rozkoszne nagie omony, widziadła, wyciągające kusicielskie objęcia. Nie było ustawy, nie było zakazu, nie było prawa, któreby przed ich pięknością zaporę postawić mogło. Mocniejsze było niezwalczone widzenie ich urody, niż sam lęk przedeśmiercią.

Podchodził skrycie pod progi i nastawiał miski z jedzeniem, zaprawionem dyablim pomiotem, ażeby baby chutliwe zjadały zadaną strawę i przeistaczały się w czarownice. Gdy zaś którą tak podstępnie zawiadnął, gnał ją z checzy do checzy, by urzekąła ludzi

i zwierzęta, szkodziła na zdrowiu małym dzieciom i uwodziła niewinnych młodzianków. Gdy księżyc ubywający odchodził w gorzki nocny mrok, w głuchą nicość, gdy wicher jesienny jęczał w gałęziach drzew prastarych, siadały przy pościłach kobiet schorzałych, ciężarnych, nie mogących spać, u łóżka matek, co potraciły małe dzieci, wskutek zamachów przedziwnych i ciosów bezlitosnych tajnych chorób, rzucając z głębi nocy bez końca, nocy bólesci, na ich łona łkające wciąż nowe, nieudźwignione ciężary.

Jako chłopiec przecudnooki, jako knop piękności, przewijał się przed oczyma, w myślach i w pożądaniu, które nigdy nie gaśnie, rozkwitających dziewcząt i kwitnących kobiet, wabiąc je w tajne skrytki sekretnej miłości, ukazując poza wszystkimi ustawami świata i związkami rodu kwieciste i woniejące schadzki zacisze. Oplatały się wokół niego wszystkimi pomyśleniami, wszystkim czuciem, zachcieniem i przyzwoleniem, zapredawały mu się po dniu i w nocy ciągłym uśmiechem, szukały go niechcący przez sen nagiem ramieniem, wzdychającymi piersiami i bezwładem nóg rozchylonych. Gdy księżyc w pełni swem czarodziejskim światłem przenikał mgły wiotkie jezior i głębie lasów, gdzie mieszka trwoga, — gdy daleki śpiew słowicy napełniał bugaje, piękne jego przezgrzechy kusiły do marzeń o zakazanej miłości wszystkie serca kobiece, straszyły je widokiem szybkiego ubywania młodości, przygasania czaru, odchodzenia raz nazawsze miłosego wdzięku, — ukazywały niebezpieczeństwo zaniedbania w rzeczy szczęścia i ze wszech sił, wszelkimi sztukami pobudzały żądzę.

Popędzał straszdyła w skórze jeżowej, żeby o ciemnej nocy wpadały z sieni do niskich, czarnych izb, żeby naciskały odymione belki aż do trzaskania — trzask — trzask — trzask, żeby ciężkimi kopytami tupały po powale tup — tup — tup, — żeby chodziły popod okna i czały się za węglami — szur — szur — szur, — żeby gdy spać nie można, zaglądały do pieca i wymiatały na ziemię rozżarzone węgielki. Nasycił się wówczas trwogą, padającą na wycieńczone położnice, na młode mężatki, którym mężowie zgniłą jakością niemoc wtrącili do wnętrza, od czego gasły z dnia na dzień, z nocy na noc, — na samotne dziewczyny za czemś własnem wciąż wzdychające w zaduchu kominów rozpalonych i wśród męczarni nocy nieskończonej.

Wcielał swych wupich, strzygoniów w ciała ludzkie i posyłał ich na chybił-trafił, to tu, to tam, między naród człowieczy. Wybierał między dziewczętami na chybił-trafił, to tę, to ową i czynił z niej stworę wieszczą, upiora, który po śmierci cielesnej nie sztywnieje, lecz czerwony jest i miękki, jak człowiek za życia. Patrzył z pociechą, jak rój wupich i wieszczych wyciąga ze świata i wlecze na cerkwiszcze rodzeństwo, braci, siostry, najbliższych krewnych i przyjaciół, aż do najdalszego pokolenia, dopóki przerażeni ludzie nie wywleką trupa z mogiły, gdzie leży z otwartymi oczami, łypiąc chytrą źrenicą, z koszulą i wszelkiem ruchnem po pas zżartem z głodu, — ażeby mu głowę odrąbać wielkim toporem. Sam zasię najchętniej przemieniał się w stolema, wielkoluda, który stojąc na Zamczatej górze ponad Żarnowskiem jeziorem, ciska olbrzymi

głaz o ćwierć mili w ludzkie siedziby. Nosił na łańcuchu niezmierną skałę z dalekich gór na drodze do Cząstkowa z zamiarem, żeby ją cisnąć w Gdańska bramy, — gdyby go — ba! na tej to drodze pianie kura nie zastało. Tak tedy cisnął skrzyżał na lewą stronę drogi między chojaki — i uciekł. Stojąc kędyś na kępie Oxywia miotał głązy w radłowskie góry, lecz chybiwszy, trafił w morze, gdzie dotąd leżą w pobliżu brzegu, iżby się na nich rybackie łodzie roztraçały.

Mieszkał zasie to tu, to tam, w zamkach zakłętych, — na granicy między Lebkową a Kortoszeną, w Glinicy pode wsią Korne, lub w wielkiem zamkowiszczu pod Gniewinem. Do ludzi ponad jeziorami, którzy starym obyczajem siedzieli w wysokich nad wodą paliszczach, przybywał w gości, niosąc im pokusę, spustoszenie siły, złe i strach. Do dzikich i śmiałych karczowników, którzy prapradziadowską bronzową lub z cudzoziemską żelazną siekierą w dłoni rzucali się w tajne ostępy, ażeby je trzebić, a na polanach wyłuskiwać z ziemi kamienie, wyrwać pniaki, równać i do góry spodem leśną glebą odwracać, — ażeby ziarno prosa i owsa zasiewać, — przychodził jako kupiec, obcokrajowy »gość«, czarno odziany w niewidziane i niesłychane suknie z tkaniny. Okryci dwiema skórami zdartemi z zabitego barana, które łykiem lipy zeszywali, otwartemi z boków i z dziurą u góry dla wdziwania przez głowę, patrzyli, jako na niezwalczoną pokusę, gdy się mienił przed nimi. Mienił się zaś i przewijał, jak kuna, jak kraska, jak wiwilga, jak węgorz w głębinie od lśniącego chińskiego atlasu, którego używanie śmiercią było przez bogdychanów karane, a war-

tość ze złotem się równała poza chińskim murem. Lśnił od zielonego aksamitu, którego ojczyzną były Indje, — od jedwabnego adamaszku z Damaszku i Babilonu rodem.

Stowarzyszał się z łowcami, idącymi pod wrzesień ponurą i niezbadaną bytowską puszczą na rykowiska jeleni. Gdy trwożne łanie zbijały się w gromadki po ośm i dziesięć, kryjąc się w zaroślach przed krasnym trzydziestoletnim rogaczem, ozdobionym koroną rogów rzeźbionych, co biegał wokół z nozdrzami spuszczone ku ziemi, — czarny łowiec z rozkoszą śledził igrzysko. Zaczajony w zaroślach pękał ze śmiechu, gdy dwa najtęższe byki, walcząc samowtór o prawo dostępu do stadka cichych i nadobnych łań, spuściwszy łby, z szaloną wściekłością wieńcami na się trzaskały. Radował się doskonale, gdy każdy z zapaśników odtrącał ciosy przeciwnika z niewidzianą zręcznością, a uderzał w odwet z furią niesłychaną gałęziami ocznemi, ażeby wroga rozedrzeć. A rozkosz widza dosięgała zenitu, śmiech jegu brzmiał na całą puszcę, jakoby hukanie puchacza i jakoby pisk kani, skoro walczący rywale tak splątywali się wśród uderzeń wieńcami, iż żadna już na ziemi siła nie mogłaby rozwikłać i rozłączyć obłych odrośli, pokrytych zahaczeniami drobnych pereł. Stojąc tak pod cieniem milczących dębów, bez możności schylania pysków do trawy, która u kolan ich pachniała, połyskiwali na się ocznemi świecami, miotającemi nienawiść za dnia i w nocy, walczyli rykiem, aż póki wycieńczenie zupełne po dniach i tygodniach nie zwałało obudwu zalotników na ziemię i śmierć straszliwa z miłości i głodu nie zakończyła ich boju. Czarny łowiec wdzierał się z towarzy-

szami w najgłębsze mateczniki, gdzie w mroku leśnym śniły wody posepnych wdzydzkich, sumińskich i kruszyńskich jezior, nad których brzegami, wśród ostrowów i długich zalewisk, idących w kraj, — w niskich zaroślach, przebywały rogacze, oczekujące na stwardnienie wieńców, karmiąc się bukwią i żołądziami, wrzosem, mchem i zielenią pędów. Łanie, przewodniczki stada i młode jelonki, które jeszcze nie widywały ludzi, nie uczuwały lęku na widok dwunogów o bladych twarzach. Zbliżały się ufnie i z ciekawością, spoglądając na przybyszów naiwnymi cud-oczyma. Dopiero gdy ostro zacięte pocioski, niechybiającą rzucone prawicą, gasiły ich ufne oczy, wykluwając jasne płomienie podłużnych źrenic, a okrutna sulica przebijała grotem nawylot serce przeczyste, rzucały się z nad Czarnej wody do ucieczki zarówno stare, samotnie żyjące wielkorogi, jak białoplamiste cielęta i tkliwe matki, które zwykły na mocy wrodzonego im geniuszu bohatersko za potomstwo umierać. Gdy stado uchodziło co siły z rodzinnej ostoi, czarny łowiec pędził za niem na czele szczwaczów, spuszcających srogie psy ze smyczy. Zawziętość jego rosła w biegu, gdy pędzący myśliwce mijali wzgórza i doliny, okrążali jeziora, wskok przebiegali lasy, przepływali rzeki i przesadzali strumienie. Ludzie przeistaczali się w psy zaciekle, a psy zapożyczały wściekłości od ludzi. Jedni i drudzy nie pierwaj spoczywali, aż dymiące od żaru jelita i krwawe narogi wydarli z rozszarpanego brzucha wielkiego jelenia, a czarny łowiec potężnymi rękami wyszarpał serce łani, ażeby patrzeć w nie ze wzgardą, miłością do potomstwa nawet po skonie bijące.



Zimową porą, w tęgie mrozy, gdy stada turów po czterdzieści i pięćdziesiąt w gromadzie wychodziły z mokradeł na miejsca suche i bardziej wyniosłe, ażeby szukać paszy pod śniegiem, wygryzać korzonki roślin, głodzić pąkowie jesionów, korę i gałązki drzew liściastych, czarny łowiec sunął zcicha na łyżach za towarzyszami wyprawy, dla podpatrywania potężnych łowów zimowych. Czając się za pniakami, lub ukryci, w widłach i wśród konarów dębów i buków, trzymali kusze w pogotowiu. Otrok wstępował w strzemię kuszy ze drzeniem serca, wciągał korbą lub hakiem cięciwę grubą na palec, skręconą z jelit baranich, czy splątanego rzemienia, zakładał ją na chwyt i trzymał łożę w pogotowiu do strzału. Szły bowiem stadem niemałym płowe brodacze i potężne krowy, wstrząsając grzywami i wietrząc nieprzyjaciela. Ze drzeniem kładła dłoń łowcy bełt o grocie w widły rozdartym na osadzie kuszy i brała na oko cisowe łożę samostrzału. Gdy gruby byk, przodownik stada, zbliżył się na dwieście kroków, chciwe palce pociągały za spust kuszy i miotały, w ślepiu ukryte pod grzywą, w schylone łby i garb karków niechybny pocisk, który deskę na wylot przebijał. Trafione szeregiem pocisków zwierzęta tarzały się po ziemi, krwią zalewając jasne śniegi, albo z bólu szalone gnały, oślepi ku kryjóvkom człowieczym.

Lecz sława podniecała junaków do walki sam na sam ze starym turoniem, czterdziestoletnim pojedynkiem, w samotności zdziczałym, który sunął osobno, nie znosząc obok siebie tworów żywych. Samotrzeć wychodziły na byka młokosy z napiętymi kuszami z oszczepem i zegadłem. Patrzyli spokojnie, gdy ryczał

na smugu jasno-bury, a ciemny po boku, do graba i buka podobny, jak dąb obwieszony kudłami. Czekali w milczeniu, cierpliwie, gdy się jurzył, darł ziemię kopytem, a schylał w zagaju łeb gruby i rogi skrzywione nastawiał. Patrzyli spokojnie na brodę, zwisającą z podgarla, jak trzęsła się w furii, na grzywę, co na pierśsiach, na łbie, na ramionach jeżyła się wściekle. Patrzyli, jak ciapał żuchwami, i czarnego zadzierał ogona. Podnosili wraz kusze i, wytrwale zmierzwszy, miotali wraz groty, ze świstem cięciwy w złe ślepia. A gdy runął z kopyta i gnał z rykiem, w nich, prosto, przezwalałem, uchylali się skokiem za drzewa. Miotali weń oszczep z żelaznym na końcu dziurytem. Podbiegając doń z boku, uderzali go po łbie maczugą, nabijaną krzemieniem. Gdy prawego doścignął w podskokach i zajechał po kozuchu porożem, gdy go wrzucił na siebie, w powietrzu zawinał, o ziemię roztrącił z wysoka, gdy tratować go zaczął kopytem, kopać racią poślednią, podrzucać i znowu kości łamać deptaniem, a rogiem, rozdarłszy mu wnętrze, wywłóczyć jelita, — jęk puszczał przeszywał. Lewy rzucał się skokiem, do boku turowi przylegał, szpony dłoni, zapuszczał mu w kudły na karku garbatym, z nim razem pomykał w podskokach, lewą dłonią dziesięćkroć bił w serce zegadłem. Wlókł go turoń przy sobie, po chróstach i dołach, o pnie buków rozbijał. Trzeci stał mu na drodze z rogacina, w grudę ziemi zabita. Przyczajony za ostrzem niezłomnem, przyklękły, na skok czekał szalony, ostatni. Zjuszony od walki, narzucał się mężnie tur wyższa. I wbijało się ostrze rogacze we włochatą pierś zwierza. Krew bujnemi wybuchy zalewała

cne śniegi, a wielkimi soplami oblepiała mu brodę prastarą. Wówczas lewy ostatnie, po rękojęść zatapiał zegadło.

Chwiał się turoń na widłach rogatych, motał głową w szaleństwie.

Nie mogąc racicami ziemi dostać, nabijał się na ożóg coraz głębiej, całym cielska ciężarem. Ślepia mu bielmem zachodziły. Umierał.

Z głębokich ostępów Smętek wychodził w puszcę ciepłą, pomiędzy bartniki i zasiewał wśród nich niezgodę, kłótnię, swar, bitwę na śmierć, ucząc ich swoimi sposoby łamać prawa, łączące ich od prawieku w społeczność. Przybywał, jako bartnik wędrowny, z obcej i dalekiej strony, posiadający, jak się patrzy, długo bartnicze, leziwo splecione z lipowego łyka, uzysk do siadania na bartnej sośnie i leżało kształtu podkowy. Nikt z najwprawniejszych lepiej od niego nie pachał dookoła drzewa, nikt zmyślniej nie tworzył strzemion, w które nogą wstępując, bartnik wznosi się w górę, nikt wprawniej nie zwisał na wbitym chmalu, nie zakładał kurzyska, nie wyrabiał doskonałej czterostopowej dzieni, w stuletniej sośnicy, — nie umiał celniej wygotować oka i snozy dla wejścia i wylotu pszczelnego owadu. Lecz nikt też, oprócz niego, nie śmiał i nie umiał złośliwiej ośmieszać prawa o nałożonych klejmach prastarych, herbach bartniczych, z ojca na syna nauką i zwyczajem idących, a rytych na wypracowanych podkładach. Kędy ten przeszedł prastaremi barciami, niszczyli sobie nawzajem znaki klejmove, kradli robotę woskową, tajemnie psuli farbę dzieni, palili barci i mordowali same nawet czcigodne, praco-

wite roje. Zadziwiająca to była sprawa, — zdumienie prastarych wodzów rodowych, — iż ów z końca świata przybłąda znajdował zawsze i wszędzie sojusznika w młodości. Umiał w szczególniejszy sposób trafić do ucha nadchodzącego po starem pokolenia. W ogień by byli szli za nim, gdy ich podszczywał przeciwko starym powadze, przeciw prawom, zasadom, uchwałom, obyczajom, mądrym przepisom i wypróbowanym, stokroć sprawdzonym, zestarzałym przesądom. Nie było pomysłu przewrotności, którego by nie wmówił młodzieńcom. Nie było bluźnierstwa, świętokradztwa, głupstwa, którego by za nim nie powtarzali z zaciekleń uniesieniem, twierdząc, że to jest właśnie odrodzenie, nowina, wyzwalająca ze starej zgnilizny. Uczył tych młodych bartników nowych sposobów omamiania bezgrzesznej pszczoły, pokazywał, jak wyrąbywać dzień z kłód i umieszczać je na jasnych, miodem płynących łąkach w postaci stojaków, lub leżaków. Uczył, jak na łakomego niedźwiedzia zastawiać dzwon, czyli samobitnię, — gruby i ciężki kloc, uwieszony na dębowej wici w tem miejscu, którego niedźwiedź jedynie może się ku barci podbierać. Zaczajony z towarzyszami w gęstwinie, tarztał się ze śmiechu po ziemi, gdy niedźwiedź, wlaższy na drzewo, i chcąc zatwor odemknąć, odpychał kloc łapą jaknajdalej, a to ciężkie drewno, wracając na swe miejsce z chyżością wzmożoną ku środkowi, waliło go po łbie i po łapach. Zabawa się zwiększała, gdy zwierz, nie znający praw wychylenia i powrotu wahała w ruch puszczonego pod działaniem siły ciężkości, walczył z natrętnym klocem coraz zacieklej, uparciej, gniewniej, odpychał go precz coraz mocniej

i dalej, wreszcie z całej siły od siebie, a martwa kłada, zapożyczywszy właśnie tyleż złości i potęgi ciosu od rabusia, ile on jej wyładowywał, coraz mocniej go prała w łeb, w kufę, w zębce wyszczerzone i w jarzące się ślepia. Aż nie mogąc pokonać szatańskiego prawa mechaniki, ze zwieruszonym mózgiem, wybitymi zębami i oślepiiony na dobre, walił się łbem na dół, nie skosztowawszy miodu.

Nie mniej zabawne widowisko czynił bartnik Smętek, zastawiając na niedźwiedzia kolebkę, to znaczy kosz lipowy, umocowany na silnym i sprężystym drągu, przygiętym tak do barci, ażeby kobiałka znajdowała się tuż przy zatworze. Niedźwiedź, dolazłszy do barci, siadał z uciechą w napotkanej, wygodnej koszałce, lecz skoro tylko zatwór odrzucił, drąg siłą sprężystości swej unosił go wysoko w górę i daleko od drzewa. Ponieważ grunt dookoła barci nabity był kołami zaostrzonymi, sterczącymi złowrogo, niedźwiedź, nie widząc nigdzie miejsca do skoku, siedział bezradnie, zawieszony wysoko w powietrzu, zastanawiając się nad lotrostwem bartniczem, — aż go młodzieńcy, uzbrojeni w ostre dzidy wydobywali z koszałki. Smętek czynił to wszystko, ażeby między starszyzną i młodzieżą wytworzyć przepaść, ośmieszyć starych, którzy z rogaczem wychodzili starym obyczajem na śmiertelny bój z misiem — ażeby rozdać pychę młokosów, złość i mściwość starców, ażeby zasiać burzę w rodach, która częstokroć na synobójstwie lub ojcobójstwie się kończyła. Sam szedł dalej. W wielkich lasach, pod cieniem niebotycznych drzew śniły błękitne powierzchnie wód, a beztrwożne ryby, jeszcze nie zaznawszy, co może

znaczyć złowieszczy ponad brzegiem kształt dwunoga, wesoło płażały w toni, nim śmiercionośne doświadczenie strach i popłoch przed tym cieniem, jako instykt wrodzony potomnym przekazało. W strugach i potokach leśnych na nieprzemierzonych niecieczach i zasiałkach Noteci, gdzie drzewa z korzeniami wyrwane i wpoprzek strychu wodnego rzucone stawiska wieczne i nieprzerwane stworzyły, towarzystwa bobrów budowały pracowicie swe wymyślne żeromienia. Smętek podchodził, czał się i podpatrywał ich pracę, ażeby je chwycić w żelaza i niewody, Nad nim zaś plamisty ostrowidz, ryś, przytulony do konara i upodobniony do pstrej kory drzewa, czyhał na wędrownie sarny i łanie jeleni, pielęgnujące swe małe. Ciszę głuchą tych łowów przerywało ciapanie odyńców, żrących żołądziej i bukiew w oparzeliskach i gozdach.

Podczas wietrznych dni marca zjawiał się w postaci wędrownego otroka na piaszczystym międzymorzu, gdy cały lud rybacki z żonami i niedorostkami uroczyście wyciągnął na strąd z toni wielki niewód kołowrotny. Ciągnął i on linę, zarzuciwszy szlę przez ramię i podnosił wraz z innymi okrzyk radosny, gdy dwudziestofuntowe łososie rzucały się w ciężkim matni brzemieniu. Zajadlej, niż ktokolwiek, dobijał karkulicami wielkie ryby, skaczące po piasku wybrzeża. Lecz gdy, prastarym obyczajem, następował podział rybitwy na party, — rybak dorosły — cały part, niewiasta dostawiająca sieci — pół partu, dorosły chłopiec i dorosłe dziewczę — ćwierć partu, a dziecina — pół ćwierci, wdowy zaś, chorzy i starcy, którzy żadnego w połowie nie brali udziału, również ich część połowu, —

otrok przychodni podnosił głowę, wyśmiewał stare, dziwaczne prawo i zwał je krzywdą tęgich chłopów, którzy całą rzecz wykonali. Podniecał chciwość ich, dziedziców toni na wielkiem i na małem morzu, ażeby dla siebie samych całki połów zagarniali. Czerwcowe i lipcowe noce trawił z rybakami na czółnie w odległości morza dla połowu wielkich storni i mniejszych gładys bańtek. Zapuszczał wraz z innymi włók z matnią po gruncie chodzącą. Gdy ciemne żagle leniwie zwiślały, a w gwiazdzistym niebie powłoki nieruchome chmurek tkwiły niezmienione, jakgdyby ucieleśnienia tchnień górnego powiewu, mówił tym zasłuchanym prostakom, ciemnym zjadaczom ryby, co życie trawia na swym jałowym, przez burze potarganym przylądku, o dalekich ziemiach, cesarstwach, ludach czarnych i żółtych. Mówił im o straszliwych oceanach, cichych fiordach, niebotycznych górach, na których wieczny lód leży i śnią czarujące, modrowode jeziora, — o gorących pustyniach, poprzez które brną karawany dwugarbnych zwierząt, deptąc kości, zasypane przez piaski latające. Mówił im o prastarych, wielkich miastach, o wojskach, zakutych w żelazo, o bitwach tak straszliwych, iż rzeki krwi z nich wypływają w niziny, — o bogach wszechpotężnych i królach, usiłujących boską władzę uzyskać. Lecz oni, poczytując te gadaniny za baśnie wymyślane przez łgorza, i mało sobie wając bogów albo i królów dalekich, pustynie i góry, dwugarbne zwierzęta i bitwy, — pytali, co jest za temi oto zamglonemi cyplami, co jest tam, za ostatnią smugą ziemi, czego już w najczystszy dzień jesieni oko ująć nie zdoła. Mówił im tedy o przecudnem ostrowisku

Rany, które kredowemi ścianami spada w błękitny morza. Mówił im o Stopnicy kamiennej, górze podziurawionej przez ptactwo, które sobie w niej gniazda wykuwa: — białogłowe mewy, jaskółki i morskie wrony, normandzkie kaczkę i rybne orlice. Opowiadał, iż tam, jak daleko wzrok zasięgnie bałwani się wokół ptactwo i wszędy stoi w oczach, ni to chmura — w uszach zaś trwa nieustanny pokrzyk, klangor, pisk i szelest ptasi, jak gdyby odgłos morskiego przypływu. Tam to, wśród rojów pierzastych, na półwyspie witowskim, w dąbrowie świętej od wieków stoi chram boga Swantowita, czterogłowego syna słonecznego. Ten ci to bóg daje przepowiednie, czy w listopadzie obfity będzie połów śledzi u brzegów, i głosi wyrocznie, kiedy z przystani na zbój szczęśliwy należy wypadać. Rozповідаł, iż tam daleko, za tamtą oto mgłą nadwodną leżą miasta prastare Stargard w ziemi Wagrów, Weligrad i Raróg, prześwietny Wolin, pełen Jutów, Słowian ze wschodu, modlących się żarliwie i czołem bijących przed złotolitemi ikonostasy, i rozmaitych barbarzyńców z południa świata. Tam leżą miasta: Dymin, Kamin, Szczecin, Kołobrzeg... Mówił im, iż za górami, za lasami, w południowej stronie urodzajnej Polan krainy, skąd przywożą zawždy sól i chleb biały, stoją wzdłuż rzeki Wisły świątynie bogini Izydy i cerkwy bożyszca Mithry, wzniesione przez rycerzy z południa przybyłych. Naszeptywał im wraz, tym pracowitym i ciemnym nędzarzom dobre, przyjacielskie rady, żeby samym te wszystkie cuda zobaczyć. Gdy burza zimowa na haki ich brzegu wyrzuci korab przejeżdżających barbarzyńców, — rozbitków nie ratować, a jeśli wywłóczyć na

strąd to po to, żeby ich dobić, obedrzeć i wraz z ciężkim głazem u szyi na niezgłębione zepchnąć przepadlisko morza, — samym sudno opanować, szaty jego potargane naprawić, dziury w kadłubie załatać, smołą zalepić, oręż przysposobić i na zbój morski biec.

Gdy się najstraszliwsza z burz zimowych rozpęta, zachodnim wichrem gnana na piaski wysokie Helu, wzdęte morze w prysk pójdzie, stanie się, jak żelazo i, jak żelazo, zbieleje, — bałwan wielkości jastrzębiej góry za bałwanem pobiegnie poprzez cieśniny trójwyspu, — gdy siła niepojęta ode dna wody zacznie wymiatać, bełty zwierzchnie ponad brzegi ponosić, piaski denne wygarniać, skrętem wiry zawijać nad niedosięgliemi zdradami, — wtedy właśnie cichaczem wyjechać. Płyną ze wschodu na zachód, od Nowgorodu do Stargardu i z Wolina do Gdańska kupieckie okręty, pełne cudnych futer, srebrzystych i białych, niebieskich i czarnych, kozuchów owczych, miodu i wosku, chmielu, wina, czarujących wyrobów ze złota i srebra, z żelaza i bronzu, broni dziwnej i pieniędzy okrągłych, z rytym po dwu stronach obrazem, — pełne koni i zwierząt, — pełne najcudniejszych kobiet — na sprzedaż. Po nocy, w ślełą wicherę i nieszczędną ulewę na pokład się wędzić, straż milczkiem zasieć i wykluć, płócienne skrzydła i szaty zdziurawić, żeby korab nie uszedł, i do swego brzegu wielki kadłub przyciągnąć.

Gdy rankiem w milczeniu, rozmyślający wracali, zęgnął ich skinieniem głowy, pewien, że nie zapomną nauki. Szedł do rozkopujących ławice piaskowe i brodzących wśród mielizn, żeby na bryłę bladego jantaru

natrafić. Ludzie obleczeni w skóry brnęli po pas i po szyję z sieciami w kształcie czerpaków, łowiąc morską kidzenę, żeby ją pilnie przepatrywać, czy wśród traw i porostów nie widać cennej zdobyczy. Trafiali bowiem na różnoforemne, płaskie i podłużne bryły, wielkie, jak dwie pięście dorosłego mężczyzny, a nawet na olbrzymie, o stopie średnicy, — na okazy doskonałej formy, kształtu i rozmiarów dojrzałej gruszki-panny, lub na kule, podobne do kropel stężyłych na wzór owocu morela. Jedne z tych znalezisk miały na sobie powłokę, chropawy nalot z piasku czy gliny, przywarły na głucho, który dla przejrzystości wewnętrznej stanowił szatę złotawą, — inne były całkiem nagie, jakby odłamane od znacznie większej calizny, a w złamaniu swem gładkie i aż do dna czyste, dające się przejrzeć na wylot. Barwa tych dziwotwornych darów morza była przeróżnaita: wiśniowa, jak przezysty miód młody, albo niemal czarna, jako miód prastary, — żółta, niby wosk, lub bława, jako obar żywy, ciekący z sosen na wiosnę. Niektóre odszczepy i ułamki były w kolorze zamglone, mleczone, zielonkawe, brunatne, — niektóre zaś miały w sobie niby naśladownictwo kłębów dymu. Jeszcze inne w nieskalanem swem przezroczu, tały nikłe, białawe żyłeczki, przypominające do złudzenia, w szczególnem zmniejszeniu odnóżki i prążki kapuścianego liścia.

Smętek, dostawszy w swe ręce te lekkie kamienie, siadał na brzegu i przepatrywał ich wnętrza. Zawierały w swej głębi krynicznej komary, muchy, mole, skrzydełka ważek, nogi pajęczków, mrówki, maleńkie, niewidzialne chrząszczyki, ćmy, szczątki kory i gałą-

zek, kwiatuszki, okruchy szyszek, igły przedziwnych sosen, jakich już nie posiada ta ziemia nigdzie, na całym swoim obszarze, kępki mchu, krople wody, ziarenka piaskowe. Nabywca uśmiechał się, patrząc w całkowitą postać łątki nadwodnej, tak nikłą i małą, iż w przezroczystym bursztynie nawskróś przezroczyste było jej subtelne ciałeczko, niczem obszar powietrza określony pewnym kształtem nadobnym. Dumał, iż oto od prawieku, od zamierzchłych dni tego globu mumia jej istnieje i istnieć będzie, łamliwa tak i krucha, — aż do skończenia świata. Przemieniły miejsca swego pobytu łańcuchy gór, oceany i morza, — przesunęły się do innych okolic moreny, wiecznemi borami okryte, — pędziły z gór w niziny rzeki nieistniejące już dzisiaj, — przesunęły się wybrzeża potężne, — lodowce pełzały w ciągu lat tysięcy w niżę dalekie, — a mała ważka przetrwała. Bystre potoki niosły bryłę bursztynu, tłukąc ją o głazy chropawe, obrabiając w kształt kuli, nurzając ją w glinach i iłach, każąc jej zwiedzać pokłady szlamów głębokich, płókać się w głębiach morza, ocierać o paszcze potworów i kołysać wiekami w burzach wielkiego Bałtyku. Mała bryła bursztynu szła może w popławach Prawisły, gdy ku zachodowi zmierziała, Odrą będąc zarazem i Wisłą, w żłobowisku ku morzu niemieckiemu zwróconem, które w miejscu Łaby dzisiejszej wywalało się w morze.

Mała bryła bursztynu kąpała się może w falach tych wielkich wód pradawnych, które przbiegały niezmierne polskie lasy i pola, rozdoły i niziny, — w jeziorach podłużnych, niby rzeki urwane, bez początku i końca, gdzie reszty przedwiecznych wisieł zostały.

Mała bryła bursztynu wyciekła z łona sosny, nieznannej nam i obcej, obok której rosły palmy wszelkiego rodzaju i kształtu, słodkie kasztany, eukaliptus i magnolia, dęby, jałowce i buki.

Gdy ciepła ojczyzna bursztynowej sosny z jej morzami zastygła, zziębła i wymarzała pod lodowcem straszliwej grubości, on tylko sam ocalał, żywy płyn drzewa dawno zmarłego. Do obcej ziemi i do cudzych brzegów przybijał teraz oto, rozbitek ze światów słonecznych, pogrzebionych na wieki. Smętek pozdrowiał wiecznotrwałość łątki małej. Lubował się postacią towarzyski w nieskończonem trwaniu. Żałował jej, iż, tak urocza i zwiewna, nie ma prawa do ruchu, prawa do rozpostarcia skrzydełek, ażeby z więzienia wyfrunąć i narówni z nim samym przestwory wieczności przemierzać. Pocieszał ją jednak pewnem sekretne wskazaniami. Mówił jej, iż w ludzkim plemienu, co się za potężne poczytuje nad wyraz, mocarz niejeden, — sam syn Kambizesa, król nad króle, Cyrus wielki, który potęgę Persów ufundował i nad całą Azyą skinienie swoje rozpostarł, — sam król Dawid, pastuch i monarcha, znawca serca ludzi i wieszczbiarz, — sam margraf Gero, nieubłagany plemion tępicieł i budowniczy nowej potęgi na gruzach, — oddałby połowę państwa i połowę życia, gdyby mógł patrzeć tak oto w kształt najdroższy, nawet zagasły i znieruchomiały, — ten umiłowanej małżonki Kassadany, a tamten w postać syna, przełożonego w miłości ojcowskiej ponad zdobycę i władzę, ponad złoty tron i prawo przemocy nad ludami, — umiłowanego bardziej, niż życie. Któryż z mocarzów nie odrzuciłby berła i korony, byleby mieć

przed źrenicą cień nieruchomy skarbu duszy swojej, zamurowany a widoczny w przezroczystem polu czterech ścianek czarodziejskiego bursztynu? Smętek zachwycał się nieskazitelnością pewnych rodzajów jantaru, która była tak niedościgła, jak czystość wody morskiej w dalekich okręgach żywiołu, — jak jasność słoneczna, — która była tak nieposzlakowana, jak miłość siostry rodzonej dla rodzonego brata, jak miłość siostr Heliad dla Faetona, rażonego piorunem. Sami to bowiem bogowie, litością zdjęci, przemienili siostry, lamentujące po stracie, w topole, a strumienie ich łez w sok płynny, z którego bursztyn się rodzi.

Ważąc na dłoni czułej ten obraz miłości serca siostry dla brata, Smętek, kiwając głową, pocieszał zewłok łątki małej, iż, jeśli nie ona sama, to ten wiążący ją przedziwny kamień Bałtyku, ta niby to martwa bryła, jest istotą żyjącą i czułą posiada duszę. Uśmiechał się, wrzucając do sakwy swej ten kamień bez wagi, ten martwy złom, obdarzony, — jak mniemał grecki filozof, — sercem czującym. Ścisnął w dłoni swej tajemniczy kamień Bałtyku, nie życząc sobie, ażeby ludzie posiadli go i poznali sekret jego duszy, nieznane elektron bytu. Nabywał za drogie pieniądze ten widomy znak zniszczonych lądów i zaginionych potoków wody, pamiątkę czasów, o których sama baśń zgasała, oczywisty i dotykalny plód tamtej ziemi, — *genitum terrae*, — którego nazwę oni po swojemu, w prostactwie swem, na swe własne słowo — *jantar* — przerobili. Jako kupiec z greckiej, czy italskiej krainy południa obdarzał tych ludzi narzędziem morderczem z brązu, połyskującą mieszaniną miedzi i cyny, do

którego oczy ich śmiały się z radosnem pożądaniem. Płacił im również pieniądzem srebrnym, obrączkowym, z rytym obrazem wozu czterokonnego, albo czoła okrętu, z postacią Janusa, Aretuzy, Mitrydatesa z Pontu, Jowisza, Apollina, Herkulesa. Pieniądze te chciwie chwytali i pracowicie, pod sekretem przed czyjsemkolwiek spojrzeniem, zakopywali wnet w ziemię, A gdy pieniądze na miejsce jantaru w ziemi ukryli, poświęcali je czartu na przechowanie. Tedy strzegł pilnie srebrnych denarów, a ciemnymi nocami przesuszał je i przepalał, Kto zaś z ludzi ujrzał ogień przepalających się skarbów, rzucał nożem, albo krypciem z prawej nogi, gdyż wtedy zostawały tuż pod wierzchem. Inaczej na siedem sążni zapadały się w ziemię i sam jeno czart mógł wiedzieć, gdzie się znajdują.

Teraz, w tym przecudnym dniu wiosny Smętek sam jeden wędrował. Brodził po kolana w trawach, w kwiatach się nurzał. Minął dolinę między dwiema siostrzanemi wydmiami. Wszedł na wyniosły szczyt raślowski, gdzie jeszcze ziemia wywrócona leżała na prastarem cerkwisku przy poszukiwaniu przez najeźdźców skarbu praszczurów. Zstąpił w dolinę, zmierzającą ku morzu. Rosła tam iwa nad ponikiem, który z boku góry wyciekał, pojąc brzozy, jaskry i sitowie. Smętek uciął pławinę wierzby młodocianej, oprawił ją, starannie ostukał i wykręcił fujarkę sponad sęczków przyciętych. Zagrał samemu sobie śpiewankę wiośnianą. Słońce napełniło to najpiękniejsze uroczysko ziemi światłem życiodajnem i niknącemi cieniami polotnych obłoków. Równa łąka dno doliny zasłała. Przykre góry ze wszech stron ją obległy, a las ciemny, prastary rozpostarł się

na górach. Tysiąc ptaków śpiewał w gajach, a nad trawami, niby fruujące kwiaty, polatywał tysiąc wielobarwnych motylów. Smętek miał za sobą żółtą górę żarnowca, płonąca jakgdyby stos ognisty, — przed sobą, jakby w objęciu dwu wyniosłych pagórów, miał lazurowe wody morza. Śmiały się migotliwym lśnieniem, mełgały się iskrami żywemi te fijołkowe przepaście. Pochwycony przez melodyę szczęśliwą, która z jego ligawki, jak śpiew ze słowiczej gardzieli wionęła, zakołysał się, zaniósł od melodyjnego płasania. Zatańczył. Od pobraża do pobraża lasu z prawej i lasu z lewej, wpoprzek niewysłowionej doliny unaszwał się w dźwiękach szczęśliwej piosenki, na sprężystych i giętkich kolanach. Zakołysały się nie od podmuchu wietrzyków, lecz od toniki jego uniesionej melodyi drzewa prastare, — dęby i buki, graby i lipy, — słały się w ślad jego płasów poszumy sosen zielonych. Zakołysały się złote głowy brzoź białych, stojących rzędem na leśnym skraju, osnute zwieszonymi baziami. Pochylały się za nim główiny różane i niebieskie młodocianych kwiatów i wysmukłych ziół. Rojem pofrunęły żółte i błękitne, białe i wielobarwne motyle. Tam się w swym locie rzucały ciężkie pszczoły, dźwigając w wolach przelykowych brzemiona woniącej żywicy i pyłów, zlizanych na dnie kwietnych kielichów, których subtelne narządy zdruzgotały nogami, gdzie doskonale piękny rzut jego stopy migał nad zielenią trawy, rosą zmoczonej. Zatoczył nad nim strzeliście krąg doskonale okrągły, świszczący w czystym lazurze jastrząb płomykowany brunatno, który właśnie opił się był ciepłej krwi i nażarł drgają-

cych piersi gołębicy, a teraz czuł szczęście siły niezwyciężonej, potęgę zasilonej dumy i moc szerzenia śmiercionośnego postrachu, łaskę panowania i prawo swe święte do mordu, dane mu w lenno wyższa, — iako wzmożoną doskonałość szponów i czarownie lekką, weselną moc skrzydeł. Wysunął się z pachnącego bugaju wilk rudy, który był właśnie dopadł kotnej zajęczycy, ociężałej w ucieczce, i pochłonał ją wraz z płodem, w smaku rozkosznym, drgającym od żaru matczynego łona. Syk uwielbienia posyłały mu ze swych dziupli jarzębate sowy, morderczynie makolągów, dzierlatek, strzyżyków i sikorek. Wykrzykiwały na cześć jego tańca zgiełkliwe pochwały krasnopióre żoły, które w lot zabijają lekkoskrzydłe motyle i ociężałe żuki. Szybowały za nim jaskółki loty niedościgłymi dla spojrzenia, naśladowującemi jego taniec, wesoło i wśród świegotu pożerając niewidzialny świat muszek i nikłych komarów. Wysunął się z nory lis rdzawy, który miękkimi kroki zaniósł był dzieciom matkę kuropatwę i potłukł ciepłe jej jaja. Wypęła ze swej szczeliny śmiercionośna żmija, która dopiero co nacisnęła pęcherz podzębny o różane, opalone ciało i z rozkoszą przedziwną nasączyła jadu w ranę nóżki dziewczyneczki radosnej, zrywającej żółte kaczeńce w tym czarującym rozdole. Płowa łasica wymknęła się na światło z wypróchniałego pnia wierzby, gdzie potargała piersi i przegryzła gardziołko świętobliwego skowronka, schwytanego w nieomylnie pazury, gdy po ukończeniu natchnionej pieśni w niebiesiech, przypadł do grudki zimnej ziemi, ciałeczkiem jego przygrzanej, aby uciszyć serce roz-

koszą wznoszenia hymnu ponad miarę strudzone. Brunatny niedźwiedź bartnik podźwignął się na swych szerokich podstawach, stanął pionowo i na wzór Smętka zatańczył, doświadczając wysokiej, a rozkosznej złudy i najżywszej swojej radości, jakby w tej właśnie chwili pod osłoną gęstego kożucha, wpośród dzikiej podniety załamywania się w jego skórze zajadłych żadeł i kolców, wydierał całkowitą barć, mieszał prawą łapą miód, wosk i rojące się pszczoły, a chciwie żywą, gorącą masę połykał.

Wzrok Smętka tak straszliwie płomienny i zapamiętały, jakby w nim zawarła się w tej chwili moc wszystkich drapieźnych zwierząt, mordujących ptaków, zabójczych gadów, skorupiaków i ryb, jadowitych komarów, trujących jagód, roślin i grzybów w jedno zestrzelona, potęga trucicieli i morderców, gdy zdobywcz swą rozszarpują, zabijają ukąszeniem, ciosem, podstępem, lub zdradzieckim czyhaniem, — miotał się w górę i na strony, po powierzchni ziemi i morza, padał w głąb utwierdzenia i w nadobłoczne wyżyny. Zewsząd niósł się ku niemu poklask tajemniczy, sekretna pochwała, hymn jednej jedynej zgody, zarazem czucia, myśli, żądzy, wysiłku i dokonania w skutku śmiertcionym. Łamanie stawów, chłęptanie krwi, rozkosz, gdy od zadanego ciosu, lub jadu serce drży, szamoce się i przestaje uderzać, wzrok zagasa i moc życia się kończy, — owiewało jego słuch we wszechistnienie wydany. Płąs jego stał się arcydoskonały w obliczu dokonywującej się śmierci. Lędźwie jego same się niosły wśród kwiatów zdeptanych. Ruch jego każdy był celowo nieomylny, jako rzut skrzydła ja-

strzębia, rylcem doskonałości we wklęsłych cyrklowany
niebiesiech, — jako uderzenie płetwy rekina w mo-
rzu, — jako przebiegłe stąpanie gromady wilków, gdy
na czyjąś nagłą śmierć dybiąc, następny wkracza
w ślady poprzednika tak umiejętnie, iż tylko jednego
trop zostaje, — jako świadomie trafne lisa pomknienie
i jako prześliczne wywijanie się skrętów żmii.

Długie i straszliwe wojny przepowiadało ukazanie spienionego odyńca o białych kłach, który wychodził ze świętego jeziora, ażeby tarzać się w trzęsawiskach nadbrzeżnych.

Gdy od chłęptania i rzutów w kąpieli bryzgało bagno Doleńskiego jeziora, którego wody przed każdą wojną obłóczyły się w powłokę krwi i popiołu, — gdy kobiety, pełzając po ziemi, z trwogą i wśród szlochów rozchyłały badyle trzciny i pędy sitowia, aby spojrzeć własnymi oczyma na dokładny obraz i wierną podobiznę, na tą okrutną zapowiedź wojny, Smętek cichemi i podstępniemi krokami okrążał jezioro, naciągał lekki łuk z gibkiego pędu jałowca i puszczał strzałę z trzciny, ażeby wściekłego dzika niechybnemi ciosy rozjątrzyć i poganiać. Okrutna świnia ze strzałami tkwiącemi w bokach i grzbiecie, parskając, dźwigała się z wyleżanych kałuż, szła na oślep w inne, żeby ćpać napotkaną strawę, lochać się, babrać i nurzać, zmieniać miejsce zniszczenia i z radosnem chrząkaniem na odpoczynek się walić.

Powziąwszy od kobiet swych wieść o wyjściu wieprza wojny z niewidzialnych legowisk, wojownicy plemion weleckich — Ratary, Doleńcy, Chyżani, ci znad morza od Trawny, znad Warny, z za Pieny, znad

Wkry, — oraz inni między Łabą i Odrą, — znad Winawy, Sprewii, Hoboli, — wreszcie inni, dalecy — Byteńcy i Moraczany, Lutycy z lasów, Sosny i Dęby, Lipy i Lubuszanie od puszczy i błot, gdzie Warta do Odry potoki swoje wlewa, Łużyczanie z południa i Obodryty z północy wyprawiali postów do świątyni Swaroczyca w Radgaście.

Był bowiem gród pewien w ziemi Ratorów, — Radgast, — trójkątny, z trzema bramami, otoczony ze wszech stron borem wielkim, nietykany przez ludzi od wieków i głęboko czczonym. Dwie bramy świątyni stały otworem dla wszystkich pątników, trzecia najmniejsza wychodziła na ścieżkę, wiodącą ku jezioru bliskiemu i straszliwemu nad wyraz. Nic nie było wewnątrz, jeno cerkwa z drzewa wystawiona przemyślnie, podtrzymywana u przyciesi rogami zwierząt dzikich. W głębi stał posąg Swaroczyca, ozdobiony złotem, o łożu szkarłatem pokrytem. Bożyszczę trzymało w lewej ręce topór dwusieczny, na głowie jego siedział ptak z rozpuszczonemi skrzydłami, — na piersiach wyobrażone było godło narodowe: czarna tura głowa. Dookoła posągu stały święte chorągwie Weletów, godła i znaki plemion, podległych wielkiemu wiecowi, wisały zbroje, tarcze, miecze i kopie, rogi wojenne i wielki róg ofiarny. Ściany i słupy pokryte były rytymi w drzewie podobiznami zwierząt i ptaków o zabarwieniu jaskrawem, tworzącemi obraz prastarych walk, prac, wierzeń, podań, wspomnień, przesądów, klechd, zabobonów. Pod dachem czerwonej barwy, wysokim, spadzistym, gołębie przelatywały swobodnie z miejsca na miejsce, z jednego krańca świątyni na drugi. Jaskółki gnieździły

się bez trwogi w załamaniach belek i krokwi, w wieńcach węglów i rysiów, ponad tkaninami, zrabowanemi, na wyprawach dalekich, a nawet lepiły swe gniazda u samych ust słonecznego bożyca, którego drewniane piersi wolno im będzie kalać smugami wydzielin. Wiatr niósł podczas zawiei tmamy śniegu ku ścianom. Czasu letniej spiekoty do wnętrza, pogrążonego w tajemniczym półcieniu, poprzez szpary wstępowało światło przyćmione, wyróżniając na ciemnym tle występy belek, trzony słupów, zarysy wiązań i tajemniczą twarz świętej kłody.

A gdy którekolwiek z plemion weleckich miało rozpocząć jedną z zaczepnych czy obronnych wojen z Jutami czy Sasami, przedewszystkiem pytało o wyrok Swaróżyca Radgasta w ziemi Ratarów.

Po złożeniu ofiary z pachnących kwiatów, z róż, ruty, barwinku, rozmarynu, — z wieńców, z owoców, — ze zwierząt, ptactwa, a częstokroć krwawej ofiary z ludzi, z książąt, z biskupów, na wojnie pojmanyh, — kapłan ustanowiony dla obsługi świętego miejsca, biało odziany, z włosami w warkocz długi zaplecionemi, wróż główny, koniędz, który sam jeden miał prawo zasiadać wobec bożyszczka, gdy wszyscy inni przechodnie stać musieli, — zakopywał losy w ziemi.

Wymawiając zaklęcia tajemnicze, pośpiewując niewiadome dla nikogo strofy pieśni, wróże podwładni wykopywali z przerażeniem losy i przepatrywali je pilnie, ażeby coś niecoś pewnego o rzeczach tajemnych można było orzec. Powtórę przykrywali losy darnią zieloną, oraz zatykali w miejscu przed chrambem trzy pary włóczni w jednakowem oddaleniu jedna

od drugiej. Do każdej pary przywiązywali trzecią kopię napoprzek.

Koniądz najwyższy, odmówiwszy modlitwę sekretną a spaliwszy kadzidło z wonności i jantaru, rozchyłał w najpokorniejszej postawie barwiste zasłony i wyprowadzał z ciemnej sieni kontyny wielkiego czarnego rumaka, który za wyrocznię był poczytywany. Trzymając wodze uździenicy, wróż wiódł ogiera świętego do kopij, zagradzających dziedzinę.

Jeżeli koń przeskakując przez kopie poprzeczne, podejmował najprzód prawą, a potem lewą nogę, poczytywano to za szczęśliwą oznakę i wróżono radośnie o pomyślności wyprawy.

Jeżeli choć raz jeden lewą nogę najprzód wyrzucił, odrzucono sam nawet zamiar przedsięwzięcia. Porównanie orzeczeń losów, zakopanych w ziemi, z zapowiedzią, wysnutą z kroków wieszczego rumaka dawało ostateczną wyrocznię. Tłum ojcyców nisko nachylony, przypadający do ziemi, ażeby przed osądem bóstwa czołem uderzać, odchodził z otuchą, lub w głębokiej rozterce. Gdy wyrok boga wróżył wyprawę szczęśliwą, drużyny plemienne, pilnujące każda swojej choraży, godeł i znaków, wynosiły z bożnicy insignia i powierzały je wojskom na wyprawę idącym.

Ileż to razy w ciągu stuleci przed wielkimi wojnami święty koń najprzód prawą nogą wyrzucał!

Ileż to razy wielka rzeka słowiańska, Łaba, zakrwawiła się od zwycięstw Obodrytów w zapamiętałych bitwach z nienawistnymi Saxami!

Ileż to razy plemię chrobrych Wagrów w walkach z Danami, Normanami, Jutami na lądzie, na lo-

dowiskach zatok i przesmyków, na łodziach piratów roznosiło postrach słowiański w dalekie półwyspy, mierzeje i ostrowiska!

Ileż to razy potężne związki Weletów wypadały z lasów swych, z nad jeziora, z drewnianych grodów, z morskich zatok, przystani, wysepek, aby na lądzie i morzu mordować, palić i niszczyć!

Ileż to razy Ranowie ze swych białych przylądków i półwyspów — Mnichów, Jasmund, Witów, Wałów, Chełm i Zudar, — z cienia świętej puszczy w Arkonie skaczą w setki korabiów, ażeby siwe morze na wschód, zachód i północ przemierzać!

Ileż to razy róg Swaróżyca rozlegał się po tamtej, lewej, załabskiej stronie dla obrony krain, osadzonych przez cesarza Karzeła!

Ileż to razy za czasów Pobożnego Ludwika płonęły nowozałożone przez Saxów w słowiańskich lasach grody, twierdze, warownie, zamki, biskupie katedry, klasztory, księżę parafie, puszczane z dymem przez zatwardziałe pogaństwo Lutyków!

Obodryci w długich, w ciągu stulecia toczonych zmaganiach z Saxami, zaprawieni do krwawej wyprawy, idą przeciwko Niemieckiemu Ludwikowi, napadają na Hamburg, ażeby ujście Łaby ogarnąć.

Walecznie bronią się przeciwko zamachowi saskiego grafa Ottona, stróża nad Łabą, przekraczają tę rzekę, wpadają do Turyngii i straszliwie ją niszczą.

Gdy na tron cesarski, wstąpił Ptasznik, zaciekły wróg słowiańskiego rodu, niezwalczony napastnik, powielekroć skrwawiły się jego legiony w lasach prawego brzegu, powielekroć znajdowały zgubę w głębo-

kich jeziorach, u brzegu bystrych rzek, w bagien topielach.

Gdy graf Bernhard zażądał daniny od całego wieceu Weletów, ci wspólnie z innymi plemionami twierdzę jego oblegli i zburzyli, załogę wysiekli, a miasto puścili z dymem. Wówczas wszystkie słowiańskie plemiona porwały się do powstania.

Za wielkiego Ottona comes Herman Billing i krwi słowiańskiej nigdy niesyty margraf Gero odnowa podnieśli przeciwko Niemcom oręż wszystkich związkowców. Gero, do szczętu rozbity, musiał za Łabę uciekać. Porywają się do boju wszyscy — Obodrycy, Welety, Doleńcy, Sosny i Lipy, wszystkie rody aż po Odrę w obronie posad ojczystych, z wyjątkiem wyspiarzy Ranów.

We dwa lata później Ratary wynoszą z cerkwy wojenne chorągwie i na długie lata biorą na się przewodnictwo w najzaciętszych bojach, w krwawych walkach z Niemcami. Wokół Doleńskiego jeziora i świętego Swarozycza lasu toczy się w ciągu lat szeregu bój bez końca.

Za Drugiego Ottona nowe powstanie słowiańskie ogarnie przestwór cały od Łaby, aż do Odry. Przerzucający się na lewy brzeg wielkiej rzeki, ogarnie Turynię i Saxy. Powielekroć na nowo wybudowane kościoły i klasztory zostały przez Słowian nanowo zburzone, a ziemia miejsca, gdzie groziły, zaorana pługiem. Władze świeckie i kościelne wymordowano do nogi. Pogaństwo z całą potęgą odżyło. Róg Swarozycza rozlegał się aż nad rzeką Solawą. Powstańcy gnali Niemców przed sobą, jako płochę, pozpierzchłe jelenie. Trzy-

dzieści legionów słowiańskich pieszych i konnych, czyli zgórą sześćdziesiąt tysięcy ludzi, pod przewodem chorągwi świętych i przy odgłosie rogów, wyniesionych z Radgasta, przekroczyło Łabę i na wybrzeżu rzeki Tongery do krwawej stanęło bitwy.

Niemcy pod wodzą arcybiskupa Gizilera nie zdołali zbuntowanych pokonać. Panowanie niemieckie między Odrą i Łabą na długie lata runęło. Chrześcijaństwo znikło. Cześć bogów i gminna swoboda nanowo odżyła. W ciągu wielu lat, gdy Otto drugi poszedł w kraje południa i krwawe boje tam toczył, Obodrycy i Lutyicy czynią nieustanne na Saxy wyprawy.

Za małoletniego Ottona i za rządów jego matki Teofanu, w ciągu szesnastu lat Obodrycy i Lutyicy, z nad rzeki Łaby, którą obsadzili, jako swoją bojową granicę, przedsięwzięli nieustanne napaści. I nadaremnie Niemcy usiłują odebrać choć część tego, co czasu wielkiego powstania za Ottona Drugiego między Odrą i Solawą stracili.

Ileż to razy w ciągu stulecia przed wielkimi wojnami święty koń najprzód lewą nogę wyrzucał!

Gdy na tron cesarski wstąpił Ptasznik, zaciekle wróg słowiańskiego rodu, niezwalczany napastnik, — Merzeburg, Kwedlinburg i wiele innych miast w Turynгии i Saxonii murem otoczył, niezdobytym dla kuzszy. Na przedmieściach merzeburskich udzielił przytułku wszystkim złodziejom i rozbójnikom, osiedlił ich w podegrodziu i uzbroił z jedynym warunkiem, ażeby w każdej chwili byli gotowi do zbojeckiej na słowian wyprawy. A wyćwiczywszy łotrów legiony, Ptasznik podjął wojnę krzyżową przeciwko Stodoranom. Stacza-

jąc z nimi krwawe boje na rozlewiskach Hoboli, oblegał gród ich Branibor. Napadł na ziemię Głomaczów, a po zdobyciu ich miasta, zwanego Grona, wydał je na łup swym żołnierzem. Wszyscy dorośli zostali wymordowani do nogi, a niedorostki poszły w niewolę. Za czasów plemiennego powstania związku Weletów legat cesarski Bernhard z grafem Tietmarem oblegli warownię słowiańską Łączyn nad Łabą. Słowianie, w wielkich masach zgromadzeni w pobliżu, uderzyli na Niemców. Poległych na placu bitwy liczono już wielu, gdy graf Tietmar na czele jazdy z boku uderzył i odciął dostęp do twierdzy. Wepchnięta w jezioro piechota słowiańska zginęła, a tylko część jazdy ratowała się ucieczką. Wiarołomni Niemcy zgwałcili umowę, na której zasadzie łączyńska załoga im się poddała. Wszyscy wojownicy, na śmierć skazani, wymordowani zostali, kobiety, dzieci, służba i całe mienie stały się łupem niemieckim.

Kłęska związku Weletów pod Łączynem, gdzie słowian miało zginąć sto dwadzieścia tysięcy, podjudziła Ptasznika do nowych napaści.

Wyruszywszy przeciw Łużyczanom, grody ich rzucił na pastwę płomieni. Wsie wyludnił. Bezkarne ludzi zabijał, osady palił, kobiety i dzieci uprowadzał w niewolę, ludność całą z ojczyzny wywłóczył i żydom sprzedawał na handel niewolnikiem.

W pustych i napół dzikich połabskich wybrzeżach syn Ptaszników Otto Pierwszy wojenną swoją siedzibę na podwalinach, Dziewina, w Magdeburgu fundował.

Przed żelaznemi jego oczyma otwierało się krai-

szcze słowiańskie bez granic, pełne ludzi i skarbów. Lud to był dorodny, krótkogłowy, orlonosy i czarnolicy, szczupły i smagły, kobiety kształtne, z pięknym twarzy zarysem, o drobnej ręce i nodze. Skarby były nieprzemierzone w roli, lasach, w wodzie i pod ziemią. Na tę równinę słowiańską wyszły długogłowe, białowłose z odcieniem czerwonym, bladookie z wyrazem srogości, wielkolice Sasy, o dłoni i stopie wielkiej, o ciałach tłustych, białych, poruszających się zwolna, żarłoczne na mięso i ser, skłonne do opilstwa i okrutne, z krzyżem, mieczem i powrozem, ażeby w pocie czoła nad ujarzmieniem pracować, potoki krwi wylać, ludy całe do nogi wyciąć, wygnać, wygubić, świat zbrodniami napełnić. Comes Herman Billing mianowany dziedzicznym księciem saskim, comes Gero legatem serbskiego pogranicza od gór Harcu do rzeki Solawy. Wszystko, co było na wschodzie, miało odtąd przyrastać do dziedzictwa tych dwu władców. Tam powstały dwie marki niemieckie: — północna i wschodnia.

Na świątynię Radgasta w ziemi Ratorów i na wieszczego konia w świątyni zawziął się legat. Z Lüneburga, stolicy swojej, Herman Billing rozpoczął grę z Lutykami, z Obodrytami, pełną oszukaństw i podejść. Nieprześlągana nienawiść pobudzała go do okrucieństwa środków zagłady.

Margraf Gero zaprosi do siebie na ucztę trzydziestu władców słowiańskich, a po uczcie wszystkich trzydziestu każe wymordować. Wsparty przez Karola Lotaryńskiego, cesarskiego zięcia, niespodzianie na Wkranów uderzy, rozbije ich i zabierze łupy olbrzymie.

Nad rzeką Raksą zwycięży książąt obodryckich

Nakuna i Stojgniewa. Gdy księżę Stojgniew na polu bitwy poległ, głowę jego wystawią na pokaz, a dookoła niej siedmuset wojowników wziętych w niewolę mordują.

W walkach bez końca ulegli Niemcom Milczanie. Pamięta wieść, iż na górze Lubin zgromadzili się serbscy królowie, żeby radzić o walce z Niemcami. Uradzili, żeby się rzucić do boju. Rzucili się do boju i wszyscy polegli. Serbowie złożyli ich w ziemi ze czcią wielką na górze Lubin, każdego w złotej koronie pod jednym wielkim kamieniem. Mówi wieść, iż dotąd leżą pod wielkim kamieniem złote korony królewskie. Gdy Łużyczanie pokonani zostali, stanęła otworem południowa granica lutyckich powiatów. Tędy teraz iść będą z Magdeburga Niemców zastępy niszczące.

Biskupstwa Życańskie i Mysznieńskie, czasu wielkiego słowian rokoszu do gruntu zniszczone, odbudowały się znowu. Powstały nowe kościoły i klasztory, pełne zakonnic i mnichów. Za mnichami i księżmi ciągnęły z Niemiec szeregi służby biskupiej, poborcy podatków kościelnych i dziesięciny, szli koloniści pod zasłoną zbrojnych szeregów knechtów, okutych w żelazo. Zaczęło się nanowo wydzieranie słowianom własności na ziemi, wykarczowanej przez nich i w puszczy wyoranej, zaczęły się nanowo sądy prawem gorącym. Obok nauki o miłości Boga i miłości bliźniego, o posłuszeństwie cesarzowi, comesowi i biskupowi stanął znowu za plecami szpieg i stanęła na placu szubienica. Kapłani z krzyżem w ręku wkraczali w ciemne lasy nad Sprewią, nad Hobolą, nad Winawą, poprzedzając szeregi niemiłosiernych morderców. Misyonarze szli

na czele zdrajców i katów, słodka wieść o miłości i odpuszczeniu winy łączyła się z nauką o prawie zdzierstwa, wywłaszczenia, wygnania i karze śmierci za uchybienie samowoli zdobywców. W miastach niemieckich, które na gruzach lub przyciesiach dawnych grodów słowiańskich powstały, królowie, księżęta i wielkorządcy nadawali klasztorom i kościołom dziedziny wydarte pokonanym. Chłopi i czynszownicy osób prywatnych, niewolnicy, dwunogie pociągowe zwierzęta bez prawa do niczego, poganie nędzni i wzgardzeni, szli na handel w dalekie kraje Afryki i Wschodu, albo, jak przepłoszone stado jeleni, uciekali dalej a dalej we wschodnie lasy, kryli się przed najeżdżcą w niedostępnych kniejach i w bagnach, których koń zgruntowaćby nie mógł i wiosła nie imaty. Inni, ograbieni ze wszystkiego, przyciśnięci przez posuchy, nieurodzaj, głód, nędzę ciągnęli do nowozałożonych miast, gdzie na błotnistych przedmieściach i w najuboższych izbach wolno im było walczyć jak najciężej o kawałek chleba, ażeby w twardej biedzie, ucisku, wzgardzie i ciemności zapomnieć z czasem o rodzie swym i języku. Na miejscach pustych osiadali przybysze z zachodu i budowali nowe miasta, nowe wsi, chrzcząc je swoimi nazwami. Dopóki słowianie byli poganami, traktowano ich, jako barbarzyńców, niegodnych obcowania z chrześciany. Skoro przyjmowali chrzest, i to nie było dostateczne do porównania ich w prawie z Sasami. Musieli zostać Niemcami z mowy, obyczaju i ducha, musieli iść pospołu z legionami łotrów na wyprawy przeciwko swojemu rodowi, ażeby wzgardy uniknąć. Awanturnicy z całego świata biegli na ziemię słowiańską

i zdobywali ją na modłę rozbójników. W czasie wyprawy rabowali i kradli bezkarnie, a gdy nastawał czas tak zwanego pokoju, bili się pomiędzy sobą i rozbijali po drogach. Metodą ich życia był rabunek, wypędzenie z ziemi, wydarcie mienia, zamordowanie, z którego za małą opłatą pieniężną łatwo było uniewinnienie wykupić.

Gdy margraf Gero Łużyczanów ujarzmił, spotkał na swej drodze po raz pierwszy nowego nieprzyjaciela, Mieszka, skławańskiego władacza. Pokonał go i do uznania cesarskiego zwierzchnictwa, oraz do płacenia daniny aż po Wartę przymusił. Ale pierwszy to raz saskie niewyciężone legiony spotkały za lasami już przemierzonymi potęgę nieznaną. Wychylała się z ciemnego, tajemniczego wschodu, oparta o nieprzejrzone, niewiadome i niezliczone w lasach polany, zagrodzona nie zbrodzonymi błotami, osnuta siecią rzek głębokich. Te nowe nieznanne ludy trzymał w żelaznej dłoni książę męzny, genialny i nad wszelki wyraz przebiegły,

Cesarzowi i jego margrafom, biskupom i opatom, którzy w świat słowian nieśli chrześcijaństwo, a pod pozorem i za pośrednictwem chrześcijaństwa niemieckie ujarzmienie i wytępienie, zastawił drogę i wyrwał z ręki krzyż. Sam chrześcijaństwo przyjął. Nie od nich, lecz z poręki pobratymca.

Udawał, iż nie śmie w kierei wejść do domu, w którym się znajdował margraf Hodo, udawał, iż nie śmie na miejscu dosiedzieć, ilekroć on powstawał. Ale niepostrzeżenie, cichcem, ujmował pod swą władzę ludy kaszubów od Wisły do Żarnowskiego jeziora i od ujścia Piaśnicy aż do Odry wylewu. Pod pozorem szerzenia

chrześcijaństwa, na wzór Niemców, cały prawie brzeg tej rzeki zagarnął. Gdy zaś margraf Hodo z grafem Zygfydem na Walbeku napadli nań niespodzianie, potulny lennik sprął ich u Cedna nad Odrą za ujściem Warty zmiażdżył na drzazgi, iż wszyscy niemieccy rycerze trupem na placu polegli, a sami tylko wodzowie Zygfyrd i Hodo z podartymi chorągwiami uciekli.

Młodzieńcze ludy prawego Odry wybrzeża, zastawione mieczem i za tarczą polańskiego gardziny, otrzymały możność życia i swobodnego rozwoju, prawo spajania się w jedno słowiańskie ciało społeczne z nowym państwem potężnym, które pod imieniem Polski za jasnieć pod słońcem miało,

Trzydzieści lat przepracował, jako hołdownik cesarzów Ottonów, poniżał się i udawał wasalą, ażeby pod swe państwo przyciesi położyć. Zapomocą kościoła złączył się z krajami południa i kształtował swą społeczność na modłę zachodu. Powiększał dziedzinę, wrywając Niemcom zpod ręki pobratymcze plemiona. Dla zbytu produktów rolnych dobijał się swobodnej na morzu żeglugi.

Wielkiemu synowi tę przedeśmiercią główną naukę naszeptal: wrywać pobratymców pomorskich z rąk niemieckiego siepacza. To też gdy młody lew na świat wyszedł, przyłączył do Polski Pomorze i wziął Gdańsk pod swą władzę. Zagarnął pas ziemi po prawej Wisły stronie aż po linię południową Drużny, po rzekę Dzierżonię, Żuławę Kwidzyńską, i Zantyrską aż po Gdańska Mierzęję.

Nad nieskończoną puszczą kwietniowe płynęły obłoki, gdy trzej wędrowcy Wojtech, zwany Adalbertem, Radim, zwany Gaudentym i kleryk Bogusza, zwany Benedyktem, wybrnąwszy nareszcie z kniei, ujrzeni przed sobą rzekę. Minąwszy setki leśnych, górskich i nizinnych okolic, płynęła niezmierna, od wód wiosennych wezbrana, zalewając brzeg niski i zmulonemi piany kąsając wysokie ostrego ładu urwiska. Nie mogła zmieścić się w łożu mocnem, obrosłem bezbrzeżnemi lasami, to też prawa jej Nogać odpadła we wschodnie niziny i tworzyła nieprzebyte strumienie i mokradła, jeziorzyska i błota, oblegające wielkim opłazem szeroki gościniec. Widzieli przed sobą jakgdyby Noteć drugą, którą właśnie wyminęli przesmykiem suchym koło Turu. Stali w miejscu, nie wiedząc, w którą iść stronę.

Lecz oto los zdecydował o dalszej podróży: ujrzeni tratwę rybacką, zbitą z kłoców jodłowych, przypartą do spychów wysokiego pobraża. Na bocznym poganiaczu tej pławaczki drzemał człowiek. Zagadnęli go mową słowiańską, czyby ich nie powiózł w dół rzeki.

Chętnie przystał.

Rzekł im tąsamą słowiańską mową, iż właśnie na Wiśle tej siecią i paczyną na życie zarabia.

Wstąpili tedy do jego krypy prostaczej.

Młody rybak ujął w dłonie długie łopaty wiosłowe, odepchnął od brzegu stateczek swój i powiózł ich wartem skłębionym ponad wydartym w toni spodem.

Widzieli przed sobą po prawej i po lewej ręce lasy wielkodrzewne, prastare, zielone od koron sosnowych. Puszcze te młodziuchna wiosna baziami brzoź i rozkwitającego białodrzewia przetykała. Ukazywały się przed ich oczyma i nikły w smugach rozlewisk olbrzymie gnaty dębów i lip, odarte jeszcze z liści, — rude polany, obłyśiałe pagórki i ledwie zieleniejące mokradła. Korytem, przed wiekami wyrwanem w środowisku tych puszczy i łąk leśnych, ponosiły ich wody pieniste w zamgloną odległość. Wysoko nad lasami płynęły obłoki wiosenne, z których jedne były pozłociste, inne jako śnieg białe, a inne o barwie niebiosów. Wędrowcy mknęli w swą drogę, nie wiedząc, dokąd ich fale zanosą. Płynęli na podobieństwo obłoków.

Dusze ich były nie tutejsze, lecz tameczne, nie przyrośnięte do ziemi, jako lasy, lecz, na wzór obłoków, podlegające prawom, żywotowi i podmuchom nieba. Mieli poza sobą wielką i głuchą samotność swoją, każdy inną, każdy odmienną, każdy inaczej dotkliwą, — jakoby trzy więzienne cele.

Podniosła się dusza ich i stała się na tem czólnie jedną rzekomo duszą we trzech osobach.

Zaśpiewali wszyscy wraz psalm radosny.

Kolana ich ugięły się i upadły na dyle tratwy wodą zalane, a oczy utonęły w niebie, zasłanem wiosennymi obłoki. Zaśmiały się od tamtejszej, niebiań-

skiej radości usta najstarszego z pątników, a słowo główne wymknęło się z nich:

»Przybliżając się do mnie w dzień, któremu cię wzywał, mówiłeś: Nie bój się!«

Obok rudła z nieruchomemi w dłoniach wiosłami stał młodociany przewoźnik. Czarne jego źrenice wlepione były w przybyszów z obcej ziemi, a wzrok, z jednego na drugiego przechodząc, pytał się:

— Cóż to za ludzie?

Oczy te, oczy wieczne, niby haki wędy, zarzucały się w tonie oczu najstarszego z wędrowców, ażeby z głębi ich rybę tajemnicy wyłowić.

— Ktoś ty jest? — pytały oczy podstępnego dociekania.

Lecz źrenice tamtego, zasłonięte mgłą niebiańską, nieodgadnione były, jak sama toń firmamentu. I Smętek przewożący apostoła, poczuł złowrogi gniew w przepaści istoty swojej.

— Przybliżając się do mnie w dzień, któremu cię wzywał, mówiłeś: — »Nie bój się!« — przepowiadały sobie jego wargi.

— Kto jest pod utwierdzeniem, który się nie boi, skoro ja przy nim stoję!

Uderzyły w pątnika jego oczy wszystką mocą, ażeby go wewnątrz strwożeniem, lękiem śmierci porazić. Zamierzyła się na serce pątnika wszystka wola i całkowity ogrom bezlitosnej wszechmocy zabijania ducha trwogą wobec niebytu. Alboż spotkał kiedykolwiek w drodze swojej twór żywy, któryby nie mdlał wobec sekretnej wizji nieżycia? Alboż, ostało się którekolwiek serce i nie wzdrygały się zawory jego komor,

gdy je tknął z bezgłośnym krzykiem: — śmierć twoja! Alboż nie opierał potęgi swojej na zemdleńiu żył, na popłochu nerwów, na ucieczce rozumu w głuchą szcze-
linę zatury, gdy dosięgał pewnej myśli podspodniej, bezsilnej, jak pisklątko pod matki skrzydłami? Alboż nie miał wzroku kota i sowy, który widział w nocy przeraźliwy skurcz i wstrętny dreszcz przede śmiercią? Skądże i dokąd szedł ten, co się ośmielał sam jeden być ogniskiem woli wszechświata, odbłaskiem i współbratem Wszechmocy, — co się uśmiechał do niebios, mówiąc, iż tam jest Drugi, który doń tylekroć mówił w dniu lęku: — »Nie bój się!«

— Nie bój się?

— Drżij w rozpaczyl!

Nie zląkł się pątnik cichy. Wesole były jego oczy. Radował go rozmach skrzydeł chyżej, wiatroskrzydłej rybitwy, co się nad rozlewiska Wisły z morza dalekiego wybrała. Radował go ciemny i śliski grzbiet szczupaka, co bujną bryłę zielonej fali przeszył, jak strzała, wyrzucona z cięciwy, Radował go przeraźliwy wzrok sternika, co dzierzaki wiosel w czarnych trzymał dłoniach.

Zawstydzala go radość własnej duszy, wewnętrzne dobro, nadmiar bogactwa, pełnia ducha, opatrzonego szczęśliwością łaski, — więc zagadał do współbrata wioślarza, pragnąc mu oddać połowę swojej radości. Zrazu używał pośrednictwa Boguszy, który pruską mowę rozumiał, sądząc, iż z krajowcem ma sprawę, lecz, skoro Smętek odpowiadał zrozumiale w gwarze słowian, mówili długo tą swojską mową, która jest na rozmaitych drogach rozmaita, jak wiosna, lato, jesień, zima, lecz

jedna, tasama i wiekuista, jak powrót pór roku na północy i na południu, na wschodzie i zachodzie. Odpowiadając na zadane pytanie o kraj ten i ludzi, mówił półnagi przewoźnik, iż tu, w tych leśnych stronach dzika i niczem niekrępowana namiętność jest jedynem prawem dla ludzi, którzy koczują, brodzą po wybrzeżach wód, podchodzą pszczoły, ścigają zwierzęta, wybierają jaja ptasie, łowią ryby, — którzy rozdierają radłem ziemię i sypią w brózdy nasiona prosa, owsa i żyta, karmią się chlebem, lub leśnymi jabłkami, palą lasy, topią smołę i wyławiają jantarowe bryły. Mówił, iż nieposkromiona samowola tych, których bary są mocne, kolana bezlitosne, a broń w dalekich wypalona kuźniach niezwyciężona dla pięści bezbronnej, — jest tu prawem publicznem. Mówił również o prawach innych, odwiecznych, któremi rządzą się tutejsi ludzie po prawej i po lewej ręce wielkiego wód rozlewiska. Kobiety tutaj, — powiadał, — są jako rzeczy, które się zdobywa, lub kupuje. Jeżeli zdobywca ich, lub nabywca, a więc właściciel, umiera, giną na stosie, wepchnięte nań przez tłum żywych, same poprzednio okręciwszy sobie powróż dookoła szyi. Żony i córki oddaje się przybywającym gościom do nocnej uciechy. Ojciec zabija nowonarodzone córki z zasady, pozostawiając jedną córkę na ród cały. Kobieta nie ma prawa do niczego, z wyjątkiem umywania nóg gościom i mężczyznom domowym, oraz dotrzymywania im towarzystwa, gdy piją miód i kumys. Ludzie tutejsi za Wisłą i jej nogaciami palą wrogów, schwytanych podczas bitwy, na wolnym ogniu, albo miażdżą ich pomiędzy belkami. Starców, ujętych w niewolę podczas grabieży dziedzin sąsiednich,

zabijają, małe dzieci roztrzaskują o drzewa, lub zatykają na drzewca wojenne, młode dziewczęta, uwieńczone kwiatami wrzucają po zgwałceniu na stosy płonące. Ludzie tutejsi za Wisłą i jej nogaciami czczą niedźwiedzie, wilki, mech leśny, a nadewszystko węże.

Czczą także ogień, wielką żółtą bryłę wykowaną przez kowala i rzuconą na niebo, żeby lepiej świeciła. Mężczyźni tutaj, — powiadał, — są wojownikami i myśliwcami, to znaczy, że żyją z grabieży, albo ścigają zwierzęta. W czasie głodu rozcinają piersi kobiece dla wychłęptania zawartego w nich pokarmu.

A usłyszawszy, iż pątnicy idą z kraju południa, sternik pytał z uśmiechem, czy tam w stronach słonecznych, w sercu świata, w miejscach świętych lepiej jest, niż tutaj w zamglonej puszczy północnej? Czy tam okrucieństwo i barbarzyństwo już nareszcie ustało? Czy tam prawo, wysnute z przewidującego rozumu, z niestrudzonego doświadczenia i z nieomyślnej cnoty stało się już świętym zakonem?

Zająknął się pątnik. Głucho się zadumał, nie umiał bowiem kłamać.

Prawo! Prawo! Prawo!

Przypomniawszy sobie prawo, które musiał niweczyć i prawo, które niósł, jako święte tablice, biegnąc drogami ziemi od krańca jej do krańca. Przypomniawszy sobie ojczyznę i obczyznę, wygnanie, ucieczki, powroty pod klątwą i znowu ucieczki. Przewinięło się przeraźliwe wspomnienie takrocnej zbrodni:

Spitimir, Pobrasław, Czasław wraz z ich żonami, dziećmi i krewnymi, bracia rodzeni wymordowani po walce zacieklej w obronie prawa do rodowego księ-

stwa — na zasadzie prawa innego. Ach, z jego własnej przyczyny...

Ponieważ był poplecznikiem obcych w ojczyźnie, Niemców i Polaków, — a był poplecznikiem Niemców, ponieważ usiłował wdrożyć w ojczyźnie prawo Chrystusa pochwycone przez Niemców. Był poplecznikiem Niemców, skoro wyrzekł się pokrewieństwa z książęcą rodziną czeską i powinowactwa po babce z królewską rodziną frankońską, — ponieważ dobrowolnie wyzuł się z praw do domu na Lubice, książęcego sceptrum nad piątą częścią czeskiej ziemi, — ponieważ bosy i w szmatach ubogich wchodził do miasta, gdzie mu biskupem być kazano, ponieważ sypiał na gołej ziemi z kamieniem pod głową, sen dla modlitwy skracając, jadł mało, częste i ostre odprawując posty, a tylko w święto obiad spożywał, — ponieważ trudził się ciężką ręczną pracą, odwiedzał chorych, wykupywał z rąk handlarzy jeńców polskich wojennych za każdy grosz, jaki posiadał, — ponieważ wszystkiego pozbawiał się dla ubogich, — ponieważ trawił życie na modlitwie, na kontemplacyjnym milczeniu, na rozmowach z ludźmi mądrymi i świętymi, — ponieważ walczył ze światem o zakon Chrystusa, — ponieważ chciał pojednać stronnictwa, skłonić naród swój do posłuszeństwa hierarchii kościoła rzymskiego, kościół czeski pojednać z kościołem niemieckim, usunąć wstręt Czechów do Niemców...

Był obcy w ojczyźnie, cudzy, wnuk Niemkini, sojusznik wrogów, przyjaciel cesarski.

Zająknął się pątnik o prawie, które cesarz Otto, pełnomocnik boży, cud świata, w młodocianych niósł rękach. Nie chciał być przeciw Niemcom, jak Ptasznik,

ojciec i dziad, zaborcą i krzywdzicielem plemion, ten grek marzący o wskrzeszeniu cesarstwa Augusta i Konstantyna, ażeby myśl wykołysaną w rozmowach z Gerbertem, świętym Romualdem i świętym Brunonem wskrzesić na ziemi. Nie znosił przecie Niemców i pobyt wśród nich poczytywał za wygnanie ze słonecznych krajów auzońskich, ze stolicy swej, Rzymu. Tkwiła przecie w jego ekstatycznej duszy namiętność do pokuty i umartwienia, pasya do pielęgnowania czystej cnoty, marzenie, ażeby porzucić tron i zamknąć się w klasztorze. Pątnik znał przecie tę duszę gdyż tylekroć słuchoł jej najszczerzej spowiedzi.

Cesarz! Bruno, krewniak cesarski, — Grzegorz V, — wypędzony przez Krescencyusza. Krescencyusz młodszy, wódz Rzymu, wiekuisty spiskowiec przeciwko władzy Niemców nad Italią, poszukiwacz na całym świecie, aż do obozowisk polskiego Bolesława Chrobrego, wrogów swego wroga, niemieckiego cesarza — straszliwie przez Tammona skrwawiony. Trup jego, kołysany wiatrem tam właśnie, w sercu Rzymu.

Jan Filagatos, umiłowany greczyn, opat Nonantoli, arcybiskup Placencyi, ambasador i nauczyciel cesarski, przyjaciel cesarzowej Teofanu, sojusznik Krescencyusza, po śmierci Jana XV wyniesiony na papieskie krzesło, jako Jan XVI. — »niewinny«... Trup jego wiszący na haku, tam właśnie, w sercu Rzymu! Z rozkazu cnotliwego cesarza, zwanego *mirabilia mundi*. Na rozkaz swego antagonisty, Niemca Brunona, Grzegorza V, zraniony straszliwie, z obciętemi uszami i obciętem nosem, z kikutami rąk, odrąbanych po łokcie, z wyrwanym językiem i wyłupionemi oczyma stawiony przed

kolegium kardynałów po wywleczeniu go z więzienia... Młody papież Grzegorz, stanąwszy przed swym przeciwnikiem, zdiera szaty pontyfikalne z żyjącego trupa, każe nagiego wywlec na ulicę, przywiązać tyłem do osła w taki sposób, ażeby resztkami rąk musiał się trzymać ogona, — każe oprowadzać po ulicach wśród rozradowanego tym widokiem, straszego motłochu. Każdy miał prawo lżyć i bić antypapieża, a on sam musiał przed straszliwą swą śmiercią obwozić na sobie napis: »Oto jest kara na tego, co chciał zegnać z tronu rzymskiego papieża«.

Prawo!

Prawo namiestnika Baranka Bożego... Szepty ciche o siedemnastoletnim papieżu Janie XII, iż się zaprzedał dyabłu i pił za jego zdrowie, — iż grając w hazardy wzywał Junony i Wenery, — iż dziecię dziesięcioletnie mianował biskupem w Todi, — iż z pałacu laterańskiego uczynił dom publiczny, — iż utrzymywał liczne nałożnice, — iż w ciągu swego ośmioletniego pontyfikatu kazał okaleczyć, oślepić i więzić mnóstwo prałatów, — iż nosił miecz, szyszak i pancerz...

Oblężenie zamku Anioła przez zbirów cesarza i straszliwość obrony. Wielkie konwie gliniane kipiące oliwy, ukrop, stosy młyńskich kamieni, belki i złomy muru, padające na głowy i tarcze sług marzyciela, cudu świata. Kapitulacya Krescencyusza i przyjęcie jej przez młodego cesarza. Wtedy Krescencyusz wychodzi ze swej niezdobytej fortecy, ażeby wstąpić, o hańbo! o, podła zdrado! na najstraszliwszy z szafotów! Przekupstwo, zdzierstwo, rządy kobiet na dworze papieskim.

Serce zatrzęsło się od wspomnień, od ohydy. Krwawe dzieje płynęły wszędy długimi łańcuchy. Krew rodowa w oczach ściekała znowu po stopniach ojczy-stego zamku. Zemsta, wybuchająca z dna duszy, jak wybucha ogień i dym z otworzeliska wulkanu nad la-zurowem morzem, przygaszona nadludzkim wysiłkiem woli, zakazana samemu sobie, świętym znakiem od-puszczona, zalana wodą miłości.

Pokój Wrszowcom! Pokój Bolesławowi Rudemu! Pokój mordercom i miłość katom, którzy przyszli wy-drzeć z kościoła cudzołożnicę, ażeby jej młodą głowę odrąbać. Wszakże i oni opuścili topory, gdy naprze-ciwko nich samotny mężnie wyszedł. Pokój przyjacio-łom — Krescencyuszowi i Filagatosowi grekowi, wro-gom cesarza, »niewinnym«, męczennikom!...

Lecz na popieliszczu, zalanem tak do cna wodą odpuszczenia wałęsa się perzyna żalu i błąka się dym smutku, którego żadna już w duszy moc rozegnać nie może. Gdziekolwiek odwrócić wzrok, — wszędzie nie-nawiść, zemsta, przemoc, zdrada, gwałt i przesywający na wskroć, jak miecz, śmiech tryumfu ślepej siły. I tak oto zamknął się krąg przypomnień. Słowo odpowiedzi zamarło na ustach. Nie było co rzec młodemu prze-wodnikowi o świecie dalekim południa. Ręka podnio-sła się sama, ażeby błogosławić żywotowi pozaludz-kiego, widzialnego świata. Oczy upadły na lśniący grzbiet szczupaka, zieloną, nieprzeniknioną ciemność wodnej głębin-y udający, co się czał w przezroczystej topieli, ni to pocisk drapieżny, żądny żeru i zemsty za istnienie ofiary jego żądzy. I runął piękny, wysmukły szczupak, kat, żywotowi swych własnych dzieci nie-

przepuszczający, w srebrzysty blask niewinnej płóteczki, co miłością ogarnięta, swawolnie w głębokiej, ruchomej podłodze wiślanych wód tańczyła. Ciemny obłok zasłonił oczy wędrowca, a myśl rozdwoiła się, nie wiedząc, komu z tych dwojga błogosławić? Oczy uciekły od widoku morderstwa, a szukając dla siebie dziedziny i pocieszenia w niebiosach, trafiły na chyże rzuty płowych skrzydeł śnieżnogłowej i wielkodziobej rybitwy, co się nad falą wznosiła i zniżała, czatując na żarłocznego szczupaka.

Przymknęły się oczy. Myśl uciekła daleko. Odetchnęła, wspominając niewinne i nie krzywdzące nikogo główki pochyłych narcyzów i sploty bławej glicynii, dobrej, niewinnej i czystej w sobie, za wysokimi murami na Awentynie, w Alexego klasztorze. Przypomniała się w krótkim widzeniu biała głowa Soracte w lazurowym upale. — Przytulił się do nozdrzy zapach rozkwitającej topoli, od wzgórza świętej Saby niosący się drogą gliniastą, starą via Ostiensis, wygrodzoną opłótkami z tarniny.

Jakiż się to gorzki żal wywinał za cichą winnicą o pniach grubych, czcigodnych, szeregiem rosnących pod murem Serviusa Tulliusa! Ile marzeń spoczęło w tych bryłach wielkości wołu karmnego, w arkadach, spojonych własnym ich ciężarem, a otulonych bluszczami!

Wspomnienie ponosiło duszę wzdłuż tamtego muru, biegnącego między świętą Priską, Balbiną i Sabą wzdłuż mętnej wody Tybru, aż do piramidy Cestyusza. Oczy widziały znowu ukochaną glebę ogrodu, gdzie motyka, roztrącając bryły zeschniętego wapniaka, naloty

piaskowe i grudy trawertynu, dźwięczała uderzając o ruiny pogańskie. Mówiono, iż są to ruiny świątyni Diany, iż są to grobu Remusa podstawy. Któż prawdy się dowie? Dobrotliwa jagoda winnicy ciężko i sennie zwisała ponad tą ziemią, zdeptaną przez niezliczone pokolenia półbogów, bohaterów i biednych, ciemnych prostaków, — łagodnie dojrzewając w słońcu, które pali pożarem kamienie Termów Karakalli w nizinie za świętą Balbiną, kamienie wielkiego zburzyszcza Circus Maximus w dolinie, zwanej Murcia, między Awentynu i Palatynu wzgórzami, i pada ognistym pożarem na odwieczną drogę Moletta, przecinając dwa bliźniacze awentyńskie pagórki. Wszyscy przeszli tą drogą Moletta z południowego cypla Remusa, dążąc do Rzymu, stolicy ziemskiego okręgu, — przebiegli, oddalili się, znikli. Święta cisza została. Tą oto drogą Moletta przewieziono zwłoki świętego Alexego wśród ciżby niezmiernej narodu, który nie chciał się rozejść, choć złoto i srebro na tę drogę rzucano, ażeby przejście otworzyć.

Alexy, pojawiwszy za żonę córkę potężnego cesarza, w noc ślubną rozłączył się z żoną i leżał przed bramą kościelną tak długo, aż się serce Bogarodzicy wzruszyło. Wiatr go przynosi z Edessy do Rzymu. Ojciec go nie poznał i nie poznaje go żona...

Zatęskniło się, pożaliło za braćmi — za Janem z rodu Canapariów, dobrym i chorym, — za Janem mądrym w Bogu z rodu Campaninus'ów, — za Teodorem, arcybiskupem Egiptu, milczącym, — za Lwem, opatem. Alboż nie byli, jak narcyzy i glicynie bezgrzeszni, czyści w sobie, niewinni? Alboż nie byli, jako

święty Aleksy? Cóż ich z czterech węglów świata do tej pustelni przygnało? Czyż nie tego samego szukali? Poślubili dobrowolne ubóstwo na wzór świętego, gotowi byli spać pod schodami w ojczystym domu, nieznanymi i wzgardzonymi, wyrzekli się dostatków, władzy, sławy i możliwości używania rozkoszy. Pograżyli się w rozmyślający żywot na Awentyńskiej górze, wędrując ku temu miejscu z Azyi, Syryi, z Egiptu, z północy i zachodu Europy. A inni, goście — Grzegorz, krewny cesarzowej Teofanu, Nother, biskup leodyjski, Abbon, opat Floryaku, Majol i Odillon, Jakób z Afryki i nieszczęsny, najnieszczęśliwszy na ziemi, Filagatos... Grecy i Syrowie, Słowianie i Niemcy, Francuzi i Włosi. Wszyscy dostojni panowie świata, książęta i wielkomożni dziedzice fortuny, władzy i szczęścia. Poszukiwacze ciszy i ubóstwa, marzenia w spokoju, i badania swej duszy.

W pośród nich wszystkich, jedna głowa najwyżej wzniesiona, na obraz Soracte w nieboskłonie dalekim, ukazała się w szybkim marzeniu:

Nilus!

Od wspomnienia tej twarzy uśmiech wypłynął na wargi pątnika. A uśmiech ten był nieodpowiedzią na pytanie Smętka żeglarza. Niebiański uśmiech ten rozpałił nowy poddmuch wściekłego gniewu w przewoźniku.

Wydrzeć go, jako zieleń nienawistną!

Podeptać go, jako żmiję jadowitą!

Do dzieła!

W natężonem spojrzeniu zawarło się pytanie:

— I cóż Nilus? Przemądrzały grek, doświadczony profesor, głęboki sybaryta, przewidujący abnegat? Ażaliż

nie przedarł się za młodu przez wszystkie arkana i tajemnice zbytku, rozwiążności, rozpusty? Azaliż nie poznał i nie zużył wszystkiego, co daje bogactwo, władza i przemoc? Czyliż nie wykwittem egoizmu, objawem subtelnej arystokracji, przenikliwą i ostrożną świadomością środków przedłużenia życia na ziemi jest jego wyrzeczenie się przesyty i zbytku, którym się przejadł i znudził, a poślubienie mądrego niedosytu i przezornej higieny? Cóż jest wart jego wiekuisty spokój myśliciela, lingwisty i kaligrafa, jego niewzruszona obojętność na burze świata w zaciszu pustelni, — wobec skrytych męczarni, straszliwych popłochów i tortur wewnętrznych »zbrodniarza« Filagatosa, albo zamysłów i pasyi Bolesława Rudego? Zimna jego dusza dba o siebie, o uratowanie, zbawienie samej siebie z pośród oceanu ludzkich żądz i udręczeń. Wchłonęła w siebie niebiosa i ziemię, siebie samą ponad świat przeniosła i postawiła na miejscu wszechświata. Nilus odwrócił się od ojcobójców, którym pasya miłość i rozum wyżarła, od tyranów, którzy noszą w duszach dziedzictwo pradziadowskich i ojcowskich zbrodni, od dzieciobójczyń, które dźwigają na wątlých swych barkach gusła plemion i straszliwość wspomnienia uczynku, wykonanego ich rękoma przez stulecia ciemności, — od zbrodniarzy, zdrajców, katów, którym dzieła popełnione odebrały ostatniego towarzysza i ostatniego przyjaciela: sen głęboki. Nilus spokojnie zasypia w Panu, nic nie czując, okrom troski około doskonałości swej duszy, okrom bezdusznego napawania się swoją cnotą jałową i na nic nikomu nie zdatną. Przetarł wędrowiec dłonią źrenice:

— Jakże to? Nilus?

Starzec ów w izbie pustelniczej pod Bari, w cie-
niu odwiecznych dębów Valla Luce? Dzban wody
i garść zeschniętej figi. Kamień w kącie izby, jako po-
duszka pod głowę. Uboga i znoszona szmata, jako
odzież. Święte pismo tworzonych z trudem palimpse-
stów na starannie zatartych rozpusztych utworach sta-
rożytnych pisarzy. Poznanie się, pozdrowienie, wej-
rzenie oczyma w oczy, objęcie duszy przez duszę.
Rozmowy czarujące nie o tym świecie, lecz o tamtym,
odnalezienie w sobie samych substancji anielskich
i pobratanie się ich, zaznajomienie do najgłębszej iścizny,
ażeby samowtór iść ku światłu wiecznemu. Praca nie-
ustanna, wytrwała, w każdej minucie z temsamem po-
dejmowana męstwem, ażeby pokonać w sobie zwierzę,
rozpusznika, łotra, zbójcę, okrucieństwo, tyranję, żądzę
sławy i nałóg dosytu. Wysiłek wieczny, ażeby wyła-
mac z siebie istotność inną, ponadzwierzęcą i ponad-
ludzką, anielską. Wysiłek wieczny, ażeby być niezna-
nym, zapomnianym, być zdala od wszystkiego, co jest
sławą, być pokornym, być cichym, być niczem, być
sobą samym, być dobrem dla dobra, być uśmiechem
i w łasce.

— O, mistrzu, o bracie... — westchnął apostoł, —
ave, atque vale...

Rozchyliły się połacie nowocerkiewskich, jemlic-
kich i leczkowskich lasów. Wielka rzeka, wyrwawszy
się ze stromych swych brzegów, poszarpanych w dzikie
jary, płynęła przebogata, urodzajną nizina, którą sobie
sama usuła pospołu z morską pracą sprzeciwu. Olbrzy-
mie białodrzewa, wiązy, wierzy i brzozy zastaniały

widok na nieobeszłe obszary traw i kwiecica, ponad stawiskami i w błotach, między Nogacją i Wisłą, a między ramionami Wisły i Motławą. Gdy zaś krypa przybiła do rozdziału strumieni, idących na północ, wschód i zachód, jako Stara Wisła, Szkarpa i Leniwka, przewoźnik na zachód rudło wykręcił, w rozlewną Leniwkę i cichaczem tej wody, sitami i trzciniami zarosłym, obok Pastwy Bąsackiej i Krakowy, a popod wzgórzystą Mierzają, wysokich sosen, lip i buków pełną, popychał statek wiosłami. Widać było na zachodzie i północy tej strony wzgórz wyniosłe ciemnym tęgoborem okryte. Ku tym to wyżynom skierował wiosłarz swą skutę, skręciwszy w łóżysko rzeki, którą nazwał Motławą. Ciężko pracując wiosłami, posunął się pod wodę i w od dali na tle garbatych pagórków w widłach rzecznych ukazał strzechy, drewniane tyny, ostre płoty i zamczy-ste brony grodziszcza, które Gdańskiem nazywał.

Trzej wysiedli ze statku i, minąwszy rybacką osadę, między Wisłą, Motławą i Radunią tam i sam rozrzuconą, poszli ku zaworom grodziska. Zamek stał na wyniosłych posadach, ze wszech stron otoczony obronnemi ścianami, grubo gliną umocnionemi od dołu. Głębokie rowy, spleśniałą napełnione wodą, otaczały ościenie grodowe, zwodzone mosty były podźwignięte, a wrzeciądze olbrzymich dębowych belek zaciągnięte na brony potężne. Przybysze oznajmili się strażom i wpuszczeni zostali. Znalazłszy się w gdańskiej warowni, od trzech lat zdobytej przez króla Bolesława polskiego, załogę wojskową, apostoł z towarzyszami przebył tam czas niejaki.

Głosił w zamku i w rybackiej osadzie ewangelię

Chrystusa. Dowódca grodu, Zmysł wojewoda, z rodu małopolskich Gryfitów, dał mu żołnierzy, wioślarzy i wielką łódź, która bożych wędrowców poza Radunię, Motławę i Wisłę na pełne morze wywiozła. Rozwinąwszy żagle, przez wiatr zachodni wydęte, popłynęli we wschodnią stronę. Mknęli wzdłuż Mierzei Wiślanej i Świeżej, a nocą wylądowali kędyś w kraju sambijskim, na południowym cyplu Kurońskiej Mierzei, dokąd już nie sięgało Bolesława ramię. Z tego miejsca trzech samotnicy odesłali z podzięką statek polski i całą jego załogę, żołnierzy i flisów, do Gdańskiego grodziska. Zostali na piaszczystym wybrzeżu, splekiwanem przez fale. Noc przepędzili w pustkowiu, na owym lądzie nieznanym. Rankiem spostrzegli wioślarza, który ich był w dół Wisły, aż do Gdańska przeprowiał. Ten to ich przewiózł swą łodzią na wyspę, śniącą wśród drzew olbrzymich, w ramionach ujścia rzeczno. Przywdziawszy strój swój biskupi, apostoł i dwaj towarzysze — Radim, — Bogusza, podeszli do mieszkań człowieczych. Lecz skoro zakołatali we wrota osiedla, mieszkańcy tłumem wielkim wybiegli i wśród krzyku dzikiego precz ich pędzili od proga. Jeden z nich, pogański ofiarnik, uderzył biskupa w plecy wiosłem i powalił na ziemię. Odszedłszy tedy z tej niegościnniej osady, przeprowili się na drugi brzeg rzeki i weszli na targowisko, zwane Cholin. Tam jeden z mieszkańców zaprosił ich i do domu swego wprowadził. Na wieść o tem zgromadziła się wielka liczba ludu pruskiego, natarczywie pytając:

— Kim byli? Skąd przyszli? Dlaczego wylądowali w tej stronie?

Apostoł przemawiał, a Bogusza tłumaczył na mowę tameczną, iż są Słowianami, z ziemi Polan przychodzą, którą Bolesław dla Chrystusa pozyskał. Biskup jest sługą tego, który ziemię i niebo utworzył. Przychodzi zaś, ażeby ich wyrwać z rąk szatana.

Na te słowa tłum podniósł wielki krzyk, pełen zniewag i bluźnierstw. Wywijano maczugami ponad głową przychodniów, tupano nogami, bito pałkami w ziemię, grożąc śmiercią, jeśli natychmiast tam, skąd przyszli, nie wrócą.

Kunigas Cholinu przez usta Boguszy oświadczył:

— My i cały nasz kraj mamy swoje prawo i jednym obyczajem żyjemy. Jeśli z pośpiechem nie opuścicie tej ziemi, zginiecie jutro, bo wy według innego prawa żyjecie.

Przynaglenni rozkazem wodza i groźbami tłuszczy, weszli do łodzi i wrócili na brzeg Świeżej Mierzei. W ciągu pięciu dni przebywali w pewnej okolicy, a na szósty dzień wczesnym rankiem odeszli stamtąd, dążąc ku Gdańskowi, w stronę południowo-zachodnią. Około południa wybrnęli z gęstego lasu i na polanie stanęli. Tam Radim przedewszystkiem odprawił nabożeństwo, a biskup Wojciech przyjął komunię.

Z głęboką, wewnętrzną radością przeżywał wieczne mszy misteryum. Zagłębiał się w cud wyrazów nigdy niegasnących, które obejmują, — niby ramy, okowy i zawiasy, — życie i śmierć, a między życiem i śmiercią ukazują przezczysty, biały chleb miłości. Tylekroć przeżyty obrzęd mszy stał się dlań nowiną, widzianą pierwszy raz, zasłyszaną teraz dopiero. Jakże mu było w sercu radośnie widzieć oczyma ścieżeczkę między

życiem a śmiercią, szlak między tym i tantym światem, który się we mszy pośród mroków rysuje! Jakże niebiańską była pogoda, roztoczona nad wszeźmi słowy, nad wewnętrzną zawartością słów, nad spokojną wiedzą w nich o śmierci! Każdy dźwięk wezwań wyższa, który w stadach wilków, zbójców, zdrajców, tępicielei, oszustów i zbrodniarzy odnajduje tylko synów bożych i braci anielskich, a w ciałach zmazanych krwią i brudem odnajduje, duszę, trafiał na miejsce przeznaczone i budził w sercu uczucie anielskie. Rozkaz podniesienia serc w górę, zaiste podnosił serce do Boga. Rozkaz zapalenia w sobie płomyka modlitwy rozniecał tak żarliwą i płomienną, iż ciało odpadało z ducha, na wzór szaty znoszonej i ciężkiej od brudu. Duch sam znajdował miejsce swe przed obliczem Boga, głosząc ze drżeniem, z rozkoszą wiecznie nową i zachwycającą: Święty, Święty, Święty!

Gdy kapłan Radzym podnosił kielich ofiary w górę, biskup, klęczący za nim doznał złudy niebiańskiej, która go nieziemską napełniła radością. Zdawało mu się, że kielich ten wznosi się ponad drzewa wysokie i stare, że dotyka nieprzezroczystych obłoków i błękitu nieba. Co więcej, — wydało mu się, — a doświadczał tego dotykaniem, fizycznym czuciem poderwania siłą tajną nad ziemię i podźwignienia w powietrze, — iż to ten umiłowany brat, w którego żyłach ojcowska Sławników krew płynie, choć go innej matki wypiastrowało łono, — podnosi go, niby wino świętego kielicha ofiary, drżącymi rękoma, wśród płaczu i modlitwy trzyma wysoko i że go w niebiosy podaje. Słodko tak było leżeć w przestworze na drżących a nieomylnych dłoniach

braterskich, wysoko-wysoko, w niebiańskim zachwycie i prosić się najzarliwszą modlitwą u Boga nieśmiertelnego, aby go już odebrał z tej ziemi, ażeby go już przyjął i wziął z braterskich rąk omdlałych i do swego łona przytulił. Kołysało się serce wzburzone na wzór gałęzi dębowych, co sploty poplątanemi zwisały nad głowami zwiastunów.

Pośrodku polany, na wzniesieniu łagodnem stały dęby olbrzymie. Tysiącletnie ich pnie pokryte były bulwami narośli, grubemi warstwy zestarzałej kory o barwie śniedzi i zczerniałego brązu, głębokimi pęknięciami, któredy przez stulecia wody niebieskie spływały ku ziemi, i gzygzakami strzeleń ongi piorunu. Wysoko w górze te niepomierne śniaty rozpadały się w las wideł, ogromnych konarów, gałęzi, i niezliczonych wici. Wici te nie były jeszcze liśćmi okryte.

Nogi cudzoziemców brodziły w głębokiej pościeli takrocznego ulistwienia, w szelestnym puchu barwy pozłocistej, przetkanym mnóstwem żołądzi i zdrewniałych dębianek.

Nie wiedzieli wysłannicy kościoła, iż miejsce to, na którem mszę odprawiali, było uroczyskiem poświęconem bogom tego kraju! Na wzgórze to pod cieniem dębów świętych nie wolno było nikomu, a zwłaszcza cudzoziemcowi nogi postawić.

Po ukończeniu nabożeństwa, znużeni wielce, posilali się bulwiastemi korzeniami roślin niektórych, przez wiosnę zbudzonych do życia, i smolnem pąkowie drzew rozkwitających. Potem w strudzeniu swem do snu się układli. Przytuleni do siebie, ogrzewając się nawzajem ciepłem cielesnem, a okrywa-

jąc suchemi liśćmi od wiosennego chłodu, twardo zasnęli.

A gdy najgłębszy sen związał ich powieki, posłyszeli w sobie biskup niewymowną melodyę. W lekkoskrzydłem marzeniu widzi przed sobą Smętka przevoźnika, jak o pień wielkiego dęba oparty, gra, jako menestrel, na pięciostrunnej normandzkiej wioli. Niezwyciężona potęga tej muzyki, najwyższa, najbardziej niezmożona potęga ziemi, która na proch kruszy wolę tyrańskich mocarzy, i uśmierza dzikość niemych zwierząt, ogarnęła serce. Wychynęła z nicości rzekomo kwiat o tęgim, przenikającym, subtelnym zapachu i koronie nigdy niewidzianej.

Bojownik boży mocą wyćwiczoną swej żelaznej woli odtrącał od siebie melodyę i jej ubezwładniającą woń, która tak przemyślnie, a zarazem tak prosto, wyjawiała zapomniane skrytości, tkwiące na początku i w środku życia, wczoraj i dzisiaj. Chwile dawne, w czasie zamierzchłe, zaginione i do cna przepadłe w niepamięci, stawały się dzisiejszemi, o sile wyrazistości stokroć większej, niż ją wówczas posiadały. Uczucia pogubione w dzieciństwie, w młodości, na czeskich polach, błoniach i wzgórzach, w rodzinnym domu, gdy jako księżę na czternastu żupach, w państwie udzielnem, jako młodzieniec anielskiej piękności, hasał w orszaku rycerzy, — w Magdeburgu pod okiem Otryka, w towarzystwie Thietmara i Bruna, — w obczyźnie dalekiej, gdy jako włóczęga ubogi biegł boso w świat, — dogoniły go i teraz oto odnalazły. Widoki miejsc, niegdy oku miłych, rodzone i obce, ponure i radosne, uśmiechy święte i bestyalskie błyski oczu dzikich, —

skądś, z pradawna powiewy wiośnianych wietrzyków, zapachy rokicin słońcem przygrzanych, ziół rezedy, — tęsknoty i pożądania, które już w otchłań wsiąkły i nicością się stały, — rzeczy-sny, — widzenia wypadków — bezbarwne, długie smugi, — rzuty młodocianej imaginacyi i popędy woli, zamurowane nazawsze w sylogizmach doświadczonej cnoty i niezłomnego rozumu, — wszystko dawne, rozpierchłe, lotne, wietrzne, czego słowo nie wyrazi, — zawrzało w głębiach duszy, niby ukrop na ogniu. Stało się nowe, godne żalu. I to nawet, — o, dziwna siło! — co było niegdyś boleścią ponad miarę. Przemoc tyranów, ociekających krwią ofiar i zawziętych w ślepym uporze, przemoc tłumu, bardziej zacieklego w swym zwierzęcym obyczaju, niż sama władców tyrania, — krew braci i rodziny pod mieczami i ostrzem toporów, — poniżenia, groźby, urągowiska, wypędzenie z ojczyzny, przymus do wiekuistej po świecie wędrówki...

Wędrówki dalekie krainą Czech, Germanii, polami słodkiej Francyi do Dijon, po bratnią duszę z dalekiej Brytanii, Astryka - Atanazego, — do cichego w Tours grobu świętego Marcina, który nawet dyabłu gotów był odpuścić winy, — do świętego Dyonizego w Paryżu, do relikwii świętego Benedykta we Flo-ryaku, — dolinami gór i błoniami Italii do Rzymu, do Monte Cassino i Valla Luce, — równinami Pannonii, lasami Polski... Kędyż jest koniec tej ziemi drzew, traw, rzek i pustkowia?

Szukanie, wieczne szukanie. Nieustanne, nieustanne szukanie.

W głębi ciemnych bazylik, o wnętrzu czarnozło-

tem, pełnem stojących aniołów, — w izbach dostojnych abnegatów, gdzie niema nic oprócz wilgotnego muru i wyklęczanych desek podłogi, — na stromych stopniach tronu cesarza, — na wysokich stopniach siedziska papieża, — w zamkach dzikich, skrytobójczych królów, którzy po uczcie zasypiają spokojnie nad piwnicami, pełnemi ryku jeńców ich, współzawodników z wylupionymi oczami, — w norach barbarzyńców, — w obozowiskach wojowników okutych w żelazo, — wśród zwierząt i zwierzętom podobnych osadników w nieobeszłej puszczy.

Zaniósł się wyżej, wyżej trójdźwięk wioli. Stał się wymyślny, niespodziany w swych drogach, niezrównanie piękny, okrutnie rozkazujący. Ogarnął sobą wszystkę słabość duszy, bezsilność serca, marzenia nietamowane wolą. Pytał się, jak głos człowieczy vox humana, jak nieubłagany inkwizytor:

— Wędrowcze, cóż masz w ręku? Cóżeś osiągnął? — Podróżniku, szukający niebios na ziemi, czyżeś je znalazł?

Upadła przed tym głosem boleść steranego człowieka, skarżąc się w porażce swojej:

— Nic nie mam, o, okrutniku. Nagi jestem i zewsząd wygnany. Nie mogłem na ziemi odszukać Boga. Więc już chcę odejść do Boga w niebie.

Opuścił się tedy ton wioli nisko-nisko. Zaśmiał się chichotem przeraźliwym. Stał długo nad powalonym człowiekiem ów śmiech przeszywający ziemię, niebios a i otchłanie.

A gdy przebrzmiał ostatni z jego łoskotów, odmienił się melodia. Widać poprzez nią pola złotem zbo-

żem zarosłe, kędyś nad strumieniem Żurinem, kędyś w pobliżu góry Osek. To jedno jedyne istotą rzeczy było. Tam, za dziecięcych dni. Wszystko inne — ciemności dziedzina. Tam tylko słońce świeci, dąbrowy rozbrzmiewają od śpiewu ptaków, śmieją się ludzie. Tam tylko wre prawdziwy odgłos pracy, gwałt życia i wi- dać cel wszystkiego. Wesele młodości, radość sił w rozkwicie wionie z roztwartych okien parnych izb, gdzie się wino przelewa, skąd słycać krzyki potężnych mę- skich gardzieli i śmiech radosny kobiecy. Swawolna piosenka wyfruwa przez okno uchylone. Śmieją się do rozpuku szumne, wesołe głosy z posępnego przecho- dnia, co czempředzej uchodzi w swą dal wiekuistą, dą- żąc do Boga. Ach, — wysunął się oto z przegubów, ze skrętów, wzlotów i zniżeń, ze ściskających serce si- deł muzyki tej kształt dziewczęcy. Nadobne niebieskie oczy wpatrują się z głębokości snu w oczy wygasłe, w oczy wypłakane nad nędzą świata, w oczy, co otchłań niebios wciągnąć w siebie zachciały. Pytają się o cości nienasylenie ciekawego, jak wonczas na kwietnem, czeskiem błoniu, nad połyskującą, nad tamtą, nad je- dyną wodą. Osuwa się z ramion tkanina biała, opada z bioder suknia i nagi kształt się przybliża.

— Tyżeś to, książę mój, jasny paniczu? — szepcą usta karminowe. — Dokądżeś odszedł z naszych, nad Cydliną pagórków? Czemużeś nie chciał usteczek mych, pieśczoł, na którym ciemnymi nocami czekała? Pa- miętasz uśmiech mój, mój maleńki uśmieszek radosny, dla ciebie jedynego w łoskotach serca wypiastowany?

Nadaremnie czerwone zawierać powieki! Obraz uśmiechu, zabłąkanego na tamte usta różane, połysk

jasnych warkoczy, które promień wiosennego słońca ozłocił, — w głębinie oczu trwa, w żyłach, wraz ze krwią płynie. Na falach rozkoszy muzycznej wciela się w piersi żywy, dziewczęcy głos. Radość podźwignęła ku widzeniu ramiona.

— Odejdź odemnie! — proszą się usta spieczone. Jestem nieszczęśliwy wędrowiec, do innego idący świata, gdzie Bóg prawdy mojej przebywa. Jestem tułacz samotny, szukający śmierci w Chrystusie.

— Czemuś mię nie chciał, władczu młody, najpiękniejszy z królewiat ziemi?

— Szukałem na świecie i nie mogłem znaleźć zbawienia świata. Chciałem rodzaj ludzki ramiony swemi podźwignąć ku niebu. Chciałem królestwo Boga wiecznego ściągnąć na ziemię i wśród plemion ludzkich osadzić.

— Ach! — westchnął czarujący cień. — Patrzałam tylekroć z pod czarnego dachu mego rodzica, gdyś szedł zadumany nad brzegiem wody. Patrzałam poprzez strumienie łez, kiedyś na swym czarnym rumaku odjeżdżał. Kochałam cię aż do szaleństwa. Ileż to razy biegłam po śladach twych stóp w woniejące zagaja, ileż to razy szukałam cię, żeby tobie jedyemu oddać wszystek mój czar, gorącą nagość mego ciała, nienasyconą moją rozpustę, którą dla ciebie jedyemu ciemnymi nocami wyśniłam. Odszedłeś, mnichu, w niebo zapatrzony!

Zobaczył znowu najtajniejsze piekło swoje, — debrze radosne nad Cydliną, wysnioną tylekroć, nieistniejącą już na ziemi — ziemię szczęśliwą. Wzdychały tam lepkie, wiosenne listeczki brzoź i blade pędy

iałowca poganiały do rozkoszy nagie ciało. Młodociana pławina kaliny, co na świat z macierzystej łądygi wybiegła i jaśniała w błękicie niebios, w zapachu konwalii, pławiła się powolnie w tańcu łagodnym, — ni to dziewica niesplamiona męskim pogłaskaniem, odpinająca pierwszy raz sprzączki szaty przed namiętne wejrzaniem. Tam to ponownie szli razem po niezapomnianych przenigdy, po wyśnionych kamieniach zbocza góry w tajnik nawisłych gałęzi, w miłosną sień, poziomkami i nakrapianym kosaćcem sadzoną.

— Odszedłem! — krzyczał co w piersiach tchu. Musiałem wystąpić przeciwko zagładzie rodu ludzkiego. Szatan wystąpił przeciwko Bogu. Antychryst szedł na zniszczenie papieżstwa i cesarstwa. Koniec świata był bliski. Któż miał podjąć obronę Ukrzyżowanego? Któż miał zasłonić sobą nieszczęśliwych? Kto miał odkupić niewinnych? Oto ja sam, którym tysiącolecie ludzkości na barkach dźwigał. Czyliżem mógł dopuścić, ażeby szatan zwyciężył? Zabrzmiała nagle tonika tajna, inna, nieznana, zasadnicza, podstawowa, a przyłączyły się do niej dźwięki różnorodne, brzmiające wraz z nieopisaną potęgą. Horror, groza, strach — wywinęły się z pięciu strun wioli. Bolesć, furya, szal — runęły, jakby zjuszone plemiona na plemiona w walce śmiertelnej. Wściekłość, zemsta, morderstwo, pożoga, zwierzęcy gwałt, zdrada, podstęp, okrucieństwo — wypadły na słuchacza z tych strasznych pięciu strun. Tryumf dzikiej i ślepej siły bydłowej zatrafił ponad jękiem — umieram, umieram! — ponad płaczem kobiecym i lamentem krzykliwym maleńkich dzieci. Naspał się i ocknął ze snu apostoła.

Podniósł głowę. Nastuchiwał.

Ustała już melodia przez wiołę wydana, lecz trwał rozruch duszy, działający wewnątrz, a żywiej, niż muzyka sama. Myśli i czucia były rozpięznięte, a ostre, jakby cudze, wtrącone do głębi przemocą. Można by rzec, iż zewnętrzność muzyki stała się duszy wewnętrznym muzycznym drżeniem. Tajemnica wpływu muzyki była jakby smyczkiem, przebiegającym po duszy, ni to po strunach. A dla tej muzyki samej duszy wszystko się stało oczywiste i bliskie. Potęga złego ukazała się przed oczyma w całej ohydzie. Zimny mróz rozsądka zwarzył wszystkie samoistne czucia. Twardy egoizm patrzył głęboko i chytrze w każdy życia uczynek. Odgięła się włodycza pycha, jakoby kuna żelazna, raz na zawsze zaklepana młotem woli.

— Czemużem to ja, czemu, nie zostałem księciem na Lubice? Gdzieżeś jest, czarny mój koniu? Czemużem się nie pomścił nad Wrszowcami, chociaż od roku krew braci za mną się dymi?

— Czemu nie wypędziłem zbójów tych z naszego księstwa, ja, syn księcia i wnuk księżniczki bawarskiej?

— Czemuż nie szedłem z przemądrzałym Gerbertem ku stopniom papieskiego tronu, lecz szedłem samotną ścieżką Nilusa i Brunona?

— Czemużem się nie stał zausznikiem i pochlebcą Ottona cesarza, lecz uciekałem przed jego łaską?

— Czemużem nie poszedł w ślad Sobieborą i nie rządę duszą polskiego wodza, lecz uciekam przed jego łaską?

— Czemużem nie szedł z Krescencyuszami, ażeby

zepchnąć Ottona z Rzymu nazawsze i zasiąść na tronie Jana XVI-ego?

— Czemużem nie został na Awentynie, lecz tu się tułam w tych borach bez granic?

Lecz cóżbym czynił na Awentynie, gdybym tam był nanowo? Cóżem tam uczynił? Azaliż nie były to czyny szalonego?

Spieszyć do spełniania cudzych rozkazów, jak inny spieszy do uczy? Im podlejsza posługa, tem ją radośniej wykonywać? Tygodniami z największą starannością kuchnie czyścić, miski i naczynia zmywać, ni to kuchcik za wszelką kuchenną posługą biegać, wodę dla braci wyciągać o świcie, nim się ocknęli, i do celek zcicha zanosić? Wieczorem, rano, w południe ciężkie wiadra dźwigać do stołu? Wypraszać u opata łaskę służenia całej społeczności zakonnej rano, w południe, wieczorem? Tak dalece nie pozwalać sobie na własną myśl, tak dalece nie mieć własnego czucia, iż publicznie głośno najtajniejsze skrytości przełożonym wyjawiać? Za jedyną czynność ducha poczytywać rozważanie istoty cnót i grzechów? Podkładać pod dom duszy swej fundament takiej pokory, iż poza nią nic już nie było prócz pustki i rumowisk? A zaś na dworze cesarza w Rzymie, w Moguncyi?

Od odźwiernego do rozkazodawcy wszystkim, gdy posnęli, obuwie zbłocone myć wodą, a oczyszczone z brudu stawiać niepostrzeżenie na miejscu?

Zamiast iść drogą przezornego Gerberta, ażeby w młodzieńcu budzić dążenia cesarskie, podniecać żądzę i dumę zawładnięcia i rządzenia światem, — dniem i nocą z nim przebywając, jako towarzysz nieodstępny

i najdroższy, na zamkach i w pałacach, w podziemiach bazyliki świętego Klemensa noce i dnie trawiąc na czuwaniach, uczyć go jedynie swojej własnej pokory i wyrzeczenia się dóbr tego świata?

Zamiast podniety do skupienia w sobie potęgi, mocy, zamiast rozpalania w nim greckiej ambicyi i rzymskiej pasyi, zaszczipać mu cnoty mądrości, sprawiedliwości, męstwa i wstrzeźliwości, cztery kwiaty duszy zakonnika?

Kochając głęboko tego czarującego młodzieńca, budzić w nim słodkimi słowy miłość nie świata, ojczyzny, wzniosłych czynów w ojczyźnie, lecz jedynie miłość ojczyzny niebieskiej?

Dniem-li, nocą-li, gdy rzesza ludu, dobijająca się doń, dała przystęp, świętobliwemi rozmowami osaczać go, żeby sobie cesarstwa i władztwa nie miał za nic wielkiego, żeby wciąż pamiętał, jak śmiertelnym jest człowiek, jak nawet najpotężniejszy i najpiękniejszy, w proch się zamieni, będzie zgnilizną i jadem robaków?

Nauczać go szerokimi i niezbitemi wywody, iż powinien, tak wysokie krzesło zajmując, zostać ubogich i sierot ojcem, wdów opiekunem, bać się Boga, jako rozważnego i sprawiedliwego sędzi, miłować Go, jako dobrotliwego win przebaczydciela, i bacznie patrzeć, jak ciasna droga wiedzie do żywota wiecznego?

Upominać bez końca tego drogiego syna, żeby wzgardził dobrami doczesnego żywota i pragnął wieczności, szukał tego jedynie, co nie przemija, — nie pokładał ufności w rzeczach tutejszych i przemijających?...

Jak od naciśnięcia palcem struna wioli skraca się, a dźwięk z niej wydobyty staje się wyższym, taksamo od nacisku tego wewnętrznego wzburzenia, myśli złowieszcze na szczyt swój wybiegły. Spojrzenie zuchwałe objęło najdalszy horyzont.

— Czyliż to nie duma przygnała mię tutaj?

— Czyliż nie żądza wyniesienia się ponad Otryka, Adalberta, Brunona, Romualda, ponad Lwa, Jana Kampaninosa, Jana Kanaparego, Strata, Jakóba z Afryki, ponad Nilusa, ponad świętego Alexego?

— Czyliż nie postanowienie wewnętrzne zaćmienia ich wszystkich kazało mi wybrać śmierć, jako cel, a opowiadanie ewangeliji, jako środek?

Biada mi dla wyniosłości mej!

Jęknął nieszczęśliwy, twarzą upadając na ziemię. Bezmierność klęski przygniotła jego duszę. Lęk wobec tryumfu szatana krople potu wycisnął na czoło. Powłoka cielesna zadrżała, stając się bezsilną, jak łachman. Dusza stanęła w próżni, wyklęta i sama jedna, zewsząd wygoniona, jako żebrak psami wyszczuty z opłotków ludzkich w okrucieństwo pól zimy.

Z upadku krzyk ludzki apostoła ocucił.

Zaiste — radosne obudził w piersiach echo.

Nadbiegał wielki tłum, niosąc oszczepy, koły i kamienie. Otoczyli ze snu zbudzonych wielkiem koliskiem. Kapłan pogański, którego brata zabili byli na wojnie Polacy, nadbiegł pierwszy i stanął na czele pościgu. Na jego skinienie tłum związał apostoła i jego towarzyszków. Poprowadzono ich na przyległe wzgórze.

W tej chwili spokój głęboki wrócił się do duszy.

Wielkie męstwo, owoc dojrzały cnót uprawianych w ciągu życia długiego, ocknęło się z omdlenia. Uspokoiło się serce. Radość prosta, mocna i górna rozemiała się w piersiach, a uniesienie nieopisane zamieszkało w ciele. Gdyż w ciało postronkami związane wstępował Chrystus Pan, kroczący na górę śmierci. Słowo pozdrowienia, politowania i pocieszenia, słowo modlitwy do Jedynego Współbrata w przestrzeniach i w wieczności wypełzło na wargi.

Rzeczywistością stał się sen życia całego.

Wojciech stał się Chrystusem, wiszącym na krzyżu.

Usłyszał głos:

— Nie bój się!

— Daj mi być Tobą samym, a Ty bądź samym Mną.

Ozwie się święte echo:

— Amen.

W tłumie, miotającym grudy ziemi i piasek, apostoł dojrzał oczy Smętka przewoźnika.

Zrozumiał. Oczy tamtego napełniła niepewność rozczarowanie, smęt, albowiem nie było to jego zwycięstwo.

Krzyk ludzki stawał się coraz bardziej nienawistny. Twarze były zziajane, żądne zemsty. Byli to może potomkowie tych Jutów, co na łodziach bersekerów przybywszy w te strony, spalili swe statki, ażeby nie było na czem w strony dzikie powracać. Byli może przychodniami z puszczy wschodu...

Kapłan pogański pierwszy zaciosanym oszczepem uderzył.

Za ofiarnikiem inni cisnęli ciężkie włócznie, żerdzie przywleczone zdaleka.

Siedm ran straszliwych poniósłszy, apostoł śmiertny sen przyjął pod ciosami. Tłum porąbał na części jego ciało. Części rzucił do wody. Głowę odrąbaną na żerdzi zatknęto.

Włodzisławowic, Zbigniew — serce zdradzieckie, — w pustej komnacie płockiego zamku błąkał się od okna do okna. Głównie sosnowe tłały w wielkim kominie. Światło z otworów okiennych, wpadające poprzez błony ze skóry baraniej, napojonej tłustością, ledwie o dniu świadczyło. Tyleż co światła ta izba, miało w sobie ludzkiego wesela zdradzieckie serce książęcia.

Niedawno Włodzisławowic stracił był syna jednorodzonego. Wślad za tą klęską spadły nań inne, tłumem, zastępem. Daremnie się stały intrygi i podszczuwania, zasiewane wśród Niemców, Czechów, Pomorzan. Daremnie paliły się i obracały w perzynę bogate grody, konali chłopci, przeklinali starcy, jęczały uprowadzone kobiety i nadaremnie poginęły dzieci, mieczem przecięte, spisą przebite.

Daremnie!

Tryumfował »Żóraw« Bolesławów.

Teraz z obozów czeskiego Władysława, który jedynowładzcy krakowskiemu wrogiem być przestał, Zbigniew, — brat — wróg, — wrócił się do ojczyzny z dobrej woli i upadł do nóg wrogowi — bratu.

— Zapogódźwa się, bracie! — wyszłochał.

I z krzywej gęby wroga — brata uśmiechnęło się doń odpuszczenie.

Samotny skazaniec siedział oto w płockiem zamczysku.

Syna wspominał.

Wspominał szalone swe dzieje.

Przykładał dzień dnia i noc w noc szalone swe dzieje, uczynki, pełne żądy nigdy niesytej i pełne poczucia krzywdy, wieczyście w piersiach niegaszonego wapna, — przykładał wyniosłe swoje zamysły do tej porażki zdradzieckiej wciąż okrucieństwem ciosu jednako zdumiewającej głupotę zamysłów, do klęski tej ponad wszystkie i wszystko: — utraty jedyne.

Uczynki, grzmotowi podobne, zawaliły się w ciszę pustego miejsca, co tkwiło teraz przed oczyma zawsze i otwierało się wszędzie, w myślach, w uczuciach, w popędach, w nałogach: — puste miejsce po synu.

Obojętny się stał gwałt podniety, tęsknota do zgiełku bitwy, do zapachu perzyny płonących brata warowni, do krzyku jego ludzi, rażonych żelazem, — i obojętny się stał sam sen o nowych wybiegach.

Cichego synowskiego płaczu po nocy nic nie mogło zagłuszyć.

Nie zagłuszyłyby go krzyk wszystkich synów człowieczych, gdyby ich w całym świecie do nogi wyrąbać, od Wełtawy po Jasmund i od Solawy po Dniepru u końca świata.

Na miejscu takiego krzyku, gdyby go wydrzeć z nicości, znowuby ta sama pustka zaległa. Nicość była w tem miejscu, gdzie przebywał czarujący królewic,

obdarzony wszystkim nad miarę, czem niebiosa obdarzyć mogą śmiertelnych, zapowiedź wzniosła króla Polanów. Ślady jedynie po nim przetrwały to tu, to tam, smutne świadectwa, że w istocie bytował na ziemi, potwierdzenie, że niewątpliwie tam i sam przeszedł, — i dowody, że go już niema.

A ślady nie prowadziły nigdzie, szły wstecz, coraz mniejsze ukazując stopy, — krążyły wokół, wracały do tego samego miejsca, skąd wyszły, do miejsca, gdzie była pustka. Ucisk, jak góra nieudźwigniona, leżał na sercu i rzekę tajnych łez wyciskał.

A rzeka ta poprzez pustkę, w nicość swoją płynęła. Nie dawało pociechy leżenie krzyżem u świętej w Gnieźnie trumny i wylewanie tyłu niemęskich łez, iż od nich wkoło kamienie wilgotniały. Daremne były modły i błagania, żeby męczennik przywiódł od Krysta, żeby na krótkie mgnienie źrenicy pokazał synowe oczy, włosy, ręce i ostatni uśmiech żałosny. Nie dawały pociechy zaklinania potajemne i wzdychania sekretne do Trygława, którego złoty kloc widziały własne oczy w Szczecinie. Na nic były zaklęcia do władcy, o którym zapewniali wróżbici, iż trzema państwami włada — niebieskiem, ziemskim, podziemnem, — ażeby zażądał czego tylko chce, za wyprowadzenie syna na jedno mgnienie źrenicy z podziemnego państwa w to ludzkie życie, przed ojca źrenice.

Nędzną stała się ziemia podwładna.

Jałowe były księstwa z ich powiatami.

Puste się stały niebiosy.

Krok zleniwiały o grube ściany zamczyska łoskotem kołatał.

Sen odleciał od powiek.

Jadło się umykało od gęby.

Kielich stał się obmierzły dla wargi.

Sława śmieszna się stała dla serca.

Czyn ohydny się stał dla ramienia.

Miecz, wiekuiście krwi żądny, przedostatni towarzysz, odpadł od boku i w pogardzie zalegał

Ostatni jeno towarzysz, — nędzny szloch, — po-bratymstwa dochował.

Zatrzymał się książę w swej błędnej drodze i szatańskie przekleństwo cisnął w swą dolę. Komornik zcicha zakołatał we drzwi pańskiego pokoju. Wstąpił za próg, bijąc czołem. Oznajmił, iż stoi w przedsionku włóczęga z lirą, wędrujący od sioła do sioła, od grodu do grodu, od zamku do zamku. Chwali się, iż prastare powieści wyśpiewać umie.

Skinął władca, żeby go wpuścić.

Wszedł pieśniarz.

Czołem przed synem Włodzisławowym uderzył. Chodaki jego pyłem gościńców zasute. Łyko lipowe wżarło się w goleń zczerniałą. Stara opończa spłowiała na słotach i wicherze. Włosy wypełzły od mrozu i słońca letniego pożarów. Oczy jego w dal patrzają, nieprzejrzane, jako błony okienne.

Spyta królewic:

— Z jakiegoś kraju?

— Ze świata, — rzecze.

— A dokąd idziesz?

— W świat.

— Czyjeś poddany?

— Niczyj.

— Któżeś ty jest, włóczęgo?

— Wieszcz.

Książę przysiadł na skórach jelenich i łosich, stosem w rogu izby zasłanych. Dał wieszczbiarzowi znak, żeby gędził.

Tamten lirę do lewego boku przycisnął, nastroił, zakręcił korbę drewnianą i jał palcami po ośmiu trzpieniach przebiegać.

Zaśpiewał ponuremu księżęciu klechdę poddymną, sielską, gminną, baśń pątnicę.

— Był, — wierę, — za wysokimi górami, za borami, za lasami, za siedmią jezior, za siedmią rzek wielki w swojej dziedzinie, chrobry na wroga, jedynowładny władacz. W którąkolwiek stronę poskoczy jego bojowy koń, wszędy mowa z jednego źródła w odmienne strugi płynąca o jego ucho uderza. Ponadjezierzu i ponadrzeczu, w wielkogórach i za górami, w głębokich borach, na wydmuchach, w kujawach, w polanach, w pustaciach, w moczarach i nad wielką morza wodą — wszędy mu się ściele własna dziedzina.

Jeśli wiosna rozpostrze na jego szlaku topiele, w których po grzywę szczerozłotem przeplatana bojowy ogier zapada, a gęste lasy zakurzą się gnuśnym tumanem, — to wnet tęga zima pod złote konia podkowy lodowe ponad głębiną mosty wykowa i z twardej grudy nad niezbrodzonem oparzeliskiem dźwięczącą drogę zbuduje, żeby mógł iść jastrzębiooki w swoją własną, jemu tylko jednemu wiadomą dal. Bo na nie mieckiego idzie cesarza, — rzekę Solawę pędzi przepływać, — w Magdeburg polską strzałę wyrzucić!

Jednaka wszędzie podpłotna róża przy pylnych

kolejach drożyn wita go lecie, — i modrą smugą len wśród traw nadobnych jego rozkochane oczy pozdrowia, kiedy w zaraniu lat zdąża zimne Kaszuby z Białą Chrobaczą pobratać.

Złota wywielga, śpiewna boguwola, przekorna zofija jednako się ponad Wisłą i ponad Odrą i ponad Bugiem jego lśniacej zbroi dziwuje, — a kukułka w radosnej wiosny godzinie szczęście mu wróży, gdy wzdłuż bystrego Wagu, w krasnej słowackiej dolinie sadzi na przedzie chorągwi.

Kazubek z sosnowej kory, czarnej albo rumianej jagody pełen białowłose łużyckie pacholę do strzemion mu niesie, — a dzban gliniany zimnej wody ze źródłu w ciężki czas, gdy wroga pędzi z ziemi Dziadoszan, załęcznione dziewczę na klęczkach poda.

Gdziekolwiek tętent jego pędzącego rumaka zahuczy, tasama wszędy zostaje wieść: tędy przelatał w swym złotym szłomie, — tu konia poił, — tam się o drogę zapytał, — tu lud pozdrowił wielki od Niemców obrońca. Na czeskiem błoniu, w ruskiej równinie, w suchej sosnowej nad Narwią kniei, w wąwozach ponadwiślanych i na wzniesieniach, zza których wielka pustka morza sinieje — błyszczy jego miecz, zaganiający w naród potężny pastuchów i oraczów, a warczy obuch topora, zbijający z bezwoli niewolników mo-carstwo.

W jego to rękach żelaznych wszystka Wisła od pierwszej do ostatniej fali wody swoje przelewa.

Od jego spojrzeń morze się burzy.

Do kopyt jego bieguna posłusznie idą wody zza świata.

Łoskot po ścianach kamiennych gór się obija,
gdy zastęp jego drużyny wpoprzek dolinami cwałuje.
Sława jego o tron cesarza uderza.

Cesarz pacholę zstępuje z tronu i bosemi nogami
przybywa do jego władztwa w ziemi dalekiej.

Pokochali się obaj z cesarzem.

I mówi cesarz »Cud świata«: — Ciebie uczynię
cesarzem po sobie, umiłowany...

Lecz odszedł tamten z niemieckiej ziemi.

Gdy nowy cesarz zasiadł na tronie, spojrzeli sobie
obajdwaj w źrenice.

Skoro księżę sklawańskie spędzi ze stolca cze-
skiego Rudego tyrana i sam na stolcu zasiądzie, rzuci
nań cesarz przekleństwo.

Wymknęła mu się sposobność szczucia Czecha
na Polanina, władania ich nienawiścią, tępienia słowian
przez słowian. Jeden nad nimi wszystkimi!

Miecznik pokorny, co w procesyi cesarskiej wielki
koncerz przed majestatem piastował, miałżeby śmia-
łość wszystkie ludy pokrewne zasłonić mieczem, zdra-
dziecko zwróconym i nastawionym bezczelnie, ludy
znad Łaby, znad Wełtawy, znad Wisły, ludy z wysp
i znad morza?

Skoro cesarz swe poddane zgromadzi, nastawi
Czechy, najmie Lutyki i znad Warty wyruszy, polań-
ski władca do boju nie staje.

Scytyjskim obyczajem w lasy się cofa.

W błotach się czai, zza drzew odwiecznych na
drogi zwalonych, spoza zasieków w głębokim boru,
z wąskich grobli na błotach, z zasadzki u brodów
tysięczne wypuszcza strzały.

Uchodzi poza Łużyce, poza Śląsko, pod Poznania. Tam, jakoby, o pokój uprasza niedobitki niemieckie.

Skoro zaś cesarz ciała poległych rycerzy pozbiera i z rannymi do stolicy się cofa, zdradziecki napastnik trop w trop go ściga, Odrę wpływ przejdzie, za Łabę pomknie, opanuje Łużyce, Miłsko osadzi.

Idą nań w odwet — graf Gero i graf Herman — aż do Głogowa.

Z murów Głogowa patrzy polski wojennik na Niemce, jak ich pluta zalewa, niszczą choroby, mór dziesiątkuje.

Z murów Głogowa patrzy ze śmiechem, jak z jego ziemi bez boju uchodzą.

Potrzenie cesarz zgromadzi Niemce, Czechy, Bawary, Lutyki, podszczuje dalekie kijowskie Waragi — i sam na czele szyków wyruszy.

Nad Odrą stoi obrońca.

Za dnia i w nocy jego sowie oczy stróżują, kędy do brodów Niemiec się zbliża.

Dokąd sam nie dopadnie, — syn, ścigły jeleni, doskoczy.

Naciąga z tamtej strony ciężki tysiąc jego łuczków i tysiąc nieszczędnej strzały w kwiat rycerstwa wypuszcza.

Po mostach na łużyce rzuconych wraca cesarz schorzały w swe strony.

Margraf Gero i komes Burhard wiedą odwrót przez ziemię Dziadoszan.

Wonczas ze swojej zasadzki dziesiątki tysięcy strzał ciśnie i trupem bez miłosierdzia łużyckie błota zaściele.

Sam ściga niedobitki niemieckie.

Syna za Łabę wyprawi, żeby kraj cesarski pu-
stoszył.

Skoro zaś opanował Łużyce, dalej nie idzie. Wa-
rownię obok warowni przeciwko Niemcom buduje.

Nanowo porwie się cesarz.

Na Głogów!

A spod niezłomnej ściany Głogowa zboczy do
Niemczy i oblegnie grodziszczę.

Cesarz dobywa grodziszczę, na jego ściany wy-
sokie posyła Czechy, Lutyki, a księżę polskie wypada
z Wrocławia i szarpie szyki cesarskie.

Aż nie zdobywszy zamczyska, cesarz sromotnie
odejdzie.

Na czeskie góry odstąpi.

Wonczas księżę polańskie osiągnie krainy nad
Odrą — Słupiany, Żarowiany, Łużyczany, Milczany.

Po stokroć nawoływał Lutyki, żeby się z nim
łączyli i pospołu uderzali na Niemca.

Po stokroć zabiegał, żeby, naprzekór ich woli,
złączyć wszystko słowiaństwo.

Ileż to lat miecza nie odparał!

Ileż lat nie zsiadł z konia!

Ciężka zaduma przygniotła mu czoło, bardziej,
niż szłom miedziany.

Któż jego szczyt podniesie?

Kto miecz podźwignie?

Zdrada mu wyrwała miecz z ręku!

Seciny lat, żywoty pokoleń, śmierć ludów wi-
dział, jako tę ziemię kwitnącą, przez którą koń jego
stąpił.

Przyszłe wieki stały przed nim naściężaj jako zamek potężny w ruinie...

Wstał Zbigniew Włodzisławic z legowiska.

Posępny stanął przed bardem:

— Na co mi przed oczy praszczura wywłóczysz?

Sam wiem dobrze, bajczarzu!

Śmieje się bajczarz gorzkim swoim śmiechem.

— Sam wiem! Sam w sobie go noszę, jako duszę swoją! On — to ja sam. Tu go noszę!

Pięścią się w piersi królewskie uderzył.

Nie słuca pieśniarz. Lirę nastroił, zakręcił korbę
Jęły jego palce po ośmiu trzpieniach przebiegać.

— Był, — wierę, — za wysokimi górami, za borami, za lasami, za siedmią jezior, za siedmią rzek gospodyń niełacny, księżę nieposkromione, królewski nieprawu syn.

A miał zasię księżę ten brata młodszego, syna słowiańskiej kniehyńi.

Ten zasię był prawy królewic.

— Milcz, smerdo! — porwie się Zbigniew.

Lecz nie zamilkła pieśń. Wieszczeu uśmiechem wyniosłym odgarnia wojennika na strone.

— Azaliż jednej matki wypiastowało ich łono?

Czyliż nieprawdę wieść powiada. Ciasno im też było oboma w łonie jednej ojczyzny. Skoro młodszy do Rusa, starszy do Niemca.

Skoro jeden do Hunna, drugi do Czecha. Raz się jeno zgodzili, gdy starego ojca jęli na spółkę osaczać, ścigać, wygryzać.

Aż go wygnali z dziedziny.

Drugi raz się zgodzili, by Bolesława nieszczęśli-

wego sierocie, Mieszkowi-królowi, jad pospołu tajemnie zadawali.

— Przepadnij!

— Prawda to jest, co pieśń głosi!

Skoro prawda w pieśń się zabłąka, jest jako kamień, co się w ścianę twierdzy zabłąkał i na wieki w tejsamej opoce zostawa.

Pieśń musi skończyć, co zaczęła.

Czyliż nie tak?

Nienawiść między dwoma braćmi zaległa, jakoby przepaść między dwiema turniami.

Każdy z nich zaklął się tąsamą klątwą: jeden, lub żaden!

Zajrzał starszy młodzieniaszkowi, gdy jeszcze szli pospołu poprzez Noteć na Santok.

Jam pierworodny u ojca-króla, jam król! — starszy ogłasza.

Jam pierwszy i jam jedyny! — młodszy ogłasza.

Niema dla dwaju miejsca w ojczyźnie! — wołają oba.

Jeden musi ustąpić, przepadać, zginąć.

A każdy mówi drugiemu: — ty ustąp, przepadnij, zgiń!

Skoro zaś żaden nie może brata własnym mieczem dosięgnąć i wskroś porazić, chce go dosięgnąć i porazić mieczem dłuższym od swego, mieczem dłoni mocniejszej, — mieczem cudzym.

I zamyślił brat starszy: sprowadzę ja na cię Czecha! A co zamyślił, pilnie wykonał.

Idzie z cudzoziemską gawiedzią palić śląskie dziedziny, pustoszyć ziemię bratową, oblegać grody.

Dym długimi smugami płynie nad lasy. Jary ogień w bystrych się rzekach przegląda. A brat młodszy z końca świata, od siniego morza, zza dziewiątego jeziora, zza borów ciemnych, jako późna noc, zza rzek głębokich, jako ludu boleść, przypadnie.

Złote szyszaki jego wojenników zabłyszcza, jako zorza wschodząca między wysokimi górami, — zająśnią, jak słońce po tamtej stronie gór, i spadną, niby połysk piorunu w niskie morawy.

Starszy brat stracił dzielnicę za to, że wrogi na ojczystą ziemię sprowadza.

Dosiądzie wówczas starszy brat najściglejszego bieguna i wbije długie ostrogi między jego żebra zdyszane.

Zapucił na gębę szyszak głęboki i cwałem, wskroś ciemnej nocy poskoczy do stóp niemieckiego cesarza. Padnie do stóp majestatu i wielką go poprzysięgnie przysięgą, żeby wojsko gromadzić i na polskiego uderzyć.

Zmiłował się niemiecki cesarz nad zbieganiem.

Zgromadził wojsko niemałe i znowu na Śląsko, pod Bytom pociągnął.

Dym długimi smugami znowu płynie nad lasy. Jary ogień w bystrych się rzekach przegląda.

Zahuczał Zbigniew Włodzisławic, od wielkiego gniewu szalejąc:

— Alboż i ja nie jestem ze krwi Chrobrego praszczura? Alboż nie ja powinienem całą władzę puścić? Moja jest ziemia! Tu w tej piersi nieszczęsnej serce nosiłem dziadowe! Czyny dziada w tym mieczu zakłute gnuśnią. Moja jest ziemia dziadowa! Zabiję! Z dyabłem się sprzęnę!

Dyabłu duszę zaprzędam!

— Wstawaj-że, naga pieśni! Odpowiedz!

Dajcie odpowiedź ludzie półnaczy Bytomia! Półnaczy ludzie Bytomia w knechty, galeą i korazuną okute pierś o pierś uderzali. Półnaczy ludzie Bytomia brony na ścieżaj otwarli. Z drzewcem w dłoni skrważionej szli na wytrwaną z knechtami.

I rzecze cesarz do księcia polskiego, iż skłamał! »Nieprawdą jest, jakoby ten lud można złamać«.

Każe cesarz zwinąć chorągwie i od Bytomia odstąpić. Pociągnie zasie nad Odrę, pod Głogów. Każe cesarz zakładników i syna wojewody do machin oblężniczych przywiązać i na pierwsze ciosy obrońców grodu wystawić.

Raduj się serce potomne!

Nie oszczędzili głogowianie własnych synów. Toczyli z wałów wielkie młyńskie kamienie, a wrzącą smołą zlewali głowy braci, ukropem wyparzali synów oczy.

Patrzy polski królewic w dziwowisko, a postrach włosy mu jeży. Pada na jego czoło dostojna krew zakładnicza. A śmierć wojewodzica po nocy go ze snu zrywa.

— Szczekaj jeszcze!

— Alboż się cesarz nie uląkł widoku? Alboż spod Głogowa nie uszedł? A gdy pod Wrocław odciągał ze zbiedzonemi hufcami, rwał go jedynowładca polański pradziadowskim wzorem, szarpał go dniem-li, nocą-li, niweczył jego posiłki.

Niemasz brodu, gdzieby go nie dopadł i nie bił, — niemasz błota w puszczy, gdzieby się, jako wilk nie

czaił i nie topił strudzonych w nagłym natarciu, — niemasz kęsa chleba, któregoby nie wydarł, lub krwią po ostatnią skibkę nie zboczył.

Aż sam cesarz niemiecki tył podał.

A pozostawił swe wojsko skruszone na pastwę polańskiego gardziny.

Starszy brat patrzy na klęskę oczyma krwawemi. Wielką wygranę polskich zastępów za swoją wielką klęskę poczyta.

— Szczekaj jeszcze!

— Mówi pieśń. Przełożył starszy brat-wróg siodło swoje wojenne na grzbiet wypoczętego ogiera, mocno podciągnął popręgi, krótko przypasał puśliska. Daleka go czeka wyprawa. Za Santok! Za Drzeń! Za Uście! Za Nakło! Poprzez Lipy i Sosny! Poszeptał z księciem na Nakle, w pas się pokłonił wielkiemu na Kaminnie książęciu, czołem bił w ziemię przed Trygławem w Szczecinie. Popłynął na Uznoim, Wolgast i Korenicę.

— Szczekaj jeszcze!

— Nie było już wieszczego konia w Radgaście, bo paliłby mu kadzidło i całował kopyta. Minął już czas, gdy na ofiarę Radgastowi zabijano biskupów niemieckich. Siadł już biskup Burchard na wieszczynie niesiodłanym, niekieleżnanym, niechłostanym przegniły — i wyjechał z kontyny. Rwał się i stawał dęba święty ogier w szaleństwie. Ale go niemiecki biskup ujeździł potężną ostrogą. Włożyli na bujną grzywę niemieckie chomąto. Opasali postronkami i splotem rzemieni. Orze już teraz ziemię niemiecką pod batem niemieckiego rataja wieszczy koń Swaróżyca.

Chwała ci, książę! Tyś to podjudził, podniecił, podburzył, książątka nadmorskie, weleckie wiece i miasta, pchnął je nanowo, żeby na polską ziemię uderzyć. Pospołu z Niemcami! Pospołu z Czechami! Rozedrzyć Chrobrege dziedzinę. Siedliska do przyciesi wypalić, zamki nad wodami wyłamać i głównie ich rozwlec po bagnie, ludzi pokuć w plenice i kupcom na wieki w niewolę zaprzedać.

Chwała ci, książę!

Chodzi Olbracht Niedźwiedź po Zaborzu, lasy depce, plemionka weleckie za gardło chwyta i dusi. Zdusi Hewelan, idzie na Sprewian, zdusi kopanickich, idzie na Wkranów. Pociąga nozdrzami zapach poprzez puszcze, jako też to wonieją zanoteckie lipy. Miód słowiański daleki do nozdrzy Niedźwiedzia wiatr niesie. Wsie Niedźwiedź wypala, lud tępi, lub ku wschodowi wypędza. Jeśli słowianin idzie boczną drogą — na gałęź! A gdy wojna wybucha idzie słowianin z cesarzem Henrykiem i z cesarzem Konradem na Polskę.

Daremne twoje trudy, o książę!

Rzucił się ze swego Głogowa Krzywousty wojownik, objął całe Mazowsze, zdobył, zburzył i spalił krwawe Nakło i Uście. Rozgromił liczne rzesze Pomorzan. Dosięgnął Belgardu i bramy Kołobrzega zwycięską wyrąbał siekierą.

Przeszedł odrzańską zatokę, tamten brzeg osadził i aż do Sprewy, w dzielnicę Niedźwiedzia się worał.

Tyś to, o książę, rozpętał!

Tysiące w ziemi polegą, tysiące pójdą w niewolę. Tyś to rozpoczął ten straszny, bezlitosny, wieloletni bój wroga — brata z Pomorzem.

Tyś wzmógł potęgę wroga — brata...
Skinął ręką królewic, żeby wieszczbiarz precz z tej izby uchodził.

A gdy się tamten ociąga, chwycił go za piersi i na ziemię obalił, żeby nogą rozdeptać jego wieszczbę przekłątą.

Klasnął w ręce.

Komornicy wywlekli gadacza.

Lirę mu o kamienne progi, strzaskali...

Zapadł księżę w dumanie posępne.

Powrócił w krainy swej męki.

Och! Wrzącego ołowiu nakapał mu w serce włóczęga. Przekłęty widok przed oczy wystawił. Sen zniszczył.

Noc głęboka nad zamkiem zaległa. W głębi nocy, wśród ciszy, w bezsennem morzysku — wrzask trąby.

Brata hasło...

Tętenty na moście spuszczoneym.

Krzyk. Bitwa. Szczęk oręża.

W przedsionku jęk głuchy i ciosy zabójcze.

Drzwi pękły rozbite obuchem.

Komornik na progu zakłuty.

Latarni złowrogie połyski.

Siepacze do izby wtargnęli.

W przyłbicach, w kolczugach...

Do broni!

Miecz w ręku!

Skoczyli. Za ręce! Za nogi!

Na łożę!

Z rozkazu! Z rozkazu! Z rozkazu!

Za zdradę królewską.

Strasznemi pchnięciami sztyletu przebili źrenice
i oczy wyłupili spod czoła.

Łzy czerwone na licu Zbigniewa!

Po licu się toczą, po bladym.

Pod ręce go wzięli siepacze w milczeniu.

Troskliwie go wiodą.

Obojętni, jak zima, jak burza, jak zaraza, tro-
skliwie go ciągną z komnaty.

Stopy jego na progach pozdrawiają zwłoki wiernej
czeladzi.

Krew mu wierna w przedsiionkach zmoczyła
chodaki.

W dziedzińcu swym płockim królewic.

Wiatr szumi. Krucy kraczą. Rżą konie.

O, bracie!

Weszła stopa w strzemię konia wiernego.

Do puślisk przytroczyli golenie.

Do łęku ręce przypasali związane.

Bywaj, książę, z ojczyzny! — wołają.

Do cudzych granic podążaj!

Wolna droga przed tobą!

Jęczą mosty zwodzone, szłocha brama ojczysta,
płaczą stare kamienie domowe. Poszedł w świat wierny
rumak, — gdzie wola. A na drodze samotnej ktoś go
ujął u pyska.

Idą, idą samowtór, — borem — lasem, pustko-
wiem.

— Dokąd wieszysz? — zapyta królewic.

— W cztery strony świata... — odpowie.

— A ktoś jest ze mną ostatni?

— Wieszcz, — panie!

Dmie zawieja w krwawe doły po oczach
Sieką śniegi lecące włos skudłany nad czołem.

Daje puszcza policzki obmarzłemi wiechami bladym licom królewskim. Krzywa jedla go siepie uschniętymi sękami gałęzi, — w pałak zgięty od wichru świerk go smaga włochatemi spławiny, — buk go gnatem uschniętym w pierś uderza, jak oszczep człowieczy, — dąb go chwyta za gardziel w stryki wici skostniałych. Chrapie koń, czując zwierza w ostępie. A w okręgach pustkowieia zagra wieszcz straszną pieśń wygnanemu z ojczyzny. Śpiewa mu na pieszczalcę przedziwnej o synu. Za tę lirę, — powiada, — coś połamał, tyranie, piszczel syna podjąłem i muzyczne uczyniłem narzędzie.

Och, nie kłują tak igły sosnowe, w rany oczu wmięcione, iako boli w serce wbita o synu śpiwanka!

Nie pomści krzywdy ojca syn wierny, wyznawca jedyne, jenże śpi pod sklepieniem ceglanem!

Nie udźwignie już miecza krwawego ręka syna struchlała.

Nie wstąpi jego stopa junacka w strzemiona ojcowe.

Z czterech tarcic dębowych zbite jego królestwo.

Z młodocianej prawicy piszczel oto, muzyczne narzędzie.

— Precz odemnie, grzesznika, nędzny smerdo!
Król jestem, król z królów! Sam chcę jechać przez pustkowieie mej włości.

— O, panie! Nie mogę cię odejść samego.
U twych strzemion iść muszę.
Ja jeden, towarzysz ostatni.
Muszę pieśń ci o synu do końca wyśpiewać. Po-
słuchaj:

Na czele szczupłej garstki kawalerów Zakonu Teutońskiego Panny Maryi Jerozolimskiej imieniajechał Herman Balk lasów nieskończonych przestworzem. Nie chciał, by towarzysze wyprawy — Konrad Landsberg i Otto von Saleide, którzy pierwsi z południa na ziemi mazowieckie przybiegli, — by późniejsi przybysze — Dietrich Bernheim marszałek, — Komendator Konrad Tutele, Henryk Berg z Turyngii Haus-Compthur przyszlých twierdz Zakonu, szpitalnik Henryk Zeitz z Wittchendorfu, Bernard Ellenbogen i Otto Querfurt troskę jego widzieli — więc twarz zakrył przyłbicą. Nie chciał, by secina soldnerów i knechtów, towarzyszących na wyprawę rycerzom, traciła ducha, a laicy »heimliche« i bracia służący, tłum wątpliwego męstwa, lekką zbroją okryty, trwożył się jeszcze bardziej, postrzegając niepokój dowódcy.

Ukrywał tedy pod swą hartowną, medyolańską zbroją, pod czarną tuniką i białym płaszczem z czarnym krzyżem na lewym ramieniu dzieło ciężkie, pomysł i czyn zarazem ponad siły jednego człowieka.

A sam był przecie wodzem rzeszy nielicznej, rozkazodawcą nieświadomych i doradcą swym własnym w tym świecie nieznanym.

Puszcza sosnowa szumiała wokoło. Zimne jeziora:

Chełba, morze błotne, Družno, jak łuk zgięte, Jeziorak, w długie porozwidlany przeguby, Morąg, smugami chełbi srebrzystej na toni ciemnozielonej, to tu, to tam w czarnym ostępie przywabiały oczy.

Tajemnicze w gęstwinach rzeki — Wisła, Ossa, Wysoka, początki Pasłęki raz wraz kładły niezbrodzone swe popławy przed bystrem konia kopytem.

A koń, co tyli świat przebiegł, co wciągał nozdrzami suchy wiatr zza palestyńskich spalonych gór przyfruwający, co szedł w orszaku cesarza Fryderyka, gdy wyklęty przez papieża Grzegorza, zuchwale wkroczył w najposępniejsze pod słońcem jerozolimskie rozdoły, by samowładnie na głowę swą kłaść koronę, — koń, co bił kopytem przed bramą prowadzącą do świętego grobu i kołysał się na wielkiego morza galerach, — co w sycylijskich i lombardzkich pasł się trawach, — co tropił ślad Kumanów i Pieczygniaków w nadborskiej pustaci u brzegu Ałuty i Dunaju, — chrapał teraz mokrem nozdrzem i patrzył spłoszoną źrenicą w knieje głuchej północy, w cichy, senny, rozmarzający ostęp nieprzebyty pruskiego pojezierza.

Herman Balk gładził pieścotliwie grzywę żrebca i bok jego podbudzał ostrogą. Wiódł go dalej a dalej.

Nie tu bowiem, gdzie się pienią samoswoje rzeki i gdzie jaśniały bezpańskie jeziora był kres tej wyprawy. Nie tam, gdzie się już odcisnął ślad kopyta, był kres skoków bieguna.

Kędyś u zalewisk siniego morza i u wydm mierzei miała się dopiero wychylić zapora dla skoków wędrownego rumaka, która na wiatr ze wschodu miała jego chrapy skierować. Nie mogły go strzymać nogaci

wiślane, ani nasycić i wypaść pachnącemi zioły swojemi ziemie Krystyanowe biskupie, ani sucha ziemia Pomorzan, którą teutońskiej wardze snadniej było zwać Pomezanią, — ani krainy lubawskie, sasińskie gołędzińskie, warmijskie, pogodzińskie, natangińskie, sambijskie i wszystkie inne, które wieczność rozpostarła między wiślaną i niemnową żuławą. Serce nienasycone biło w piersi przybysza, gdy mierzył oczyma i skokiem rumaka te ziemie niczyje, pustkowia, wędrowisko barbarzyńców i pogan.

Oto miał je najechać, posiadać, zdobyć i półnapół z chytrym a żarłocznym Kunradem z Płocka podzielić. Serce łomotało w piersiach myśliwca, gdy oczy wypatrywały w matecznikach ślady turów i łosiów, niedźwiedzi i wilków, jeleni i dzików. Serce łomotało w piersiach zdobywcy, gdy wspominał i ogarniał we władzę, ziemie widziane, powiaty przebyte, wody i ich źródliśka, poniki, potoki, strumienie, rzeki, stawy i błota, wzgórza i rozdoły, puszcze i polany, dąbrowy i poręby, pola i ugory, łąki i pastwiska, bezdroża, przesmyki, przesieki, ścieżki i drogi.

Serce biło w piersiach gospodarza, gdy mierzył i liczył, odkrywał i przewidywał bogactwa jawne, wpadające w oczy nawet głupca, i skarby skryte przed oczyma niedołącznych lub ciemnych, — budulec surowy w lasach, żelazo i miedź, złoto i srebro, zbiorowiska soli twardej i rozpuszczonej w wodzie, drogie kamienie i drogie futra zwierząt wałęsających się w lasach, cenne ptactwo, i wyborne ryby, zapełniające stawy, jeziora, rzeki i strumienie.

Serce biło w piersiach budownika, gdy widział

w olśnieniu marzeń statki pławackie na wodach, ławy na potokach, mosty na rzekach i z brzegów jezior na wyspy, tamy i jazy plecione do połowu ryb z morza, w górę rzeki na tarło ciągnących, — drogi i płoty, budy i szopy, chaty i wsie, brogi i gumna, targowiska, podgrodzia, miasta, grody, zamki, kościoły i wielkie katedry, twierdze niezdobyte i porty jeszcze niewidziane u wybrzeży.

Mógł oto wyciągnąć rękę i zabrać!

Ogarnąć to wszystko!

Zabrać, jak ziemię chełmińską, ziemię półobiecana, półdarowaną, żywą płotkę, zarzuconą przez słowiańskiego rybaka na przynętę, ażeby cudzemi rękoma schwytać wielkiego szczupaka — Prusy nieogarnione. Herman Balk śmiał się, wspominając tę dziedzinę, zawartą między Wisłą, Ossą i Drwęcą, jakoby w ramie wiekuistej.

Herman Balk śmiał się, wspominając ziemię michałowską, zawartą między Drwęcą, Rypnicą i Branicą, jakoby w ramie wiekuistej.

Obadwaj z Konradem margrabią Landsbergu wyrwali przecie te ziemie z ręki Konrada na Mazowszu sztuką wysoką, podstępem głębokim i tak przemyślnym, iż tylko z niezwykłym mistrzostwem robienia mieczem rycerskim, gdy walczyć wypadnie z chłopem nieokrzesanym, ta walka, złożona z samych sekretnych sztychów i zdradzieckich ciosów, porównały się dała.

Prostak słowiański. książe grube a chytne, tyran, gwałciciel, zamyślił wypuścić szmat chełmiński błędnym rycerzom, — nibyto podarować mały spłacheć swego po ojcu dziedzictwa, domowi Teutońskiego

szpitala Panny Maryi w Jerozolimie, — w tym celu, ażeby ten dom przesławny zdobył ogromną, pustą krainę, nieogarnione Prusy, dla niego, dla słowiańskiego tyrana.

Połowę zdobyczy chytry Konrad rycerzom krzyża łaskawie chciał odstąpić.

Dom Teutoński Bogarodzicy darowiznę przyjął, ale nie po to przecie, żeby pruską krainę zdobywać dla gnuśnego a przemyślnego Konrada.

Dom Teutoński Bogarodzicy postanowił zdobyć tę krainę, lecz dla siebie, dla przesławnego Zgromadzenia braci i jego wiecznych w czasie dzieciów.

Aby zaś ta sprawa była wykonana według samego, najściślejszego prawa, Mistrz Zakonu wygotował akty darowizny ziemi Pruskiej, gdy zdobytą zostanie, dla siebie i swego domu, — najprzód od niemieckiego cesarza Fryderyka Drugiego, chociaż ten, poprawdzie, do owej dalekiej ziemi żadnego nie miał prawa, — a następnie od papieża Grzegorza Dziewiątego, choć ziemia ta, poprawdzie, nie była nigdy we władaniu i nie mogła być, jak chciały akty, wzięta w przyszłości we władanie przez rzymskiego papieża.

Żeby zaś żadnej już wątpliwości i niepewności w tem dziele nie było, Mistrz Zakonu Panny Maryi Jerozolimskiej wyrobił sobie od cesarza akt darowizny dla swego domu i jego wiecznych w czasie dzieciów i samejże ziemi chełmińskiej, której darowiznę przyjął był od Mazowieckiego Konrada.

Tak to z dwu stron biorąc, Zakon brał według najściślejszego prawa. W dokumentach tych, przez kan-

celaryę cesarza wygotowanych, przypisało się Konradowi księciu na Mazowszu trwożę przed Prusakami, zamiast apetytu zdobywcy na ową pruską ziemię. Tak wypadło. Tak lepiej brzmiało. Aby zaś nikt i nigdy w czasie przeciwko temu pisanemu prawu głosu podnieść nie mógł, Zakon wykonał akty potrzebne sam i według swego rozumienia rzeczy. Gdzie należy, pokazał kopie tychże aktów, może niezupełnie takie same jak oryginały.

Oryginały bowiem gdzieś przepadły. Byli nawet ludzie, którzy składali uroczystą przysięgę, iż inne były oryginały, lecz nikt już nigdy tych pism nie zobaczył.

To była sprawa polityki Domu Panny Maryi Jerozolimskiej imienia.

Mistrz Herman von Salza, ulubiony towarzysz cesarza Fryderyka Drugiego i prawa jego ręka w wielkich pod kłątwą na wschód wyprawach, nieznużony sojusznik w matactwach z sułtanem i walkach z Grzegorzem Dziewiątym, gdy papież musiał z Rzymu przed sojusznikami cesarza uchodzić, pośrednik i usłużny negocyator, jedyny świadek sekretnych rozmów pojednania, komendant ośmiu wielkich twierdz cesarskich, danych papieżowi w zakład pokoju, — wiedział dobrze, gdzie i jak poczynać należy w rzeczach praw, sekretnie po kancelaryach pisanych. Lecz teraz oto wypadło w czynie zdobyć pruskie pustkowie, gdy się je posiadało na piśmie, ogarnąć je rękoma wbrew woli mieszkańców tej ziemi.

Ci nie dawali się sztuką podejść, ani ująć prawem sekretnie pisanem. Trzeba było na nich innego

sięła zażywać. Tem siędem miał być stryk, u siodeł braci zakonnych i słuźebnych wiszący.

Punktem prawa miało być uderzenie miecza, który u lewego boku połyskał.

Juź Herman Balk zwařł się był z wysuniętemi posterunkami pruskiego plemienia. Usadowili się bowiem pod oppidum Tarnowem, przezwanem Toruniem, w Rogowie, w Słomowie u Chełmży i w Starogrodzie u Chełmna. Staczał był z nimi utarczki, wypadając z zamku, zbudowanego przez Konrada z Mazowsza nawprost Tarnowa, w Dębowie, na wzgórzu, po lewej stronie Wisły w lesie dębowym, — z zamku przezwanego Vogelsangiem, gdzie Konrad von Landsberg, Filip z Halli i Henryk Czech pierwsze znaleźli schronienie.

Zebrawszy nieco ludzi z Niemców, przybyłych na wyprawę krzyżową, Herman Balk wsiadł na łodzie w Nieszawie, przepawił się przez Wisłę i dotarł do miejsca, gdzie wznosił się jeden ze sławnych dębów prastarych, we czci u tubylców będących.

Tu krzyżacy wysiedli, opanowali dąb święty i wokół niego obóz swój rozpostarli.

Opasawszy częstokołem wielkie drzewo i okopawszy rowami, na niezmiernych jego gałęziach zasiek uczynili obronny, z którego uderzających na okopy strzałami razili. Tam to powstało w gębokiem Turnie pierwsze umocnienie krzyżackie.

Wnet pruskiego dowódcę Rogowa wzięto w niewolę i pod strachem szubienicy przymuszono do zdrady, iż był przewodnikiem przy zdobyciu drugiej twierdzy, leżącej nad wodą, poniżej biegu rzeki Wisły.

Wreszcie trzecia twierdza dostała się w ręce krzyżackie, a dowódca jej na gałęziach świętego dębu zawisł w stryku.

Teraz Herman Balk pędził dalej na północ lasem nieprzebytym, pustkowiec. Głusza sosen zielonych zamykała mu drogę, kręgiem wciąż jednakowym stojąc w koło a w koło.

Jednakim wciąż kształtem zagaja myliła drogę, wciągała jeźdźca i konia w kołobieg, iż sadził skokiem po własnych swych tropach, po szlaku tego samego wciąż obwodu. Podobizną pniów czerwonych, zielenią koron wciągała pamięć w omam, w zawilóść w błąd, w tuman niewiedzy.

Tam i sam prawieczny dąb odtrącał od siebie miękkodrzewne zwoje zieleni i na samotniku polany szczytem olbrzymim w niebiosy się wynosił.

Tam i sam grubopienne buki, jakoby w zbroje stalowe okute, zamykały wjazd i niweczyły dostęp do wnętrza i głębi.

Zastępy grabów stawiły czoło przychodniom, jako rota niezwyciężonego pogłowia.

Liście kalin, pędy leszczyny, igły jałowca zagradzały przejścia i niweczyły przesmyki.

Tajny dziw krył się w głębokości ostępów.

Niżwyciężony lęk przed dziwem w każdym momencie serca przychodniów przeszywał.

Wiatr od morza, szumiącego w krańcu puszczy, przeciągał po przez knieje.

Wiatr niósł im wieść daleką.

Wiatr ich w dal wołał.

Wiatr zginał wyniosłe, wielobarwne pióra na

szczytach przyłbic i świstał w przeziory oczne szyszków, owiewając spracowane głowy cudami złudzenia.

Kędyś w puszczy ujrzeli na swej drodze jeźdźca dziwnie pięknego. Człowiek ten sam był w bezdrożach. Miał na sobie kiereję ze skór rysich, na głowie jakby przyłbicę z turzej głowy, wraz z rogami na czaszkę wtłoczoną, na piersiach kirys z rzemienia naszyty żelaznymi blaszkami. Miecz miał stalowy u boku, rzemieńne buksy i grube skórznie na nogach, a do napiętków, przytwierdzone długie ostrogi.

Koń nieopisanej piękności grzał się i wściekał od złotych kolców pod jeźdźcem tym młodocianym.

Herman Balk skinął na swoich, ujrzawszy ryce-rza na połowie wyżyny wzgórza łysego.

Skoczyli ku niemu »heimliche«, »soldnery«, »knechty«, ażeby go otoczyć i pojmać.

Tamtem czekał bez trwogi.

Gdy go osaczyli błyskiem koncerzów, — uśmiechem wyniosłym pchnął ich od siebie. Dał znak, że chce mówić z dowódcą.

Herman Balk przystał.

— Ktoś jest w mem państwie? — zapytał go pruski młodzieniec.

Zdumiał się Herman Balk niepomału, ten bowiem samotny barbarzyńca przemawiał doń w teutońskiej gwarze.

Herman Balk skłonił się, słysząc, iż spotyka władzcę pogan. Wymienił z pokorą godność swoją w Zakonie, urząd Landspflegera, czyli namiestnika tej strony. Dodał, wymijając prawdę, iż szuka w tych oto lasach siedziby biskupa Krystyana, leżącej kędyś po-

nížej najwiêkszej g³êbokoœci Wis³y, na wysypisku, zalewanym przez wody licznych nogaci, kêdys w osadzie Czartyrn, dawnej warowni gdañskich Pomorzan, któr¹ to nazwê wardze teutoñskiej l¿ej by³o zwaã Zantyrem. Wyzna³, i¿ do biskupa Krystyana w Zantyrze jedzie z polecenia Zakonu.

W³adzca pruski s³ucha³.

Nachyli³ siê do mistrza prowincyi i rzek³ zcicha, ¿eby braci i knechtów oddaliã, gdy¿ samowtór chcia³by wieœã wa¿n¹ rozmowê.

Herman Balk z uwag¹ miejsce obejrza³, a postrzeg³szy, i¿ nie mo¿e byã w pobli¿u ¿adnej zasadzki, a zdrada jest niemo¿liwa, przysta³ na rozmowê bez œwiadków.

Wyjechali dwaj, sami, galopem, sadz¹c bachmatami w wielkich skokach na skraj wzgórza ³ysego. Widaã by³o stamt¹d na wœchód i zachód, na pó³noc i pó³udnie przestrzeñ wielk¹.

— Z kim¿e mam szczêœcie mówiã, o panie? — zapyta³ z pokor¹ krzy¿ak.

— Jestem kunigas tej krainy. Nie sam jeden w³adam tutejszym obszarem, nie ja jeden nad ca³¹ prusk¹ ziemi¹ panujê, lecz nad tym oto przestworem, który oczy nasze ogarn¹ã mog¹, a nasze konie mog³yby przebiec wskok a¿ do tchu ostatniego — ja panujê.

Powtóre sk³oni³ siê Landspfleger ziemi pruskiej przed jej panem.

— Zapytam wzamian, — rzek³ m³odzieniec pogañski, — kim¿e jesteœ w istocie, cudzoziemcze?

— Nikim. Zakonnikiem, który wype³nia œluby czystoœci, pos³uszeñstwa, ubóstwa.

— A nosisz przecie tytuł opiekuna tej strony.

— Jestem kwatermistrzem Boga na tej ziemi...

— »Boga na tej ziemi«... — powtórzył tamten w zadumie. — Bogów jest dużo na ziemi.

Jeżeli wszyscy bogowie wyślą kwatermistrzów swych, odzianych w pancerz i zamczysty chełm, uzbrojonych w miecz i stryk na tę pruską krainę, gdzie się ona podzieje?

— Jestem kwatermistrzem Boga Jedyneego, Prawdy wiecznej, na krzyżu przez nieprawy świat umęczonej, Jezusa Chrystusa.

— «Jezusa Chrystusa«... — powtórzył tamten, jak echo, w niezgłębionej zadumie.

Marzenie, pełne zgrozy i bezdennej boleści zasłoniło jego oczy i straszny gniew, co w nich płonął.

— Pamiętam... — myślał, — widząc przed sobą skałę wysoką, skałę samotną w jałowej judzkiej pustyni i Jezusa Chrystusa na skale wysokiej sam na sam z szatanem.

Otrząsnął się. Stanął w strzemionach. Wyrwał z pochwy miecz i pchnął nim przed się, w powietrze.

Orle, sokole, krogulcze i kanie pióra, wetknięte między rogi głowy bawołu, która kunigasowi za przyłbicę służyła, zachwiały się ze drżeniem. Wilcze skóry, jako czaprak z pod jego siodła zwisające, pociągnęły się ku przodowi, jak żywe.

Pokonał w sobie furię. Zwabił na usta uśmiech łaskawy.

— Przychodził do tej krainy, — rzekł, — tak wspominają wajdelotów, talissonów i ligastonów wywody a pienia, posłaniec od Jezusa Chrystusa.

Cichy. Pokorny. Uśmiechnięty.

Mówił do ludzi szelestną słowiańską mową wieści łąskawe wśród znaków krzyża, które i ty nosisz na lewem ramieniu. o gończe Jezusa Chrystusa. Lecz tamten broni żelaznej nie miał na sobie, ni w ręku, ni w zanadrzu.

Krzywułą wędrowca podwajał stare swe kroki.

Stanął w miejscu świętem dla ludu.

Więc go lud zabił. Ten lud żąda od cudzoziemców jedynie żelaza i soli. Nie potrzebuje kwatremistrzów Jezusa Chrystusa. Ciało tamtego lud porąbał na sztuki i rzucił w wodę. Lecz zrosły się w jedno części ciała, — z wyjątkiem jednej.

Kunigas nachylił się niżej i, szepcząc, ze śmiechem niepowstrzymanym dodał:

Tak, jako niegdyś, niegdyś części ciała Ozirisa. Z wyjątkiem jednej... Znasz przecie, cudzoziemcze, tę baśń o bracie i małżonku Izydy, którego Set, głuchy i ślepy na dobro i piękno...

Herman Balk spojrział w oczy rozmówcy, jak na rycerza Panny Maryi przystało.

— Lud ten nie życzy sobie cudzoziemskich wajdelotów. Lecz ja czekam na ich przybycie... — dorzucił pruski młodzieniec.

— Łaska twa panie...

— Sam z dobrej woli przebiegłem z biskupem Chrystyanem niemieckie kraje. Widziałem święte miasto. Czailem się w ukryciu, gdy namiestnik rzymskiego kościoła rzucał na cesarza klątwę i czailem się w ukryciu, gdy zwolennicy cesarza znieważali głowę kościoła u stóp samego ołtarza, — i gdy go sromotnie wypędzili z Rzymu.

Głowa Hermana Balka zachwiała się od zdumienia.

— Rycerzu! — śmiał się pruski kunigas.

Czas już przyszedł. Trzeba nawracać, prowadzić na drogę prawdy i zbawienia to pruskie plemię.

— Ostatni czas, o panie!

— A jeśli nie zechcą wstąpić na ścieżkę zbawienia dobrowolnie, czas jest przymusić ich do tego. Zbudujesz wielkie statki i opanujesz jezioro Drużno. Ochrzczisz każdego, ktokolwiek zbliży się do brzegu, a każdego ktoby do pogaństwa chciał wrócić, zmusisz do ucieczki za Pregołę, za Niemem. Biada odszczepieńcom, którzyby chcieli uwodzić dusze wiernych! Wypędzisz ich w jednej koszuli poza granice ziemi chrześcijańskiej. Biada opornym, którzyby się ochrzcić nie chcieli! Tych wytępisz do nogi mieczem i powrozem.

Zachwiała się powtórę od zdumienia głowa wielkiego komtura.

— Czyliż to są ludzie? — pytał książę. — Przychodzą raz wraz tłumem pod mój warowny gród, gdy im głód doskwiera, i proszą się, żeby ich wieść na sąsiady. Idziemy tedy małowielkim tłumem, puszczamy z dymem osiedla lackie na zachodzie i południu, grody nad morzem, — łupimy wszystko do ostatka i powracamy w te lasy z dobytkiem i kobietami. Czas już pomazać chryzmatem miłości to plemię. Trzeba je uszczęśliwić, albo do nogi, do imienia wygubić. Czy może do nogi wygubić, zachowując samo tylko imię? Jak sądzisz, bracie pokorny?

— Nie wiem, o panie.

— Już mi to pruskie plemię obmierzło. Nużą mię ich długie, stare, okrutne pieśni. Drapią mię w gardzieli ich dzikie, prastare, — och, stare! — wyrazy, szczypią mi wargi ich okrzyki i wzywania, którem już gdzieindziej tak długo słyszał. Dość już mam jednostajności długiego barbarzyństwa tych bydłat dwunogich.

— Czemuż to, książę? Wszakże to twoja ojczyzna.

— Tak. To moja ojczyzna. Ale, o gończe z południa! Dusza moja łaknie postępu, nowości, odmiany jednolitych form w wielorakie. Nowości!

— Ja właśnie niosę tej stronie najradośniejszą z nowości.

— Tak. Kto raz zetknął się z waszą duszą, rycerze, z waszą duszą przemyślną, zawikłaną, która się wykołysała w palących wiatrach między Ptolomaidą i Gazą, w poświstach morza, — która się kształciła na posadzkach królewskich sycylijskiego pałacu i przy wieży Dawidowej, — kto się raz poznał z waszym tajnym zamysłem i sekretne pchnięciem, wyćwiczone w italskich spiskach, ten przecie musi znienawidzić chamstwo tutejszego pogłowia. Jestem waszym czcicielem, jerozolimscy rycerze!

Zaśmiały się od radości oczy i usta Hermana Balka. Wyciągnął do kunigasa prawicę. Ale tamten wyciągniętej dłoni nie spostrzegł. Zatoczył swym ogierem półkole, jak jeździec nieporównany i wyniósł się w podskokach wyżej, wyżej, wyżej — aż na szczyt góry łysej.

— Patrz, rycerzu, — mówił, wskazując ręką na wschód i zachód, na północ i południe. — To miejsce

nazywa się górą Kwidzynu. Tamten potok, szumiący w dole, w uroczej dolinie, wśród korzeni prastarych lip i dębów, buków i jodeł — zowie się Miłość.

Komtur położył na swych piersiach znak krzyża.

— Tam, daleko, na zachodzie słońca, wśród owych, które we mgle dostrzegasz, niezmiernych drzew płynie rozlewna woda, pienista rzeka, Wisła. Za tą rzeką leży ziemia Kaszubów, piękna, jak młodości sen w noc wiosenną. Ziemia zarośnięta przez puszcę, w której błękitnieją jeziora, snują się rzeki i ciche potoki.

Tu na wschodzie leży ziemia Rzesińska, Pomezania, Bartonia, Natangia, zielenieją polany Warmijskie i Pogodzińskie.

Tu na północy — to zalewisko, które Wisła morzu wydarła, namułem swym, z łądów dalekich wydartym przesyciła, a wreszcie sama przez własne swe łądy się toczy.

Tu na południu — to Mazowsze, skąd przybywasz.

— Przepiękna to ziemia, — mówił Herman Balk, patrząc z zachwytem we cztery strony świata i obejmując wzrokiem widnokrąg niezmierny.

— Widzisz, jak ziemie te są puste i głucho. Ciszę tych kniej przerywa jedynie ryk lub bek dzikich zwierząt, oraz okrzyk ludzi, odzianych w skóry zwierząt i czujących jedynie głód, chuć i nienawiść:

A teraz patrz:

Herman Balk w olśnieniu niepojętem ujrzał, iż rozsuwają się lasy, przestrzeń znika. Zobaczył w oddali strzeliste wieże, olbrzymie mury i potężne dachy twierdzy Malborka, różowe i zamglone w zieleni pól, wysłanych złotymi zbożami. Zobaczył zamczysko Sztumu

między dwiema powierzchniami jezior siostrzanych. Zobaczył zamczyska Świecia i Gniewa, Postelina i Suszu, Tczewa i Grudziądz, Radzyna, Torunia, Balgi i Elbląga. Zobaczył wieszczemi oczyma Kristburg w Nantangii, Bartenstein, Resel, Wissemberg w Bartonii, Brunsberg i Heilsberg w Warmii. Zobaczył miasta, tulące się u podnóża zamków, sioła i drogi bite, mosty na rzekach, kładki i ławy na strumieniach, wielkie katedry i wspaniałe porty u brzegów morza. Liczni rolnicy pracowali na polach w boru wykarczowanych. Rycerze, zakuci w żelazo, uzbrojeni od stóp do głów, na koniach zbroją okrytych, pędzili w dal drogami bitymi. Wielkie wojenne maszyny z wolna toczyły się z zachodu na wschód po zgrzytającym zwirze pagórków. Kohorty piechoty najemnej i hufce jazdy niemieckiej, lekką zbroją okryte, w kirysach tylko napiersnych, w habitach zakonnych po wierzchu, z krzyżem złamanym, o trzech ramionach, na znak, iż nie są istotnymi braćmi, z rozwiniętymi sztandarami pędziły w dal, na wschód, na wschód.

— Wszystkę tę krainę, której krańców nie dosięgasz oczyma, której przyszłą piękność w widzeniu oglądasz, której bogactwa, jakgdyby we śnie stuletnim zabierasz, dam tobie i domowi twemu, albowiem tyś jest jedynie prawym po mnie jej dziedzicem.

— O, panie! — zawołał Herman Balk w uniesieniu.

— Ale musisz zsiąść z konia i, upadłszy na kolana, oddać mi pokłon.

Przerażenie zjeżyło włosy wodza pod hełmem i odjęło mu mowę. Patrzył ze szpar żelaznych w straszne

oczy pruskiego zdrajcy. I wyczytał we wzroku tamtego, że z konia zsiąść musi, i, upadłszy na kolana, oddać mu pokłon. We wzroku tym było coś więcej, niż szalbierstwo i podrobienie dokumentów, niż zdolność do matactwa i oszustwa, do krzywoprzysięstwa i tyranii, niż zdatność do wyprowadzenia w pole wszystkich jurystów i szachrajów świata, niż umiejętność zatarcia prawdy, wykrzywienia istoty rzeczy i pochwylenia w porę fałszu owoców.

We wzroku tym była sama w sobie, istotna, własna, zupełna dusza Hermana Balka. To jego własna dusza zzewnątrz patrzyła mu w oczy.

— Pędź stąd stado ludzkie w imię Jezusa Chrystusa, w imię dobra i cnoty, w imię przebaczenia i miłości, w imię odpuszczenia grzechu i zapomnienia winy, — pal siedziby w trudzie rąk sklecone, zaorz ziemią miejsca, gdzie stały. Niechaj nowy przychodzić osiada na popielisku. Niech stanie szubienica między lądem i morzem. Niech nie obsycha w gnuśnym spoczynku twój miecz nagi. Niech stryk twój zawsze będzie wyprężony.

Herman Balk zsiadł z konia i, zgiąwszy kolana, ucałował nogę władzcy.

Tamten wyciągnął miecz i dotknął nim jego ramienia.

»Timore Dei postposito et dyabolo
suadente...«

»Lites ac resgestae inter Polonos
Ordinemque Cruciferorum«.

(Motyw wyroku, rzucającego eks-
komunikę na Krzyżaków).

Z rozpaczą w sercu wracał na spienionym koniu rycerz Niemira od sandomierskich krain, dokąd jeździł w poselstwie, ażeby Władysława Łokietka błagać o pomoc dla Gdańska. Brandenburczycy pod starym Ottonem i Waldemarem Askańczykami zagarnęli byli podstępem górne Pomorze i miasta. Sam tylko gdański zamek w widłach Motławy i Raduni, niegdyś przez książąt gdańskich z drzewa wzniesiony, pozostał w ręku słowiańskich, w mocy Polaków i Pomorzan. Miasto, za sprawą pewnej części mieszczan, Niemców z pochodzenia, wydane zostało w moc Sasów, Ottona i Waldemara.

Lasami okrążywszy Świecie, obsadzone przez brandenburską załogę, i Gniew, gdyż to grodziszcze wpadło już było oddawna w ręce krzyżackie, Niemira z towarzyszymi wiadomymi przesmyki weszli w oliwskie knieje i do bram przypaść zdołali. Świętopętkowe zamczysko, skąpą liczącą załogę, nie mogło długo się bronić, a oszczone przez brandenburów, którzy za sprawą rodu

Święców posiadli Tucholę, Świecie, Nowe i inne grody, a wszystkie drogi przecięli, nie mogło we wsiach okolicznych znaleźć żywności, ani liczyć na dowóz sekretny. Władysław Łokietek, zajęty wojną z Litwą i Rusią, skarb mając pusty i dla buntu wszczętego w Krakowie nie mogąc się z miejsca oddalić, udzielił dwu rycerzom na piśmie gorzkiej rady, aby Gdańska, jak mogą i zdołają, bronili.

Wróciwszy na zamek, rycerze zdali sprawę. Starosta gdański, mężny Bogusza, zwołał radę rycerską i zasięgnął zdania Wilhelma, przeora gdańskich Dominikanów. Przeor doradzał, żeby zamku brandenburczykom nie wydawać, lecz zwrócić się raczej o pomoc do najbliższego sąsiada, do jedynej, mocnej potencji chrześcijańskiej w tej stronie, to jest do rycerzy malborskich. Rozpaczliwa to była rada, lecz musiała być wzięta pod rozwagę, gdy innego wyjścia nie było. Chyłkiem wysłano gońca do Elbląga. Znalazło się wśród kaszubskiej załogi grodu człeczę sposobne, obrotne, władające niemiecką mową. Dano mu pismo królewskie z wyszczególnieniem warunków, na których podstawie krzyżacy mieli połowę gdańskiego zamku obsadzić.

Winni tedy byli przedewszystkiem na piśmie dać zapewnienie, iż po wypędzeniu brandenburów, zamek opuszczą, zadawalniając się wynagrodzeniem za poniesione na tę wyprawę wydatki.

Goniec pobiegł. Prześliznął się w łodzi między nieprzyjaciół strażami i wypłynął poza Holmu osuchem w Leniówkę. Minąwszy zarośla, stawiska i nowe uprawę pola na wielkiej wyspie zantyrskiej, wskutek traktowania o sprzedaż tych posiadłości przez kujawskiego Prze-

mysława, już poprawdzie w całości do Zakonu należącej, — stanął w Elblągu. Kapituła elbląska jaknajchętniej przyjęła propozycję udzielenia pomocy Polakom w zamku oblężonym. Dała na piśmie żądane warunki, iż bronić będzie wojskiem swem gdańskiego zamku o własnym koszcie, a po upływie roku wystawi obrachunek i twierdzę opuści.

Wnet też wojsko krzyżackie wysłane zostało pod wodzą chełmińskiego komtura Guntera Schwartzburga. O ciemnej nocy kohorty żelazne wkroczyły w rozwarne bramy gdańskiej twierdzy, prowadząc obfite zapasy. Krzyżacy zajęli jedną zamku połowę. Drugą dzierżyli Polacy i Kaszubi.

Skoro tylko brandenburczycy spostrzegli, iż w zamku jest krzyżacka załoga, poczęli wycofywać się z miasta. Zwolna ciągnęli na zachód, rabując i łupiąc. Ażeby odwrót nieprzyjaciół przyspieszyć, starosta Bogusza, kasztelan Wojciech Wojsław i rycerz Stefan z Pruszcza podejmowali z grodu wycieczki i pędzili najeźdźców obu margrabiów i dwu biskupów — lubuskiego Fryderyka i kamińskiego Henryka, lenników Hassona Wedla, Ebersteina, Glasenappa i innych z północnego Pomorza na zachód. Lecz gdy z jednej z takich wypraw wracali, krzyżacy otoczyli ich w sposób zdradziecki. Boguszę okuli w kajdany i wtrącili do lochu.

W obrębie zamku ci mniemani sojusznicy wzniesli fortalicyę osobną dla siebie, z której na polsko-kaszubską połowę czynili wypady. Wreszcie cały zamek zdobyli i ogarnęli we władanie wyłączne.

Na Boguszy, do ciemnicy wtrąconym wymusili

zeznanie pisane, jakoby im dobrowolnie gród wydał aż do czasu, gdy Władysław Łokietek zwróci sumy na pomoc przeciwko brandeburcom wydane.

Wnet krzyżacy znaczne otrzymali posiłki, stojące pod wodzą samego wielkiego komtura i zastępcy wielkiego mistrza Zakonu, pod bezpośrednimi rozkazami saskiego hrabiego Henryka von Plotzke. Ten zasiadł w zamku.*

Rycerstwo polskie wraz z pomorskiem, wypchnięte poza fosy i mury, znalazło schronienie w domostwach, sieniach, dziedzińcach i stodołach »starego«, Subisławowego jeszcze miasta.

W największej sali świętopelkowego zamczyska, która się mieściła w narożnej, murowanej wieży, zasłaniającej sobą od strony rzeczego dostępu drewnianą budowę, w izbie o ścianach potężnych, zbudowanych z wielkich, obłych głazów, przy dębowym stole pośrodku komnaty siedział wielki komtur Henryk von Plotzke. Po drugiej stronie stołu przysiadł się na brzegu ławy prawny doradca, powiernik, archiwaryusz i zausznik a secretis komtura, noszący włoskie nazwisko Graffiaccane.

Graffiaccane nie był zakonnikiem, ani bratem służebnym, nie nosił żadnego tytułu, ani sprawował urzędu, a jednak on to właściwie rządził Zakonem. Podsuwał niepostrzeżenie prawa przeciwko żydom, kuglarzom, wróżbitom, czarownikom, włóczęgom. On wymyślił i w szatę prawną ubrał rozkaz o przekłuciu ucha każdemu zbiegowi spod władzy dziedzica. On sporządził zakazy, zabraniające łączenia się w pary małżeńskie podczas sianokosu, żniw, zbierania chmielu pod karą

utrąty całorocznych zasług. On podsunął myśl kary śmierci na pruskich trucicielów i ujął tę myśl w formułę: skoro kilku ludzi, Niemców i Prusaków pije spolem, ten, kto spełnił już czarę i nową nalewa, winien pod karą śmierci odpić z niej część trunku i dopiero wtedy podać współbiesiadnikowi.

Graffiacane był człowiekiem młodym i pięknym nad wyraz. Jego wykształcenie w prawie i biegłość w dyplomatyce były niesłychane. Za mistrzostwa Konrada von Feuchtwangen i Godfryda von Hohenlohe bywał na dworze ich w komandoryi świętej Trójcy w Wenecyi, — do Palestyny żeglował i w zawieraniu umów z Saracenami uczestniczył.

Odegrał rolę zręcznego intryganta w rozdwojeniu władzy między Hohenlohem i Feuchtwangenem, jeździł w misjach sekretnych do kuryi rzymskiej i na dwór cesarza. Nadewszystko jednak celował w znajomości spraw, zawiści, przespiegów, zdrad, podstępów, przekupstw i morderstw wśród barbarzyńców słowiańskich, pruskich i litewskich, z którymi Zakonowi zmagać się wypadło. Bywał w tych rzeczach niezastąpionym nogocyatorem, posłem, szpiegiem, przekupcą, handlarzem sumień i nabywcą dusz, a także biegłym nad wyraz rozdawcą do zastosowania gdzie należy trucizny i sztyletu.

W nocy z trzynastego na czternasty listopada siedział w milczeniu i uparcie patrzył w twarz Henryka von Plotzke. Pomimo zalegającego już ziemię mroku wieczora, gwar nadzwyczajny dochodził do tej sali wysokiej z miasta, rozłożonego wokół zamku, ponad zakrętem Raduni i widłami Motławy. Tłumy Ka-

szubów ściągęły były właśnie zbliżona i zdaleka na jarmark od pięćdziesięciu już lat rok rocznie trwający w ciągu dni kilku, który w tym roku, 1308 wypadł o trzy miesiące później, wskutek zagarnięcia kraju i miasta przez Sasów. Między kościołem rybackim świętego Mikołaja i wielką budową świętej Katarzyny, na sto kilkadziesiąt lat przed tą chwilą przez księcia Sambora wzniesioną, — pod murem miejskim, który podówczas łączył wieżę dominikańską rybackiej parafji z basztą »Patrz w górę«, przez Niemców »*Kiek in die Kök*« zwaną, ponad rzeczką Radunią, a obok młynów niemieckich, na wielkich placach, rozciągniętych wśród opłotków od starej Motławy aż ku rozdołom szydlickim — jarmark dominikański się kotłował. To wydeptane, błotniste targowisko, obstawione drewnianymi domostwami starego miasta wrzało teraz od nadzwyczajnego zgiełku. Po odstąpieniu brandenburskich najęźdźców, po zwolnieniu spod opresji zamków, osiedliisk, dworów i wsi, ludność kaszubska, złupiona przez Niemców, przybyła tłumnie z uwolnionych okolic, gdyż musiała nabywać nie tylko odzież i statki domowe, ale i żywność samą. Siedząc na wytrzebionych w boru polanach, niniaki w Pomorsce, czy łyżczaki pod Kościerzyną, równie jak beloki i kabatki mało, na ogół mieli mąki i chleba. Mąki żytniej używali na zacierki i kluski, stanowiące ich ulubioną potrawę. W czasie przednowku żywili się surowiznami i kwasami, a częstokroć pleśń i zgnilizna, wydobyta ze spróchniałego drzewa, z przymieszką plew i najgrubszej mąki za chleb im służyła. Półnagie dzieci, po złupieniu wszystkiego dobytku i odzienia przez wrogów, wałęsały się w checzach,

dymu i ciężkiego czadu pełnych. Matki zbierały w lasach, na pastwiskach, w porębach i ponadwodziu zielska i badyle jesienne, żeby je zakwasić i, jako kapustę, zgotować. Z drzew owocowych tylko kwaśna krześnia, małoziarnista tubylcza wisienka, tuliła się w lecie obok domostw, a tej jesieni krzywe jabłonki pocieszały gromady dzieci swym nad wszelkie słowo cierpkim i małym owocem, którym sas wzgardził i dla twardości go nie obdarł. Z żyznych okolic zawiśla i z zantyrskiej Żuławy, z gniewskiego Kociewia, od strony nakielskiej Krajny, z Pałuk, z lewego nadbrzeża Warty, z borów i aż spod Chełmna, z Kujaw zwieziono na targ gdański wielką ilość zapasów i towarów, wodą na bykach wiślanych, na polskich promach i komięgach, albo wozami, skradając się w poprzek bezpańskiego lasu. Popod okapami i daszkami drewnianego klasztoru czarno-białych mnichów zaległy góry bochenków chleba, z nowego zboża wypieczonych, baryły masła, konwie miodu i stosy jaj, Wisłą spławione zdala, od polskiej strony. W ciepłych kałużach stękały tu karmne wieprze i ogromne maciory, kwiczały prosięta, postronkiem za tylne nogi przytroczone do kołków w ziemię wbitych, — gdakały kury i kwakały kaczki, skwierczały kurczaki, powiązane w istne kopy pierza. Tuliły się tu owce i barany, spławione na sprzedaż aż zza Noteci, z nad Warty i zza Ossy; — stały krowy, jałówki, konie i źrebięta. Zwierzyna, dostawiona przez puszczańskich myśliwców od strony jezior raduńskich zajmowała połać targowiska. Leżały tam odyńce i warchlaki, sarny, jelenie i zające, — stosy głuszców, cietrzewi, jarząbków, — na rosochatych dragach dyndało mnóstwo

ubitych dzikich gęsi i kaczek, kuropatw i przepiórek, powiązanych w mandle łykiem za dziuby nosowe. Ponad Motławą reboce od Helu i Pucka, z za kępy i z Gdyni, przybieżawszy na ten targ ówciardem morzem na swych czarnych łodziach, porozstawiali ogromne karzne z wędzonemi storniami, z węgorzami, kadzie z soloną bańtką, oprawioną już i poskładaną w stosy. Obok, na widłach i szczeblastych żerdziach, kołysały się za wiatrem wystawione na sprzedaż przez gdańskich Niemców sieci rybackie na rybę morską, jeziorną i rzeczną, więcierze i włoki, podrywki i saki, drygawice, skrzydlaki, wiraszki, suwaty, kłomie, żaki, brodnie, sieci z matnią, kątowniki, i bez matni, wierzchówki, wszelkiego rodzaju wędy i osęki, Opodał rozłożyli swój mieszczkański towar gdańscy sitarze: przetaki, sita i pytle. Tuż przy nich wykrzykiwali koszykarze, zachwalając swe kosze i opałki. Dalej stały na ziemi misy i dzbany, pękate o dwu uchach pękale, garnce, donice, kubki i czary, rostruchany i szklenice, Istny mistrz w swej sprawie, bednarz znad Raduni okazywał belki, czyli dzieże, wiadra i konewki, beczki, cebry i balie. Snuł się w górę rzeczki korowód statków domowych, wystawionych na pokaz i sprzedaż przez tokarzy i snycerzy, druciarzy i stolarzy, czyli sławnych gdańskich tiszarzów. Bliżej środka wielkiego targowiska rozłożyły się stragany w kształcie zacięzionych sklepów z płótnem w krosnach tkanem, zgrzebnem i cienkiem, z sukniem i ubiorami, z ciżmami, buksami i skórczniami, ze wstęgami i sznurami paciorków z bursztynu. W sąsiedztwie tych szatnych straganów przedstawiali swój towar olejkarze: pachnidła i wonności, proszki i kro-

ple, — oraz doktory, chwając zawarte w słojach i skrzynekach korzenie i zioła, dekokty i sole, maście i amulety. Znalazł się tutaj namiot ozdobny z zabawkami i mnóstwem cacek dla dzieci, zmyślnych figlów z drzewa i kowanego żelaza, przedziwnych sztuczek, wypalonych z gliny przez ojców i braci św. Dominika.

Zdała od obudwu kościołów rozpięli swą wielką budę omamiacze, kuglarze, trefnisie, błazny i wypłosze, pajace w śmiesznych szatkach, z ubielonemi lub umorusanemi na czarno gębami. Muzykanci walili w bębny i cymbały, dęli w trąby i świstali w piszczałki, rznęli od ucha na basach i wiolach, a śpiewak wędrowny przedziwne bajdy wyciągał o królach i wojewodach, o strasznych wojennych przydarzeniach, o pięknych dziewczicach i ognistej kawalerskiej miłości.

Rozstawione tu i tam, pociągały tłum jadający przasno, kramy z solą i tłuszczami, ze słoniną, sadłem, z zamorskimi pieprzami i goryczką niewiadomych liści. Wszędzie wabiły oczy wyroby cygańskie z żelaza i miedzi, niemieckie z kręconego i plecionego rzemienia, siodła, wodze, uprzęgi, kańczugi, przedmioty wyciosane i wyrobione z cennego drzewa, z kamienia i bursztynu.

W głębi, a przecież w miejscu widocznem i jak-gdyby pierwszym, które wszystkim w oczy wpadało, stał ciemny namiot Rusaka z Nowgorodu, Sadka bogatego gościa. Przybywszy na swym ogromnym, wielozagłowym korabiu, co się na kotwicy kołysał u pala Motławy, jakby, szukając u władców zamku opieki, — ów nowgorodzianin, bogato odziany w dołom długi aż do samej ziemi i we wzorzysty pod nim kopieniak.

gładził swą długą i, jak łopata, rozpostartą brodę, a wśród niskich ukłonów pokazywał raz wraz jaśnie panom, wielmożom polskim i pomorskim soroki wyprawnych futer sobolich, rysich, gronostajowych i niebieskolisich. Bez względu na czasy tak niepewne, na zmiany panów grodu i kraju, nie wahał się przywieźć na sprzedaż błamów czarującego carogrodzkiego złotogłowi i parczy szkarłatnej. Pozwalał zaglądać do swych sepetów, pełnych bezcennych, wielobarwnych kamieni, łańcuchów ze złota, sygnetów i pierścionków, zausznic i naszyjników perłowych.

Kagańce smolne, tu i tam wetknięte w miejskie mury, latarnie pozawieszane nad towarem i stopy łu-czywa, podsycanego przez miejskich pacholków na szczycie niedokończonej jeszcze wieży »Patrz w górę«, oświetlały tłum ogromny, przewalający się we wszystkich kierunkach, i wielkimi plamami padały tu i tam na ten obszar i wielobarwną masę. Cała dziedzina pełna była ciżby ludowej, mężczyzn i kobiet, dzieci i starców, Kaszubów i Polaków, Niemców, przechodniów, ludzi z morza i z łądu, z pól i lasów, rolników, myśliwców i wojaków, osiadłych i włóczących.

Wrzaskliwe targi i głośnie strzelenia dłonią o dłoń przy dobijaniu targu, krzyki przekupniów i spekulantów, głośnie rozmyślania nabywców, uganianie się straży za rzezimieszkami i urwipołciami, nawoływania się i głośnie rozmowy, jak w lesie i na polu wieśniaków w najrozmaitszych gwarach od mazurskiej do pomorskiej, — kwiki zwierząt, pisk ptasi, rżenie końskie, — ruch wszystkich we wszelkich kierunkach, — pośpiech, podniecenie i wesołość napełniały ten przestwór.

Poprzez tłum rolniczy, bartniczy, rybacki, wojacki i pastusi przeciskali się z niemałą pompą i paradą kaszubscy i polscy rycerze, starszyzna i bogacze, za pan brat pomiędzy sobą gwarząc. Od niechcenia lustrowali okiem przywiezione ładem i wodą zapasy a skarby, sami nabywali to i owo. Gapili się na piękne dziewczęta, a z rozdziawioną gębą, jako i lud pospolity, przystawali przed pomostami, na których siłacze dźwigali jednym palcem tramy i złomy ciężkie nie do wiary, szarlatani połykali mizerykordye, noże i ogień, a komicy wyprawiali cudeńki, od których brzuchy trzęsły się, jak na komendę, a gardła ryczały wzdłuż i w poprzek rynku i uliczek starego Gdańskiego miasta. Nie brakło w tłumie tym nawet samych szesnastu rycerzy, którzy teraz, po wypchnięciu z grodu polskiej i kaszubskiej załogi, sprawowali dowództwo obrony miasta. Nie brakło nawet bogobojujących zakonników, dostojnych mieszczek i cnotliwych matron, które się były przed nieprzyjacielem do miasta schroniły. W gospodach, pod wiechami i w piwnicach podcieniowych domów żółtawą mazurę zapijały psiwo i smakowały zino, raz wraz dolewając sąsiad sąsiadoju z zielonego zbanu. Taki kiewał drogi odbywszy ze swem maesłem i chlebem, z mniodem i jejamy, a zarobiwszy na cisto, syrcie mieli mientkie i mniłowali tutejsze, gdańskie ludzkie. Kochiane były dla nich czarnolice i długonose Kaszeby z wielkimi, baraniami czapami na głoje i w baranich kożuchach, siedzący w milczeniu na uawach popod ścianami...

Henryk hrabia von Plotzke, mistrz, prowincjonalny i zastępca wielkiego mistrza Zygfryda von Feucht-

wangen, raz wraz podchodził do okna, wpuszczonego w grube mury stołpu i przez rozwarte połowice patrzył w miasto.

Graffiacane mówił o konieczności czynu.

— Jakżeby, — rzecze, — mogło być w inny sposób dokonane to dzieło? Jak inaczej? Oto gród jest już w ręku Zakonu. Gród gdański! Gród gdański, Gmewe i wyspa zantyrska! Sprzeda nam te ziemie Salomea Ziemomysłowa, córka Sambora. Proszą się o kupno całego klucza dóbr w Żuławach jej synaczkowie, — wraz z rybołówstwem na Wiśle... To kupimy. Lecz miasto? Ma-li to miasto pozostać, jako ostoja Polaków i Kaszubów, którzy wraz są jedną wrogą siłą, gdyby się nawet mocowali pomiędzy sobą, gdyż każdy z nich w swojej własnej wysławiając się mowie, po polsku mówiąc, czy po kaszubsku, w gruncie rzeczy popolsku przemawia. A każdy z tych szczepów, niby to do odrębnego rodu należąc, poprawdzie jednym jest ludem. Przenigdy nie zostawiać miasta Gdańska w ręku zbratanego teraz ludu! Przenigdy! Zbratanie tych dwu szczepów — śmierć Zakonu! Oddać Łokietkowi miasto, to znaczy zgiąć przed nim kolano i wydać mu także i zamek. Siedzieć w zamku i nie mieć w ręku miasta? To szaleństwo. Trzymać to miasto pod bokiem swym takie, jak jest, słowiańskie, z małą Niemców przymieszką, ulegać słowian tłumowi i czekać, aż się Władysław Łokietek z opresyi wywinie? Wtargnie tu, jako król polski, pan upragniony Polaków i Pomorzan! Już tu był, już hołd przyjął! Za nim stoją, — jak długa i szeroka Pomorska! Gdy wróci, w tem mieście będzie miał miejsce oparcia: ostoję na morskiem wybrzeżu.

Osaczy nas z łądu i z rzek obu, głodem zmusi do zgięcia kolana. Stąd będzie, jako ów pies przenigdy nieugłaskany, Światopołk, rzucał się z zębami na wschód, na południe. Wydrze nam Gmewe! Wygoni z Zantyru! Kto wykonał zdobycie zamku, musi zdobycia miasta dokonać. Albo się cofnąć i w drewnianym zapięcku Malborga klepać pacierze. Skoro się zaś zdecydować na to drugie, na wzięcie, to trzeba je chwycić w tejże chwili, gdy Polaki i Kaszuby są, jako węgorze w żaku, gdy się tu na żer zleźli i są wszyscy w jadrach. Wszyscy są w kupie. Czekają. W tym oto są rynku. Oto tam, panie! Tam! W dole!

Henryk von Plotzke oparł ręce o stojaki okienne, wychylił się na dwór i patrzył w targowisko. Wiatr jesienny, wiatr zimny, wiatr z nizin i zalewu gładził mu włosy wzburzone nad czołem mądrym i pięknym. Zastępca wielkiego mistrza odwrócił się gwałtownie do swego mentora i poprzez stół rzucił mu w twarz bełkot wyrazów gwałtownych, stek bezładny znieważających wykrzyków.

Graffiacane łagodnym uśmiechem i wzruszeniem ramion zbył ten wybuch rycerza. Począł mówić odnowa, ze spokojem, rozważą i siłą dowodów, wyrazami uszykowanymi w zdania doskonałe:

— Gdybyż tu, — rzecze, — stały przy nas duchy twórców Zakonu i pierwszych budowniczych tego państwa — Henryk Walpot Bassenheim i Otto von Kerpen, Herman Bart i Salza, wielki aż do skończenia wieków, Konrad landgraf Turynгии i Poppo von Osterna, ten niestrudzony pracownik, co ponure i bezpłodne, dziecięciołokciowe namuły Wisły i Nagatu porznął rowami

i tłuste szlamy, stawiska, błota w ogród czarowny zamienił, — wielcy wodzowie i nieustraszeni rycerze z żelaza Hanno von Sanderhausen, Hartman von Helldrungen, dwaj Hohenlohowie... Czyżby którykolwiek z nich wahał się w tej chwili? Byłaż kiedyż w domu Panny Maryi Jerozolimskiej doba równie szczęśliwa? Gdańsk posiąść od jednego skoku! Od jednego ciosu topora! Gdańsk! Gdańsk! Jeszcze raz powtórzę: — Gdańsk! Mistrzu! I nie wykonać ciosu? Zawahać się? Stanąć w drodze? Nędznie przestraszyć się świstu miecza, łoskotu topora? Rycerzowi? Wodzowi?

— Zamilcz! — mruknął Henryk von Plotzke, ręce zakładając na piersiach.

— We wrzasku kobiet, w lamencie dzieci, w jęku dobijanych mężów, w łunie pożaru objawia się chwała duszy rycerza. Mieczem zdobywa się grody, nie rąk załamaniem. Na krwi wyciętych w pień rycerzy krzyża przez dzicz odszczepieńców Natangii, w powstaniu sambijskiem, pod Pokarwis, budowało się państwo rycerzy. Na krwi wyciętych do nogi przez rycerzy krzyża obrońców Balgi, pruskiego Christburga, Świętopółkowych Sartawic, Elbląga, Wolawy i tylu straszliwych pobojuwisk w Pomezanii, Warmii, Bartonii i Galindyi, poprzez mordy i rzezie, poprzez rzekę krwi, płynącą ze strasznej zdrady Mendoga, poprzez poręby w ludach, gdy pod Ottokarowem żelazem i rycerzy z zachodu legły ludy pruskie, zaiste, jako lasy, wyrąbane do szczętu, — budowały się ściany malborskiego domu. Dziedzicem jesteś tych czynów, o panie! A wszakże po setnych i tysięcznych wyprawach w puszcze wschodu, Zakon zdobył bezludne, dzikie i jałowe pustkowia, wy-

stawione na wiekuisty najazd i wiekuistą grabież pogan. Tu, po drugiej stronie Nogatu i Wisły, leżą ziemie błogosławione, uprawne, osiadłe, podobne do złotych łąnów pod Gniewem. Na tych oto łąnach powinny powstać siedziby ludzi teutońskich, przybyszów z krain zachodu. Na tem doskonałem miejscu, gdy spłoną przy-ciesi i okapy, strzechy i krokwie, węgły, progi, odrzwia, dźwirza, sienie i świetlice, przybudówki i podcienia słowiańskie, stanie wysoki mur z cegły, komin z luftami, wystrzeli podniebny dach przyszłości, osnuty rynnami, świecący się szybami w ramach i futrynach, przewiewny od lufcików, a wokół niego rozłożą się place brukowane, obrzeżone rynsztokami. Rycerzu, czyliż Niemcem nie jesteś? — zawołał Graffiacane, zcicha, lecz tak przejmująco, iż Henryk hrabia von Plotzke dał mu znak, żeby zamilkł.

Potem komtur leniwym krokiem podszedł do okna, znowu patrzył na bujne ognie i słuchał żywych krzyków gawiedzi. Łuna od świateł na targu Dominikańskim w słabych odblaskach padała na jego oblicze. Graffiacane patrzył ze swego miejsca na tę twarz skamieniałą i widział, jak obfite łzy lały się z oczu rycerza i, strugą ciekąc, spływały na brodę.

Poruszył się Graffiacane i zcicha zaklął powłosku.

Henryk von Plotzke odszedł od okna i kroki swe do drzwi tej izby kierował. — Przystanął.

— Potomne wieki, setki i setki lat, wzywają cię, Henryku von Plotzke, — szeptał Graffiacane. — Krzyk tysięcy potomnych ludzi teutońskich wzywa cię, żebyś szedł prędzej!

Henryk von Plotzke przestąpił próg tej sali. Stał na stopniach wejściowych. Klasnął w ręce. Dwaj pachołkowie podali mu płaszcz i tunikę. Przypiął miecz do boku. Wdział szyszak.

Stojąc na podwyższeniu w dziedzińcu zamkowym, począł gwałtownie wydawać setnikom rozkazy. Mówił cicho do komtura Guntera i do braci, którzy z izb górnych do niego przybiegli. Namiestnicy ruszyli się na rozkaz do izb dolnych, do kazamat i sklepów. Podwórzec zamkowy wnet roić się począł, jak mrowisko, i czarny się stał od zbroi.

Knechty piesze w kapalinach i grubych pancerzach, z lancami na lewym ramieniu, mieczami u boku i wielkim w prawicy toporem, ustawiały się w silną kolumnę. Zająły cały dziedziniec.

Zcicha odsunięto wrzeciędzie, odepchnięto zasuwę brony jednej i drugiej. Pierwsza kolumna wyszła przez most zwodzony, — cicho, jak stado wilków, gdy na czyjaś nagłą śmierć dybiąc, następny wkracza w ślad poprzednika tak umiejętnie, iż jednego tylko ślad zostaje. Kolumna ta zsunęła się poza fosę, na prawą rękę i, idąc po zapłociu ogrodów przedmieścia, zamknęła wyloty dróg, w łąki i pola wiodących.

Gdy pierwsza w ciemności zniknęła, druga kolumna wypełniła głębokość podwórza i wnet, na skinienie mistrza prowincyi, wypłynęła, jako czarna smuga poprzez rozwarte podwoje zamkowe. Ta poszła na lewą rękę wzdłuż Motławy, skręciła w stronę wschodnich ogrodów i u wylotu uliczek stanęła.

Za drugą wysunęła się trzecia z legowisk w izbach podziemnych, a po niej czwarta, ostatnia. Te dwie,

rozstąpiwszy się we dwie strony, miały miasto osaczyć z daleka, od strony Biskupiej, Gradowej i Cygańskiej góry.

Tak to z czterech stron świata miasto kaszubskie otoczone zostało przez zastępy krzyżackie. Oddział rozumiał się z oddziałem i jeden drugiemu podawał hasło:

— *Gmewel!*

Gdy ostatni żołnierz zniknął w czeluści bramy, wrócił wielki komtnr do izby i na dawne miejsce przy oknie. Oparł się znowu rękami o kamienne stojaki i trwał w niemem milczeniu.

Za nim, na temsamem stanowisku, w ciemności czekał doradzca.

Gdy sporo już czasu minęło, w pewnej chwili rzekł Graffiacane;

— Czas już! Czas wielki!

Henryk von Plotzke podniósł głowę i zaczął modlić się z cicha, patrząc w niebo, jaskrawemi gwiazdami zasiane.

Sekretarz czekał cierpliwie, a nie mogąc dosłuchać się końca modlitwy, cichemi krokami podszedł do drzwi, uchylił je, zostawił otworem. Wśród modlitwy swej wielki komtnr wyrzekł słowo:

— Zapalić!

— Zapalić! — powtórzył Graffiacane do kogoś w ciemności dziedzińca.

Na baszcie słowiańskiej, która z prawieku stanowiła czworograniasty, obronny trzon zamku, stołpem zwany, skrzესano ognia co żywo i wnet buchnął płomień smoły, podpalonej w przygotowanym kociołku.

Ogień ów podał umówiony znak zaczęcia kohortom, rozstawionym w węglach miasta. Z jednogłośnym okrzykiem — »*Gmewe*«, który był tak wielki, iż zagłuszył do szczętu rozgwar targowicy, knechty, zakute w żelazo, zmarznięte w rowach podmiejskich rzuciły się naprzód. Szli z czterech stron wszystkimi drogami, wszystkimi ulicami. Niby ruchome mury runęły w bramy miasta. Wykłuli i wysiekli strażę przede wroty rozstawione. Wyłamali i wyrwali bram zawory.

Połyskując w świetle ostrzem nastawionych gro-tów, obnażonych mieczów i wzniesionych toporów wbiegli na rynek. Poprzez wywrócone stragany i budy przekupniów, poprzez zwierzęta i stosy towarów czarne wojsko krzyżackie rzuciło się skokiem na lud zgromadzony. Rąbano od ucha, ktokolwiek stał pod ostrzem topora. Ścinano łby kupców i chłopów, siekąc z ramienia aż do pasa. Ginęły baby i dziewczki. Grot dzidy prze-szywał porówno panów i kuglarzy. Trup rybaka walił się w gnojowisko świni, a bartnik padał w każdą z rybami.

Ludzie na targowisku zebrani ścisnęli się w ucieczce panicznej i, jako fala poprzez rozerwaną groblę, runęły w jedną stronę, gdy na ich braci spadało nieszczędne żelazo. Lecz z każdej ulicy, z każdego załamania drogi, dokądkolwiek w ucieczce pędzili, raziła ich napaść równie straszliwa, jak pierwsza. Pod nowym miejskim murem, nie wiedząc, dokąd się schronić, ludzie darli się pazurami, na ścianę wysoką, ślepą i głuchą, jakby w nagłym olśnieniu pojęli, że ten mur kamienny zazna uczucia litości, gdy je ludzie stracili. Lecz wieża »*Kiek*

in die Kök« niema była i z czucia wyzuta, wysoka w swej zemście, twarda w pogardzie i zabijająca z rozkoszą, jak ludzie. Tam to, u jej stóp rzeź stała się istnym piekieł obrazem. Krzyżackie soldnery, zaprawione do zbrodni najbardziej wymyślnych w lasach i na zgliszczach pruskiego podboju, rąbały tu ludzką masę, jak drwał rąbie drzewo, stękając od swej pracy i pocąc się w trudzie.

Rycerze w liczbie szesnastu, których opiece oddało się było miasto, przetarłszy oczy ze strasznego zdumienia, porwali się do obrony. Zwoływali się w tłumie i poczęli wydawać rozkazy stadu ludzkiemu. Ten i ów dopadł w izbie pancerza, przypasywał oręż, wdziewał zbroję. Ten i ów walczył sam jeden z nawałą, zasłaniając piersiami kobiety i dzieci. Jak na samotnego w knei odyńca, rzucały się na tych mężnych psy niemieckie i osaczały każdego kupą, zgrają, nawałą. Żołnierzy pojmanyh bez broni żołdactwo krzyżackie roznosiło na ostrzu żelaza, mordowało pospólnie. Ktokolwiek zostawił broń w gospodzie, na noclegowisku, pomykał klasztorne miasteczka i zaułkami po zbroję. Lecz nim zdołał dorwać się miecza i chełmu, padał pod razami pościgu, w sieniach, w dziedzińcach, na schodach. Pewien szlachcic polski zginął na wieży kościelnej. Inny, przypasawszy brzeszczot, walczył sam z dziesiątkiem morderców w kościele. Żołnierze zakonu wtargnęli do obudwu kościołów i przelewali krew ludzką wokół filarów, konfesyonałów i przy stopniach ołtarzów. Siekiera krzyżacka nie przepuszczała nikomu na targowicy. Płatała w szaleństwie zbrodni, w dzikim upojeniu, w zemście dla zemsty i w istnej sztuce mordowania. Jeden odcinał od zamachu

głowy od tułowiów, inny oddzielał od ramion ręce wzniesione błagalnie. Aż świnie, leżące w swych ciepłych kałużach, poczęły ze zdziwieniem smakować w błocie krwią przesyconem.

Popłynęły strumyki czerwone do łożyska Raduni. Zacerwieniły się wody Motławy.

Napróżno opat Rudiger usiłował zasłaniać bezbronych, rzucać się między walczących i błagać o zaprzestanie męzobójstwa. Skamłania jego żadnego nie odniosły skutku. Pchnięto go poza siebie, między konające, żeby tam sobie dowoli spowiedzi posłuchał.

Rzeź coraz bezbrzeżniej szalała. Wycięto do nogi, do ostatniego wszystkę szlachtę pomorską, która się była w mieście znalazła. Wrzask śmierci coraz straszliwszy uderzał o mury miejskie, o przyźby, wiązania, fosy, ściany i węgły wysokiego zamku, aż dosięgnął otwartego okna i otwartego ucha Henryka von Plotzke, który się modlił przy oknie.

Komtur nachylił się niżej i słuchał.

Już setki, tysiące już razy słyszał głos zabijanych na wojnie, — głos śmierci. Nieraz sam śmierć zadawał. Nie obcą jego duszy była zemsta niemiecka i nienawiść. Ale teraz ten krzyk ludzki wzywał ku niemu z padołu wyciem tak potwornem w swej grozie, jakby się czeluść piekielna rozdarła i stanęła otworem. Komtur odskoczył od okna. Uciekał. Szczękał zębami od ciosów lodowatego przestrichu, co mu plecy kańczugiem przecinał. W ciemności izby szamotał się ze sobą. Ryczał z bólu.

Postrzegł przy sobie cień doradzczy — i przycichł. Ze wstydu kąsał ręce w milczeniu. Kędyś

w drewnianem dworzyszczu buchnął płomień pożaru. Za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty... Stała w ogniu wieża dominikańska, słup płomienny. Wnet jednym stosem ognistym stało się stare miasto słowiańskie.

Piekielny ów ogień zajął w okna zamkowe i w szeroko rozwarte oczy Henryka von Plotzke.

Wówczas Graffiacane szepnął zcicha:

— Powie się, gdzie należy, udowodni się w sposób niezbity, zaświadczy się wiarogodnymi zeznaniami, iż mistrz krajowy Zakonu Panny Maryi i bracia zakonnicy, w niczem nie uszkodziwszy mieszczan miasta, Gdańska, wrócili się do swego kraju. Powie się, gdzie należy, złożą się na to dostatecznie ważne oświadczenia, iż mieszczenie gdańskie z własnej woli zburzyli swe mieszkania i poszli w inne okolice, by się tam osiedlić.

Wpół trzasku pożaru ucichać począł wrzask ludzki. Stosy umarłych zaległy już były plac szeroki. Jęki konających uchodziły w gdańską ziemię na wieki, na wieki, na wieki.

Wziął się już knecht do rabunku nagromadzonych dóbr. Ten i ów z czeladzi zakonnej przysiadł znużony za stołem.

Ten i ów zdjął już myśnicę i ścierał pot kroplisty ze spracowanego oblicza. Ten i ów przymykał oczy od widoku i zagłuszał słuch od jęku grubosłowną pieśnią zwycięstwa.

Zeschłe wargi chęptały już wino i piwo z konwi pozostałych na stole, a gardło spragnione gasiło z rozkoszą pragnienie, nieznośne po tak wielkiej robocie.

Panosza pomorski, imieniem Wisław, czyli pospolicie Wyszka, nazwiskiem Zamk Trzebiatowski, siedział na starej ojców roli, w górze wód, kędy Piaśnica wlewa się w Żarnowieckie jezioro. Kiedy w te strony przybyli Zamka ojcowie, o tem już dawno zapomnieli nie tylko sąsiedzi zbliska i zdala, lecz i same uczone panny cysterski, władczynie ziem u wyjścia Piaśnicy z jeziora. Nie wiedział tego dokładnie ród Trzebiatowski. Jakaś tylko baśń mętna i na miarę czasu przekształcona wspominała, iż przyszli tu byli ongi z Polści i że sami z Polochów ród swój wiodą. Stare, niejasne, zagmatwane podanie, z ust ojca w ucho syna pospołu ze słowami pacierza snując się w czasie, głosiło, iż skądsiś, od jakowegoś jeziora Gopła, z królem pradawnym, przepotężnym, wielkim i szczodrym szli w te strony na Świecie, Gniew, Tczew, Gdańsk aż do fal morza. Święta i czczona klechda domowa, świadczyła nadto, iż od owego pradawnego króla, za wielkie na wojnie wysługi, praszczur rodu otrzymał nad Piaśnickiem jeziorem spłacheć lasu niemały, — od wielkiej wody w górę aż do zaciosanego buka na polanie, od buka aż po pażycę i znowu w dół do urodzajnego nad wodą osieka. Bór ów leżał na wschodnim brzegu jeziora, nachylał się wraz z ziemią ku wielkiej wodzie,

schodząc aż na samo wybrzeże. Pradziadowie, dziady i ojciec karczowały go własnymi rękoma. Wycięły buki i dęby, sosny i modrzewie, aż do samych olch, rozrastających się zastępem szerokim ponad jeziorem. Własnymi rękoma wydzierały korzenie pniów, długie na dziesiątki stóp człowieczych, wyszarpywały serdeczne korzenie głębokie na dwa chłopa, ciągnęły na wierzch odnogi i baty jałowca, kłacze jerku, głógów i tarniny, Paliły je na wielkich stosach i popiół rozsypywały na ziemię. Wyniosły na ramionach i w długie poskładały kamionki na miedzy swej dziedziny wielkie, okrągłe, wyślizgane głązy, które sam tylko dyabeł mógł pozostawić w tym lesie. Aż wreszcie spod siekiery i gracy wyjrzała rola czysta, a urodzajna nad spodziewanie. Niegdyś w przeszłości ojcowie wzniesli pośrodku dziedziny z potężnych modrzewiowych śniatów i płazów dom okazały, dworzyszczę na cały ród potomny. Wystawa dworu patrzyła w stronę wielkiego jeziora. Nad czarnym i osadzistym dachem gontowym stały pozostawione z prawnieku cztery lipy tak olbrzymie, iż ich korony były, jako puszcza sama w sobie. Stała przy węglach domu grusza polna, dzika, leśna, która się przecie z ludźmi zesła, zrosła, stowarzyszyła, a nawet lepszy w czasie owoc wydawać zaczęła, gdy jej korzenie gnojem swoim i gnojem zwierząt obłaskawionych sycić jęli. W pobliżu osady, a w poprzek pól na świat wydanych, szła droga z końca świata, z Gdańca samego, z Krokowa, dziedzictwa, Gneomara Wikerade, darowizny księcia Mestwina, — z Darzłubia, dziedzictwa rycerza Radosława ze Strugi, z Chłapowa i z Pucka. A szła ta droga ku wyjściu Piaśnicy z jeziora, dalej

na Wierzchuceno i w nieskończony świat, kędyś na Białogród u Łeby, na Słupsk i na sam Szczecin. Droga była borowa, puszczańska, korzeniami przerośnięta i wlokąca się bagien smugami, — wbród przechodziła potoki, strumienie i ciężkie odnogi karwińskich a chłapowskich mokradeł, lecz na owe czasy jedyna i główna w tej stronie.

W wiosenny dzień siedział pod lipami, na ławie prastary Wyszka Zamk Trzebiatowski i zamglonemi oczyma patrzył w jezioro. Widział je z tego miejsca całkowite, na milę z górą długie, na ćwierć mili szerokie. Nogi mu już ciężka starość spętała, wzrok przyćmiła, krzyż w pałąk zgięła. Zerwał był ścięgna nóg przed laty, gdy jako mąż dojrzały przebiegał z księciem Swjantopołkiem knieje z tej i tamtej strony wiślanej, ślizgając się po lodach, albo wpław wody gruntując, — gdy mknął jakoby na skrzydłach za Noteć, lub Osę, niczem za tę, ot — Piaśnicę. Wyszka ściśle nie wiedział, — kroniki przecie swych poczynań nie pisał, — ile mu było. Miarkował przecie po wieku dzieci, zwierząt i rozroście drzew, iż pod sto lat dociągnął. Nie mógł już teraz nie tylko z oszczepem i rogaczem na tura w puszczy głębokiej, nie tylko z kuszą na łosia w karwińskim moczarze, lecz nawet łuku jałowcowego nie mógł celnie zażyć na słońkę ponad jeziorem w podwiośnie ciągnącą. Gdy słyszał, jęk pochrapuje o zmierzchu, w górze — chrap — chrap, — serce w nim dygotało i żal w piersiach doskwierał.

Teraz, skoro przeminęła groźna, tęga zima ostatnia i zapachniał znowu czarodziejski maj, jerczyk

żółtym kwiatem spłonął po wzgórzach, a błędny tuman rozpostarł się znowu nad wodą, niebieski w sobie, jakoby oczy niewieście, gdzieś, kędyś widziane w słodką młodości godzinę, Wyszka nie mógł już w izbach dosiedzieć. Tutaj o kiju pod lipy wybierał się z rana i aż o późnym, a zimnym jeszcze zachodzie wracał pod strzechę. Patrzył w swoje jezioro.

Rozlewało się w brzegach niedosiętych oczyma. Ginęło w puszczy swej, w rodzonym lesie. Drugich, tamtobrzeźnych, w głąb, zatoką uchodzących oddaleń źrenica nie mogła już ująć. Zlewały się w jedno zmańnienie oka z lasami, co zstępowały wyższa, — łączyły się w całość senną, ni to noce ni to dnie, sen i czuwanie wtulone w przeszłość żywota daleką i zapomnianą. Chmury nad wodą jeziora przepływały ciemne a białe i mknęły podniebne ptaki ze stron dalekich. Leciały tędy z końca świata, z południa na północ, w drugi koniec świata. A zdało się nie raz i nie dwa, że ptak staje w locie i na skrzydłach nieruchomych się waży, — że obłok staje w wędrówce swej bez początku i końca, a jeden i drugi napatrzeć się nie może tego cudu ziemskiego. Albowiem na okręgu ziemi takiego cudu nie widział. Niekiedy po wierzchu ucichłej wody mknęło w oczach cości, jakoby łabędzich piór puch najdelikatniejszy, albo sama jeno barwa sinego obłoku, upadłe z niebios na wody zastygłe w bezruchu. A ta chełb lotna i żwawa, tamtego dosięgając wybrzeża, rozpryskiwała się w świetlistą strzałę, długą, jak połać lasowa.

Nie przerywały ciszy nieskalanej te ruchy wody. Nowy podmuch wiatru, łagodny i dobrotliwy, nadlatał

od wschodu słońca, od strony morza, nowym sposobem poruszył wody uśpione i nową nadawał im postać.

Czasami z tamtej strony, z wierzchuceńskiej puszczy, z lasów nadolskich, głębokich i nieprzebytych, wybiegał jakowyś donośny krzyk, świadectwo walki, zgrozy, rozpacz, konania, śmierci, — a jego echo wpadało w obszar jeziora, ni to w objęcia kojące, uciszające, jako matki łono. I krzyk boleści, czy śmierci, tak zacichał w ogromiech jeziora, jak wszystko zacicha w wieczności.

Ileż to bólów, ileż strachów ponocnych, ile walk, ile klęsk, ile nieszczęść sam Wyszka nad tą oto wodą pokonał!

Wszystko przeszło. Ucichło w wieczności.

Znikło. Ustało.

Tu stracił żonę, matkę siedmiu córek.

Z dzieci tych jedne wydarły dziwne choroby, wrogowie najbardziej straszni, mściwi i nieprześlągani tej ziemi, — inne pobrali w odległe strony mężowie. Z małych dziewczątek, cudnych jak kwiaty na łące piaszniczej, powyrastały roztyłe i wrzaskliwe kobiety, matki i babki. Nie było przy nim ani jednej. Tylko wnuczka, imieniem Tekla, po najmłodszej córce, zmarłej przed laty, chowała się we dworzyszczu. Tak rok niemcy w Gdańsku zarabali mu brata, który w tym dworze, wspólnie po ojcach dziedzictwie, orał i siał, żął i młócił, rozkazywał czeladzi, pracował i gospodarzył, gdy Wyszkę starość przygarbiła do ziemi. Po bracie tym został jeno syn jedynak, młokos lat dwudziestu paru, który z owej rzezi gdańskiej po stracie ojca cudem uszedł i lasami

do dom wrócił. Z nim razem przybiegł towarzysz jednolatek, Poloch gdański, któremu krzeżoce również na placu Dominika całą wymordowali rodzinę, ojca i matkę, braci i siostry. Ten Pioch, a poprawdzie Pioter, nazwiskiem Pruszek, przystał, a nawet przyrósł do Zamków domu. Coś tam mieli do siebie, ów Pioch i najmłodsza z Zamkówien, ona Tekla. Ci to dwaj młodzi, Jarosz i Pioch, orali teraz z wiosną pola, siali jarzec i łowili osęką rybę w Piaśnicy. Stary Wyszka radował się, patrząc na tych dwu młodych i silnych Wyrwidębów. Była to radość niemocy, iż jest w tej puszczy przed napaścią zasłona, męska rada i mocna pięść, wesołość a zdrowie.

Gdy się wieczorem wszyscy z rodziny zeszli, a sładzy i czeladź obsiadła komin w wielkiej izbie, starzec lubił gwarzyć o tem, co robił za młodu i co widział we światach. Często mu się to i owo plątało, iż syna poczytywał za ojca, a wszystko obecne przenosił kędyś tam, w zamierzchłą starodawność. To, co było na początku, za jego młodych lat, pamiętał najwyraźniej, jakby się dziś właśnie, albo wczoraj stało. Tego zaś, co się wczoraj właśnie przydarzyło, często-kroć wcale nie mógł spamiętać i dobrze we właściwem miejscu pamięci wmurować. Tego dnia, w końcu maja, gdy się na obiad z pola zeszli i pod lipy wyciągnęli stół z ławami, żeby tutaj na słońcu i powietrzu warzę spożyć, Wyszka, poniósłszy do ust parę zaledwie łyżek swego mleczywa, jął zaraz perorować. Bajkę im rozpowiadał, iako zwykle.

— Beł roz, — rzecze, — jeden kowol, ten żył wesoło, a sę nie cierował uo Boga ani uo djobła. Jak

uon poznoł, że uon be wnet uumar, uon rzek do swog-
jogo uucznia.

— Ciej jo uumrzą, tej mie włoż młotk ji parę
dłudziech, uostrech gozdzy w zark. Ten uuczeń to
zrobieł, a tak kowol beł zachowany. Tej uon szed
do niebiesiech dwiérzy a choł bec do nieba wpu-
szczony. Ale święty Pioter rzek:

— Jo ce ni mogę do nieba wpuszec, te jes za
wieldzi grzésnik. Biej dale! Kowol szed dale, a prze-
szed do piekła. Ale tam nie beł nikt kole dwiérzy,
a te dwiérze bełe zamkłe. Tej uon wzał swój młotk
a klepoł na dwiérze. To czele ty djoble a posłale jed-
nego zazdrzec, co to za trzosc tam beł. Ale jak djobeł
dwiérze uodemk a wezdrzoł, kowol uuchwocył go za
uucho a przebił na stronie. To tego djobła barzo bo-
łało, a wrzeszczoł barzo. Tede posłale djoble jednego
inszego, uon miał zazdrzec, czemu ten djobeł tak mocno
wrzeszczoł. Ale jak uon dwiérzamy wezdrzoł, kowol,
uuchwoceł go też za uucho a przebił go na dredzi
stronie. Tej wrzeszczele ty dwaji djoble tak głośno,
jaż nowější djobeł rzek:

— Jo muszą sam zazdrzec, co tam je. Ale jak
uon przed dwiérze wezdrzoł, kowol choł go też
uuchwocec a przebic. Uon skok chutko w tył a zatrzas
dwiérze. Tej uon szed tylneme dwiérzamy a uucek do
Boga a rzek:

— Przed mojeme dwiérzamy je jeden kowol, ten
przebił ju dwuch uod moich djobłów za uusze do
dwiérzy, a to nie felowało wiele, że uon mie samego
nie przebił. Te go muszesz do nieba wżac, bo jak ja
go do piekła wezně, tej jo nie uostanę panę w piekle!

Bóg nie choł te kowola do nieba wżąc, ale ten djobeł rzek:

— Ja uostanę tak długo tu, jaż te go do nieba wezniesz!

Tak muszeł Bóg kowala do nieba wżąc, bo djobła uon doch ni mógł uotrzemac.

Opowiedziawszy tę bajkę, Wyszka długo śmiał się z dyabłów, przybitych za uszy do odrzwiów piekła, mlaskał wargą i językiem o bezzębe dziąsło i nos zakrzywiony ze starości kierował to tu, to tam, badając wrażenie, wywołane przez powieść.

Zachwycało go męstwo kowala i chciał je mieć przez słuchaczów uczzone. Młodzi jakotako przyjęli gadkę dziadową, ale ulubienica wszystkich, gładka Tekla, jednym uchem złowiła treść, a drugim ją wnet wypuściła. Nic w tem nie dostrzegła ciekawego.

Suszyła zęby do młodego Prusaka i chichotała z nim o czemś tam ich własnem.

Stary błysnął rozżłoszczoną żrenicą i zacichł wyniośle. Wiedział przecie, co mówi i do kogo. Chciał uczyć tych oto młodych walki z dyabłem, jak sam z nim mocował się za życia. Małoż to Zły wylał na drogi jego dawne złości i zdrady! Ileż to krzywda zadał! Kto mógł zliczyć straszne podstępny i znęcanie się Smętka, gdy się nie spodzieć,— uderzenia pięścią między oczy w godzinie precudnych wzruszeń, — krwawe zapasy, nękania, przyduszenia, podbicia kolan, osaczenia tak przemyślne, iż tylko łaska Boga mogła z obieży tych wybawić.

Wspominał. Wspominał wszystko. Uszedł w swój świat i zapomniał, że są obok niego dzieci, wnuczka, słudzy, otroki, parobcy i dziewczyny. Widział smugi

krwawych bojów swych, szturmy kuszami machin i młotem nieulekłym pod osłoną matki-tarczy w krainie pruskich apostatów i pogan, w chełmińskiej ziemi. Jako sny, sunęły przed nim nakielskie i sartawickie dzieła, szatańskie poczynania Zakonu. A gdy wspomnieniem docierał do młodych, swjantopołkowych dni, znowu dłoń jego macała po lewym boku, a nie znalazłszy, szukała za pasem rękojeści. Oto widzenie drugiej wojny krzyżackiej: Swjantopołk stracił Nakło, a marszałek prowincyi pruskiej Teodoryk von Bernheim, pustoszy Kaszuby aż do Pucka. Księżę pan miłościwy tu w tych ścianach ojcowych nad wodą Piaśnicy szuka snu i schronienia. Przepływały w pamięci sławne porażenia mistrza prowincyi, Berlewina, gdy w związku z powstańcami sudawskimi wojsko pomorskie wycięło krzyżaków w pień i trupami ich zaśłało pola. Ileż bojów, ile nocnych podejść, Wisłą na czołnie pod krzyżacki Toruń, pod krzyżackie Chełmno! W pogoń wieczną za nimi, po tropach księcia Mestwina, którego, jak szatany, wydzierają z rąk ojcu i wodzą omamem z miejsca na miejsce! Porażki, ucieczki, ucieczki błotem i lasem, spanie w śniegu, w wikłach, w szuwarze. Napaści nocne, podejścia ranne, czyhanie w widłach Nogatu na statki ich, ciągnione w stronę Elbląga i Balgi. Uczta owa nocna, w ziemiańskim pod Kwidzynem domu, noc radosna w lasach, wśród śpiewów, pijatyki, rozpasania i drwin z owego tchórza, co się wciąż Krzyżaków lękał i wszędzie ich widział. Aliści — rozwierają się drzwi i czarne knechty w oknach, wywalanych młotem! Ej, ty walko potężna! A oweż bitwy na łodziach z Fryderykiem von Wiede...

Wspomniał śmierć księcia i dzieje Mestwinowe. Owiało go ciepło radości, gdy patrzył na zastęp Polochów, z poznańskim księciem przebiegający te drogi. A potem wieść o Rogoźnie...

Wnet w drzemaniu prędkiem wszystko zmętniało. Przygasło. Nie umiałyby teraz powiedzieć, czy to sen o owym wielkim polskim królu, co tu z pradziadem przyszedł ku morzu, czy to widzenie prawdy przeżytej. Gdy się ocknął, sam już był pod lipami. Rozbiegli się do roboty wszyscy. Widać było, jak dwaj młodzi, brataniec i ten z Gdańska przybłęda, we dwie pary koni orzą pochyłą niwę. Jeszcze tu na północy, — choć maj stał w pełni, — ziemia była chłodna. Ledwo — ledwo niedawny zamróz z niej wytchnął. Skiby pod sochą, wyrobioną z kłęka jesionowego, okutą żelazem klepanem, odkładały się na bok ciemne i lśniące z wilgoci. Ostre trzusiło krajało zeszłoroczną caliznę starego ściernika. Poważne wrony kroczyły za każdym z oraczów, a warble, przyjaciele strzechy, stadem sfruwały z gałęzi lipowych dla wydziobywania pędraków. Zagony, dymiące się pod słońcem, odkładały się długimi pasami, smuga za smugą, zniżając się w stronę jeziora. Na ten widok najistotniejsze wzruszenie ogarnęło starca. Uczuł w głębi duszy swej szczęśliwość spokoju. Kochał pracę na roli. Miłował ją bardziej, niż sławę wojenną, niż zwycięstwo i tryumf. Nie bał się wcale, iż wkrótce nadejdzie ów poranek, kiedy mu się oczy ze snu nie odemkną, kiedy nie będzie już widział ani tych długich, brunatnych zagonów, ani młodych, żółtawych liści olchy nad wodą, ani wielkiej gładziny jeziora. Wiedział napewno, iż ów sen będzie dobrem najwyższym, czemś jeszcze lepszym, niż spokój

chwili obecnej. Odstąpią wówczas od starego ciała troski i trwogi, niemoce i strachy, poszturchnięcia i upadki, nędzni poganiacze starego serca i krwi zleniwiałej.

Ale nim owa chwila wieczna miała nastąpić, Wyszka cieszył się wszystkim, co widział oczyma, tembardziej nienasyconie, im mniej mu dni zostawało do ostatniej uczyty żywota. Brzmiały w nim, — nie w uchu, lecz w głębi duszy, — głosy dzieci. Nie tych, które dziś są, jako dorosłe osoby, — żywych głosy istotne, lecz okrzyki i wołania tamtych małych, co ich już wcale niema. Śmiały się w nim chichotem najradośniejszym niewinne dziewczyneczki, anioły, za małe ludki poprzebierane, do których szatan żadnej jeszcze niema racyi i prawa. Zanadto jeszcze przezyste są w sobie, żeby w nich coś dla siebie odnalazł. Igrają na brzegu jeziora, kąpią się w ciepłych falach, nagie, a niewinne przezgrzechy, boginki, z nieba na ten padół zesłane. Bałwani się nad nimi woda, śmiech tryska, gdy na się wzajem bryzgi czyste miotają. Stary Wyszka wdychał i płakał w głębi duszy, czemu dzieci przestają być aniołami i wyradzają się w grzeszników brudnych, śmierdzących ludzką chucią i nierządem, w organy jedzące i pijące, w naczynia zbrodni i hańby. Czemu oblatuje z nich niewinny i pachnący kwiat dzieciństwa i twardy, nasienny owoc powstaje. Wzdychał za dziewczeczkami, które we śnie o przeszłości widział, jako swe córki rodzone. Otaczały teraz jego głowę, ni to chór aniołów, śpiewając, weseląc się i tańcząc. Słyszał głosy ich i dziecińskie słowa, których już nikt nie mówi. Rozstawiał ręce, żeby objąć widma święte, co przeszły już nad ziemią, jak obłoki nad Żarnowieckiem

jeziorem. Podniósł głowę. Patrzył. Oto miał przed oczyma drzewiny sadu za domem, każdą wypielęgnowaną na podobieństwo dziecka, obdarzona wszystkim, czego jej było potrzeba, ażeby mogła wydać kwiat swój i owoc. Jakże głęboko miłował te bezmowne, przedziwne istoty, które za trochę opieki i czułości płacą nieprzeliczoną nadwyżką kwiatów, owoców, zapachów, najdziwotworniejszych w kształcie, rozpostarciu, życiu, barwie i smaku. Tam stała pewna chorowita jabłoneczka, z którą tyle było zachodu, pielęgnowania, odziewania jej na zimę w sukienkę z kłoci i powróseł, bielienia w przedwiośnia od odziewka, wyiskiwania z mszyc i natrętnych mrówek, nim się na schwał wybrała, a teraz wzamian za trochę nawozu, podlanego między korzenie, sypie kwieciami i mnóstwem jabłek tak doskonałych w smaku, tak przemyślnie niezbędnych, tak dobrych i stworzonych dla wnętrzości człowieka. Pod tamtą gruszą leży zakopany pies, zestarzały stróż dziedzica, wierny Czuja. Ten się z gruszką połączył. Za wszystko dobre, co kiedykolwiek z ręki dostał, za każde łaskawe spojrzenie i pogłaskanie, tak niewymownie mądry zawsze i uczciwy, jeszcze i jeszcze, z roku na rok po tysiąc razy o wszystkich w smaku gruszek pamięta i za wszystko dziękuje. W dzień Bożego Narodzenia wspomną o nim rok rocznie, — cały dom wypowie jego imię, choć już szczerkania u węglów nikt nie posłysz, — gdy ostatnią z jesieni gruszkę smakować będą, że ta oto z prochów starego Czui, na szlachetnym popiele zrodzona. I znów na wiosnę, gdy się kwiatem drzewo osuje, westchną z głębi, iż to tak nad Czują wieczne życie jaśnieje.

Oto tam ścieżka w głąb sadu idąca, w ciemny

bór. A pozapłaciu znowu przed oczyma wielkie jezioro. Płynęły po niem, jakby w duszy Wyszkowej, złociste i błękitne smugi łaski niebiańskiej. I urodziła się tam, w dalekim, bez końca przestworze, czy w duszy nieskończenie długie dni na tej ziemi snującej — modlitwa:

— Odwróć już od ludzi wojnę. Odwróć wojnę straszliwą, zawsze okrutną. Odwróć morderstwo z orężem w dłoni. Wyrwij oręż z rąk ludzkich i zarzuć go w ziemię. Niech już na wieki rdzewieje!

Niech już ludzie nie zabijają ludzi, lecz niech żyją w spokoju pracy. Niech każdy idzie za kłębkiem pługa, każdy wzdłuż brzozy swej, po ziemi nieprzemierzanej, która za trud płaci tyłą miłości. Niech pokochają zwierzęta domowe, towarzyszyń dostojnych, wiernych i zacnych. Niech pokochają kwiaty i drzewa, zboża, jarzyny, liście i kłosa, święte niewinne i tak wiecznie bez odmiany uczciwe. Niechaj nareszcie ludzie uszanują świętość dzieci i trud przodków umarłych. Niech oddadzą sprawiedliwość pracy wykonanej w przeszłości. Niechaj ją uczczą, jako prawo.

Odwróć napaść zdobywców.

Wstrzymaj miecz podniesiony.

Odwróć już od ludzi wojnę.

Modlitwę nie temi wyrażoną słowy, lecz tę treść zawierającą w sobie, przerwał tętent daleki na drodze. Szło wiele koni: — duch — duch — duch — duch — duch, — duch-da — duch — duch — duch, duch — duch...

Wyszka nastawił ucha. Wrodzony nałóg czujności ocknął się w ciele. Serce zakołotało. A gdy starzec

oczy dłonią od słońca przysłonił, dojrzał wielki jeźdźców komunik. Sadzili na przepysznych ogierach, odziani w żelazo, z głową hełmami okrytą. Pióra wielobarwne na szyszakach się snuły.

— Byłże-by to sam polski król? — myślał Wyszka. — On mały, Łokietek? Wiare mu zaprzysięgali wszyscy na przymorzu i w Pomorsce, od Koronowa do wielkiej wody, od Świeżej zatoki do Sarbska, od morza po Krajnę, na czterdzieści mil wzdłuż, na piętnaście mil wszere. Witali go, jako pana prawego i swego króla, wszyscy, od wielkopana do chudego pachółka. Witali go, jako dziedzica jego miłości ostatniego Gryfity. Cóż to tam jest? Kto jedzie? Rycerze tłumem wywalili się z lasu i wpoprzek roli zoranej wskok sadzili wokół person, pośrodku jadących. Gdy się ze starym ciemnikiem zrównali, do dworzyszczu z drogi wiodącym, przystanęli. Radzą. Aż od całego hufca odłamał się jeździec i skokiem do bramy przyczwalał. Zakołatał we wrota.

Pobiegł tam z czeladnej izby pachółek wierzeje otworzyć. Jeździec wpadł na dziedziniec i, rozejrzawszy się bystro po całym obejściu i dworze, nie wymówiwszy słowa, do swoich powrócił. Skoro im cości rozpowiedział, cała jazda skierowała konie pyskami ku dworowi. Wnet wjeżdżali przez bramę jeden po drugim wspinali rycerze.

Zadrzało od gwałtownego wzruszenia stare serce Wyszkowe. Białe płaszcze na nich! Na każdym płaszczu z lewego ramienia czarny krzyż.

Jak gdy myśliwiec zwierza — tura w boru znie-nacka zobaczy, — krew spłonęła...

Cały dziedziniec napełnili rycerze, służba, pachotkowie. Zajechały wozy kuchenne i podwoły z żywnością. Pośrodku tłumu siedziało na koniach kilku dostojnych, około których wszystko się snuło w ukłonach a czołobitnie. Ale i ci wreszcie dowódcy czy wielmoże ze swych kulbak zsiadli z ulgą i, wzajem się wenerując, wśród ukłonów ku osiedlu zmierzali. Torowała im drogę brać służebna krzyżaków i jacyś trabanci, nie po zakonnemu, świecko i błyszcząco odziani. Pioch Pruszek i młody Trzebiatowszczyk, widząc z pola co się na drodze dzieje, rzucili swój sprzężaj i pługi, przesadzili ostrokół i płoty, otaczające dwór cały, i stanęli zdyszani za plecami dziada Wyszki. Pioch w Gdańsku urodzony i wychowany w sąsiedztwie niemieckiem, rozumiał mowę teutońską doskonale, jakoby swoją własną, znał się na szatach, zbrojach i znakach rycerskich. Szepnął zaraz do ucha starcowi:

— To będzie sam jeich mistrz wielki. Jest i komtur. Ten z Gdańska! Plotzke! Mordorz!

Dwaj dostojnicy zbliżali się do starca i patrzyli nań z pobłażliwym uśmiechem, Wyszka Zamk-Trzebiatowski nie spuszczał ich również z oczu, obudwu, mając w sobie uczucie wilka, któremu się szczecina jeży na grzbiecie od widoku brytanów, nachodzących jego legowię.

Zygfryd von Feuchtwangen, dawniej komtur Ostrudy, później, w czasie zatargów z Hohenlohem na wielkiego mistrza wybrany, a wreszcie po śmierci antagonisty, powtórnym zaszczycony wyborem, zjechał był właśnie z Wenecyi do Malborga i tu stolicę Zakonu fundował. Teraz wyruszył z tej nowej stolicy, ażeby

się spotkać z Waldemarem, młodszym Askańczykiem, synem Konrada Drugiego, potomkiem Albrechta Niedźwiedzia, a po kądzieli margrafa Gerona, — w celu doprowadzenia do skutku układu o sprzedaż Pomorza, który już przed rokiem był w Toruniu przez wielkiego komtura von Plotzke z obydwoma margrabiami omówiony. Wielki mistrz zapowiedział był swe przybycie na oznaczony dzień w miesiącu maju do Słupska, sprzedanego margrafom przez księcia Wisława, rugijskiego władcę. Zapowiedź tę wielki mistrz wysłał był z Gdańska na Słupsk przez retmana umyślnie odprawionej szkuty, który miał później pchnąć z brzegu morskiego gońca na miejsce. W drodze do umówionego celu wielki mistrz zabłądził w lasach. Unikając karwińskich bagien, wziął się na górną Piaśnicę, Rybno, Lisowo, Opalin. Tu w zapadłych wsiach powziął wiadomość, iż jakowyś hufiec rycerski krąży na wybrzeżu Piaśnickiego jeziora. Podesławszy czatę, wielki mistrz zasięgnął języka, iż to sam margraf Waldemar, wyjechawszy na spotkanie wysokiego gościa, szuka go ponad jeziorem. Nastąpiło spotkanie właśnie w pobliżu dziedziny Wyszkowej. Kołując ponad jeziorem, dwaj przemożni panowie napotkali w bezdrożu szlak leśny, który ich prosto na trzebiatowski dwór wyprowadził. Obadwaj dostojnicy przełożyli pobyt na świeżem powietrzu pod drzewami nad ciasnotę i zaduch słowiańskiego wnętrza domu. Rozstawiono między lipami półokrąg wszystkie stoły i zydle, jakie tylko w izbach znaleziono, nakryto je kobiercami i suknam własnymi. Panowie zasiedli, mało dbając o gospodarzy i ich rolę w tym domu. Kobiety Trzebiatowskie uciekły były do

lasu, strwożona służba rozprysła się i rosproszyła kędyś ponadjezierzu w zaroślach. Sam jeno Pioch gdański i młody Jarosz Trzebiatowski zostali na miejscu. No, i Wyszka. Wszyscy trzej zdala od tłumu przyjezdnych, — młodzi po obu stronach dziada, — na przyźbie dworu przysiedli. Patrzyli, jak służba niemiecka wynosi z zapola stodół ostatnie na przednówku wiązki słomy i spasa końmi ostatnie miary owsa do siewu, zagarnięte z sąsieków. Patrzyli, jak trabanci rozwalają drzwi komór i rabują a żrą, co znajdują. Margraf Waldemar głębokie okazywał uszanowanie wielkiemu mistrzowi Krzyżaków. Ilekroć ostatni zaczynał mówić, margraf dwornie zacięchał i pokornie nastawiał ucha. Lecz spojrzenie jego oczu wielkich i nieustępliwie spojierających nie zgadzało się z cichem brzmieniem mowy. Wielki mistrz, starzec tęgi, przysadzisty, o grubym karku i oczach przekrwionych, zdawał się chytrze napawać przymuszoną uniżonością margrafa. Mówili już obadwaj o sprawie, która wielkiego mistrza znagliła do tej iazdy dalekiej, — o nabyciu przez Zakon malborski wschodniego Pomorza, kraju między Wisłą i Łebą, między morzem i ziemiami Kujaw. Margraf usiłował nibyto wycofać się z układu, zawartego z mistrzem prowincyi w Toruniu. Mocą owego układu sprzedawał był Krzyżakom miasto Gdańsk, Tczew, Świecie i inne grody za sumę dziesięciu tysięcy grzywien brandenburskiej wagi. Znajdował teraz, iż zbyt tanio odstąpił te grody i ziemię. Dowodził, iż potrzeba mu właśnie sum wielkich na walkę z książątkiem Rany.

Zakonnik milczał, gładząc siwiejącą brodę. Rozdrażniony tem milczeniem margrabia uczynił złośliwą

uwagę, iż suma to zbyt nędzna, ażeby ją nawet wymienić w obliczu cesarza. Król rzymski śmiechem wybuchnie doprawdy, posłyszawszy, iż się za dziesięć tysięcy marek ogromny kraj sprzedaje. A bez potwierdzenia Adolfa Nassauskiego ten układ nie miałby wagi.

— Równie jak bez zgody najmiłościwszego pana naszego i ojca świętego, którą my znowu będziemy musieli wyjednać sobie... — dorzucił z naciskiem Henryk von Plotzke, mistrz pruskiej prowincji.

— Kraj wielki, mówisz, Wasza Dostojność... — ozwał się Zygfryd von Feuchtwangen. Cóż to za kraj — na Boga! Moczary, jak te oto, zalewiska morskie po szyję koniowi, jeziora, puszcze, pełne śniegu lodu i dzikich strumieni...

— Zwierz tylko straszny wałęsa się tutaj w poprzek bagien i pustkowiec... — dorzucił jeden z braci zakonnych.

— Człowiek, o ile się trafi, to przez Bóg żywy! raczej zwierzę dwunogie, niż istota z duszą nieśmiertelną... — mówił inny z Krzyżaków.

— Dymne chałupy, brudem ludzkim o trzy łany cuchnące, wpólnagie dzieci, błakające się latem wśród jeżyn, schylone nad jagodami, a w zimie wędzące się w dymie... Surowizny i kwasy to pokarm tych ludzi. Chleba prawie nie znają — mówił von Plotzke, ody mając wargi.

— Jeżeli trafi się w lasach siedziba wielkiego posiadziela, to taka, jak ta oto... — wtrącił ze śmiechem szyderyczym jeden z młodszych braci.

— Ludzi tu mało. Prawie ich niema, zwłaszcza w północnej stronie, — dorzucił hrabia von Plotzke.

Tamten wytrzymał z obojętnością spojrzenie północnego władcy i zcicha odpowiedział:

— Naszem to jest zadaniem i hasłem, żeby w te pustki ludzi niemieckich sprowadzić.

— Pewnie! Jestem tejsamej myśli. Tosamo mam na oku. Z ochotą też chcę wydać w wasze ręce to dziedzictwo, o, bracia czcigodni. Pracujcie!

— Z posłuszeństwem gotowi jesteśmy do dzieła, — odpowiedział wielki mistrz, schylając swój gruby kark w obłudnym ukłonie. — Chcemy wiadomą sumę wypłacić.

— Za mała to suma — Bóg widzi.

— Za mała suma? I to od nas żądacie sumy większej, panie tyłu krain! Od nas, od braci zakonnych! Iluż to ziem dostojny rodzic wasz, ile brat Otto Czwarty, przyczynili...

— Ten skarb przesycony złotem, wydobytem z sakwy ludów Wschodu i Północy, obarczony darami wszystkich dominiów Niemiec, szkatuły cesarskiej i papieskiej — zaubogi jest jeszcze... — szydził margraf.

— Jeżeli posiadamy jakie dobra ziemskie, które Wasza Dostojność wypominać nam raczy, toć musimy zdać z nich rachunek najściślejszy wobec Zbawcy naszego i namiestnika Jego na ziemi. Nie nasze to dobro, lecz Jego samego. Nie możemy płacić Jego złotem za prawa, doprawdy mniemane.

— Mniemane! — porwał się margraf.

— Spokojnie, Wasza Miłość, spokojnie... — prze-rwał wielki mistrz z udaną pokorą.

— Jakto! Gdy ja zmagam się w walce ponad siły

moje z nawałą słowiańską, urabiam ręce, szerząc władzę niemiecką na Wschodzie i Północy...

— Alboż i my nie szerzymy władzy niemieckiej na Wschodzie?

— Tak. Szerzycie ją, dostojni bracia. Sprawiliście waszem postępowaniem, iż Mendog wyrzekł się wiary chrześcijańskiej i znowu stał się bałwochwalcą.

Margraf zniżył głos i dorzucił:

— Arcybiskup Bremy i kanonik z Rawenny, Albert medyolański, mają zlecenie od papieża Klemensa, ażeby się udali do Malborga i zbadali wasze postępowanie na miejscu.

Wielki mistrz gładził z powagą swą brodę. Henryk von Plotzke rzekł ze spokojem:

— Ta pogróżka, czy... plotka nie zmienia postaci rzeczy.

— To prawda... — rzucił wielki mistrz z utajonym gniewem. — Jakież to prawa, Miłościwy Panie, posiadacie do tej oto ziemi, którą nam tak drogo sprzedać chcecie.

Margraf dźwignął się z miejsca ze ściągniętymi brwiami:

— Jakto! — zawołał. — Margrabiowie Otto i Waldemar posiadli blisko ośmdziesiąt lat temu dokument od Fryderyka Wtórego, potwierdzający wszystkie lenna Albrechta Niedźwiedzia. Powiedziano tam: »z wielkiej łaski potwierdzamy im księstwo pomorskie, tak jak wymieniony Albrecht i przodkowie jego trzymali od przodków naszych«.

— Które księstwo pomorskie? — spytał wielki komtur z uśmiechem:

— Księstwo pomorskie jest jedno, całe, od Rugii po Wisłę.

— Nie, — tam jest mowa o księstwie szczecińskim, — rzekł von Plotzke z uśmiechem.

— Waclaw Trzeci, król czeski, wystawił dokument bratu memu Ottonowi, zgasłemu w tym roku ubiegłym, mnie i Hermanowi, tej treści, iż jeśli my wydamy mu Miśnię, w zastaw nam puszczoną przez Waclawa Drugiego, to on nam wyda Pomorze.

— I cóż słyhać z Miśnią? — spytał wielki mistrz z szyderstwem.

— To rzecz moja i króla Czechów. Pomorze jest moje. Otrzymałem je wraz z bratem Ottonem od cesarza Adolfa już piętnaście lat temu! Po śmierci w Bogu spoczywającego brata mego, Ottona sam jestem tego kraju dziedzicem. Po śmierci owego książątka gdańskiego Mestwina...

— Właśnie, chciałem słowo wstawić... — zcicha dopraszał się von Plotzke. — Po śmierci Mestwina inni przecie zjawili się pretendenci. Wprawdzie jeden, dość znaczny, potknął się o próg zbyt wysoki na jego nogi, o próg, mówię, w Rogoźnie... — dorzucił z jadowitym za Gdańsk odwetem mistrz pruskiej prowincyi.

Margraf Waldemar obrzucił go wzrokiem pełnym nienawiści i wzgardy.

— To była sprawa rodzinna, rozumiem. Margrabia Jan brandenburski był bliskim krewniakiem owego tam Przemysława. Aleć jest jeszcze ów mały, ruchliwy, zabiegliwy polski królik, Łokietek.

— To jest królik zbyt mały, żeby go brać w najmniejszą rachubę, — bąknął margraf.

— My jednak, o Panie, musimy i jego brać w rachubę, wszystko czyniąc według praw boskich i ludzkich. Musimy, albo nabyć jego pretensye do tej ziemi, albo je orężem od niego odebrać. Dla tego jesteśmy tak skąpi, jak Wasza Miłość raczyła nas posądzić.

— Są jeszcze książęta Rugii, Bogusław szczeciński... — mówił wielki mistrz Zakonu.

— Tych ja biorę na siebie. Tych uroczyście biorę na siebie... — odparł margraf.

— Rozumiemy. Rozumiemy doskonale. Lecz te sprawy są zawikłane, niejasne, niepewne. My znamy się na wartości darowizn cesarskich. Chcemy uważać ten kraj cały za lenno cesarza. Chcemy! Nabywamy wszelkie prawa i pretensye do tego kraju. A więc, Wasza Miłość?

Margraf przysunął sobie nogą zydel najbliższy i na nim oparł kolano.

Stał się wyniosły, pyszny, wspaniały, monarszy. Rzekł majestatycznie:

— Ustępuję wam me prawa i pretensye do całej ziemi północnej od Łeby po Wisłę i od morza po Kujawy — za dwadzieścia tysięcy marek brandenburskiej wagi.

Wielki mistrz zwiesił głowę i milczał,

— No? — spytał margraf wyniośle.

— Nie, Miłościwy Panie.

— Więc cóż? Mamże znowu zbrojno nachodzić te strony?

— Zbrojno? — zapytał z ironią mistrz prowincyi. Nie starczy na to ceł rzecznych i dochodów z osobistego majątku...

— Daję wam przecie Chojnice, Tucholę, Świecie, Nowe, Tczew, Gdańsk!

— Nawet i Gdańsk? — spytał wielki mistrz ze śmiechem.

— Te zamki, — tłumaczył Henryk von Plotzke, — oraz inne pomniejsze, są jeszcze na dobre w rękę Polaków. Dopiero zdobywać je przyjdzie, wydzierać z rąk Przemysława, księcia kujawskiego, i Kazimierza, jego brata. Trzeba ich tam będzie niemało, jak psów, na szubienicach wywieszać, zanim się te zamki osiedzie.

— A więc, jakaż jest wasza cena? — pytał margraf, jakby nie dosłyszawszy uwagi.

— Cena była już umówiona rok temu.

— Musicie dać więcej. Tak nie sprzedam.

Dajcie ośmnaście tysięcy.

— Nie! Miłościwy Panie. To darmo... — rzekł Zygfryd von Feuchtwangen.

— Dajcież piętnaście tysięcy! — rzucił z gniewem Waldemar.

— Nie! Miłościwy Panie, to darmo... Ani jednego solida więcej.

— Powtarzam: piętnaście tysięcy!... — wołał margraf ze wstydem i w furii.

— Nie, Miłościwy Panie!

— Czternaście!

— Nie!

— Trzynaście!

— Nie!

— Dwanaście!

Zanim wielki mistrz odpowiedzieć zdołał, stary

Wyszka wstał z miejsca. Przyblęda Pioch, siedzący obok, wkładał mu przez ten czas cały, półgłosem, słowo po słowie wszystko z dokładnością, co wielcy goście mówili. Wyprostowawszy nagle przemocą wysiłku swoje krzyże zgarbione, starzec ruszył we drzwi domu, stukając głośno kijem w ziemię. Nie zwrócono na to uwagi. Tylko Piotr i Jarosz za dziadcm pobiegli. Minawszy wielką izbę czeladną, świetlicę, dziewczynską, sień i bokówkę, ujrzeli obadwaj, że drzwi zamczystego skarbcza są na ścieżaj otwarte. Zajrzeli. Wyszka wdział już na głowę prapradziadowski szłomik, na piersi i plecy pancerz, a w owej chwili właśnie zawściągał ze śmiesznym pośpiechem zeschnięte, zzelaziałe sprzączki nagolenic. Błysnął na młokosów krwawem okiem z ciemności komory i nagłem skinieniem wodza wskazał im oręż stary, porozwieszany na ścianach. Warknął jakowys rozkaz odwieczny, dla nich niezrozumiały. Chwycili, czego dopadli. Zamk Trzebiatowski porwał młot, którym był wielekroć walił w bramy Christburga. Mróz śmiertelnego natchnienia zjeżył mu włosy pod hełmem. Drżenie nagłe przebiegło wskrós ciała. Starzec wyszedł z domu. Za nim dwaj młodzi z nagiemi w rękę mieczami. Wyszka w świętej głupocie swej wypadł na światło, jak widmo. Dziki, oszalały niósł w sobie sen, iż to on, kowal z bajki, będzie teraz młotem klepał w zamkłe dwiérze piekielne. Z krzykiem w ściśniętem gardle runął na Niemców.

Przez chwilę trwało w dostojnem gronie zdumienie. Śmiech się rozległ. Ale na widok młota, podniesionego przeciw margrafowi i mistrzom, cały zastęp porwał się do oręża. Pchnięto dziadygę kopijami.

A gdy się groty ześlizgnęły po pancerzu, zajechano go ze wszech stron dziesiątkiem klingi toczonej. Pierwszy z brzegu trabant nadepnął leżącego na ziemi, jak gadzinę, i ściął go wielkim mieczem. Stara głowa zleciała, a kadłub skrwawiony legł u stóp mistrza prowincyi. Z pasyą rozsiekano w bitwie, na sztuki, rozniesiono na żelazach Prusaka i Jarosza. Zwłoki ich nieosłonięte zbroją podarto ostróg kolcami, a głowy rozwalono na miazgę obuchami toporów.

Margraf i ministrowie zakonni musieli przerwać rozmowę wskutek tego niemiłego zdarzenia Waldemar skinieniem ręki pozwolił swoim na zrabowanie dworzyszczą. Rękodajni podprowadzili konie. Panowie dosiedli wierzchowców, za nimi bracia służebni, soldnery i trabanci brandenburskiego dziedzica.

Zastęp oddalił się z wolna.

A gdy mijali wylewisko Piaśnicy z jeziora, zarosłe trzcinią lasem, grząskie, sitowiem osnute, gwarliwie od pokrzyków, poświstów i gędziolenia ptactwa wodnego i, gdy prowadząc ożywioną rozmowę, rzucili od niechcienia okiem za siebie, już dym wielkimi, burmi kłębamii buzował się w dali, w dali na wzgórzu, walił między konary lipowe, a wielki ogień wysokimi ieżory wystrzelał ze starego dachu domostwa Zamków, — niespodziewany i straszliwy ponad wszelkie słowo. Łuna krwawa i złocista zalała sine i błękitne odmęty piaśnickiego jeziora. Panowie zakonni i margraf Waldemar wzięli się teraz ku zachodowi na Wierzchuceno, Słuchowo, Osieki, Czekocino, Sasino i Sarbsk, dążąc w stronę Słupska, ażeby na miejscu akt umowy podpisać. Połowa raty, pięć tysięcy grzy-

wien, miała być zaraz wypłacona, druga połowa przy-
obiecana w terminie drugiego lutego 1311-go roku.
Tak według prawa wszystko czyniąc, wchodzili w po-
siadanie ziemi rozległej, brali w moc krzyża dalekie
krainy »*in Polan, Pomeran und czu Prüssen*«.

Rycerstwo króla Kazimierza Jagiellończyka pod dowództwem Piotra z Prawkowic herbu Łabędź Dunina wdarło się głęboko w pruską ziemię. Rzuciło się przedewszystkiem dla poratowania kondotyera Jana Skalsky'ego, husyty, zaciężnika, idącego zrazu na rękę Zakonowi, a gdy skarb malborski do dna się wyczerpał, — zaprzedanego Polsce. Ów Skalsky, dziki okrutnik i zdierca Warmii, zamknął się był przed Krzyżakami w nadmorskich murach i wśród obronnych wież Frauenburga, złupił i zbezczescił fromberską katedrę i do ostatka bronił się przeciwko wielkiemu mistrzowi. Gdy Piotr Dunin na czele swego wojska, szykiem porządnym zmierzającego, przyszedł pod nieprzyjaciela, z zamiarem stoczenia bitwy pod murami Fromberku, Ludwik von Erlichshausen, mistrz krzyżacki, który miał pod sobą jedynie wieśniaków sambijskich, zaniechał oblężenia nadmorskiej katedry, uszedł w lasy z pośpiechem i zostawił Polakom cały swój obóz, pełen zasobów i żywności. Oczyściwszy ziemie okoliczne, — gdy chłopci, stanowiący całą siłę krzyżacką rozbiegli się do chałup, a mistrz na czele szczupłego oddziału w pruskie puszcze się cofnął, — Piotr z Prawkowic wziął się na zachód, ażeby dać pomoc zbuntowanym

przeciwko Zakonowi gdańszczanom. Hufiec dwutyśięczny z wielkopolan i kujawiaków złożony ruszył wzdłuż wybrzeża Świeżego Zalewu, mając przed oczyma wały piaszczyste, wydęte przez wiatry w góry kształtu dziwnego, o stokach łagodnych od strony podmuchu, a strome i spadziste za wiatrem. Koń polski, w żyznych niwach i wilgotnych łągach odchowany, brnął po tych przepaścistych wydmach, wzdłuż cichych wód morskiego jeziora. Przepłynąwszy wpływ Nogat i Wisłę, rycerstwo królewskie przybrało jeszcze nieco jezdnych z Tczewa a z Gdańska i ruszyło poza góry kolebskie, pędząc przed sobą najemnika Krzyżaków. Nie napotkano przed sobą większej siły pod Puckiem, ani u nasady międzymorza, na dawnym gdańskim szlaku, nad Czarną, nad Rogoźnicą, nad Piaśnicą, przy wielkim jeziorze, ani dalej pod Białogórą, Kopalinem i przy Sarbskim zalewie. Pierwszy to raz od stuleci znowu tutaj na zwiewnych piaskach, golicach, na powichrach i trawach przymorza polskie kopyto odcisnęło swe ślady. Wielkie, pienne morze szeroko miotanym zalewem biło w pęciny rumaków i dreszczem przejmowało nieznanym dusze rycerzy. Napawało ich oczy widokiem wałów zielonych, na piasków przeczystych wysypisko wiekuiście idących. Wciągali w nozdrza słone pyły i orzeźwiali się chłodem niezmiernego przestworu.

Odetchnęły zbuntowane przeciwko Krzyżakom dwory i gburstwa, sioła i rybackie pustkowia. Jazda przesywała lasy, okrążała błota, wdzierała się na pagóry i przeszukiwała wąwozy. Nie wytropiła nigdzie wroga na oko. Lecz gdy Dunin zapędził się poza Żar-

nowskie jezioro, nieprzyjaciel ściągał tajemnie wszystkie swoje załogi, sprowadzał od strony Śląska nowe zaciągi, zganiał do swego obozu wszystkich podległych mu jeszcze rolników i rybaków.

Fritz von Ravenek i Kaspar Nostitz objęli dowództwo nad tem wojskiem krzyżackiem, które do pięciu tysięcy żołnierza liczyło. Zwolna postuwając swe siły ku Żarnowieckiemu jezioru, Fritz von Ravenek i Kaspar Nostitz osaczyli Polaków w piaśnieckiej nizinie. Przecięli wszystkie drogi i ścieżki od Gniewina, Tułowa, Mechowa, Sławoszyna, Ostrowa i zagrozdzi wojsku polskiemu możliwość odwrotu. Zmiarkowawszy swe położenie, Piotr Dunin słał do króla Kazimierza gońca za gońcem, żądając natychmiastowej odsieczy w tem gnieździe błotnistem. Goniec za gońcem przesywał nawskroś lasy i docierał do pana.

Król wysłał natychmiast służebne swe roty pod wodzą Piotra Górskiego. Fritz von Ravenek i Nostitz postanowili najprzód Górskiego pokonać, zanimby się do Dunina przybliżył, a później samego Piotra z Prawkowic w owem ciasnem przejściu udusić. Gdy jednak Górski wkroczył w puszcze, znikł w nich i szedł sporo, najemnicy krzyżaccy zmienili zdanie i w Dunina postanowili uderzyć. Pchnęli tedy całą siłę swą naprzód i dwakroć ciaśniejszą obręczą otoczyli Polaków. Starą drogę gdańską, w stronę Starzyna i Pucka wiodącą, zarębem i dołami zniszczyli, wszystkie przesieki i smugi w gęstych lasach, wszystkie rozdoły i polany zamknęli rowami. Pod wsią Świecino, należąca do Żarnowieckiego panien Cystersek klasztoru, między jeziorem Świecińskim, czyli Dobrem, rzekami Rogoź-

nicą i Prądnicą, a starą mogiłą pogańską zwaną Skarbową, między lasem, przy którym leży kamień Boża Stopka, a błotami niziny, zwanymi Porosłe, rozparł się obóz Polaków. Pod osłoną jazdy i taboru Piotr Dunin okopał się mocno i postanowił drogo sprzedać swoje i rycerzy swych życie.

Wojsko krzyżackie, wychyliwszy się z lasów od strony Lubocina i Warzewa, stanęło niezłomnym zastępem, przecinając dolinę. Czoło tego wojska osłoniły wozy wojenne, łańcuchami zczepione. Przed niem wybrano rów głęboki i wbito częstokół z naostrzonych palów, z których część pewna była nadto żelazem okuta. Tak to, okopawszy się w swych stanowiskach, dwa wojska czatowały na chwilę sposobną do walki.

Noc była późna, jesienna, gdy polski campiductor, wszystko baczenie opatrzywszy w obozie, z pozostawieniem czujnej jazdy na przedzie, a pod zasłoną jazdy oddziału gotowej piechoty, zdawszy główny rozkaz nad tą pierwszą strażą dworzaninowi królewskiemu, imieniem Paweł Jasiński, sam wrócił do kolasy, by w milczeniu czyn jutrzejszy rozważyć.

W cieniu wozu hetmana snuł się mnich gdański, brat Iwo. Był to starzec zeschnięty. naprzód pochylony, o wielkiej czasce łysej, zawsze gołej, na słońce, plutę i wicher wystawnej i tak przepalanej, iż raz na zawsze kolor bursztynu przyjęła. Brat Iwo, przybrawszy to imię na cześć stryjca Odrowążów, Jacka i Czesława, twórców w Polsce Dominikanów zakonu, pochodził ze szlachty pomorskiej, ze starego rodu Rozwarów, którzy za czasów Śwjantopołka gdańskiego przyszli w te strony skądś spod Szczecina, wyparci z dziedzin

rodowych przez najazd niemiecki. Należał do stada jeleni, wypłoszonego z mateczników ojczystych przez szczwaczów nielada. Jako wszyscy w tym rodzie, zachował na dnie duszy, pod licznymi warstwami uczuć, myśli i wierzeń zakonnych, wspomnienie krzywdy, legendę o hańbie ucieczki, wiecznie żarzący się węgiel pamięci rodowej porażki. Krzyżacy nie mieli w bracie Iwonie przyjaciela. Gdzie mógł i o ile tylko był w stanie, szkodził im jawnie i skrycie. Teraz, gdy wojsko polskie zjawiło się w gdańszczyźnie, szedł z niem na ochotnika, jako spowiednik i podżegacz, mówca i pocieszyciel, zaklinacz i egzorcysta. Nieproszony i niewołany plątał się wciąż czarnobiałą plamą między osiami i sprychami wozów, u strzemion rycerzy, na przedzie, gdy agmen nieprzyjaciela dostrzegał, i w tyle, gdy trzeba było w ziemię zagrzebać wojaka. Brat Iwo poczytywał moc krzyżacką, krótko mówiąc, za objawienie się na ziemi tej piekieł podspodnich. Podobnie bowiem, — wywodził, — jak czarci byli zbuntowanymi cherubami, taksamo te ich podobizny na ziemi w zaraniu swem poczęte były przez dobro i narodziły się z cnoty najczystszej człowieczej. Dopiero przez pychę i żądzę wchłonęły w siebie wszelkie dyabelstwo ludzkiej natury i samego dyabła przewyższyły w zepsuciu. Nawet najlepsi z Krzyżaków, — zaręczał, — przebywając w sferze dyabelstwa, muszą być poczytywani za zostających szczególnie pod wpływem szatana, za grzeszników najniższej, trzeciej kategorii. W piekło i milicję dyabelską, stale obecną i wciąż działającą, brat Iwo wierzył głęboko, niewzruszenie i szczerze. Można by nawet ze złościwością powiedzieć, iż mocniej był prze-

świadczony o czynach Smętka na ziemiach, przylegających do Wisły, wyraźniej umiał uwydatnić w płomiennych egzortach kolejność i oczywistość zdarzeń, powstającą z naprawy tego pomorskiego psotnika, niż z podobną jasnością wyświecić i na oko pokazywać dowody boskiej Opatrzności. Wszystko, cokolwiek z lat pradawnych stało w ludzkiej pamięci i klechdzie, co się zdarzyło za czasów świeckiej brata Iwona włóczęgi w obozach, co zaszło czasu pobytu w klasztorze, — wszystko, cokolwiek niewstrzymanym wartem bieгло w oczach żywo widzących, miało dlań jeden sens wspólny. To »On« myszkował, kręcił, zastawiał sidła, kopał doły, motał kłębki, stroił figle, zwyciężał i chichotał z radości, albo doznawał sromotnej porażki. Zawsze wśród czynów ludzkich »On« czał się, jako lis, napadał, jako wilk, albo schwycony na gorącym uczynku swego łajdactwa, wobec otwarcia świętego potrzasku, albo w porę wiadomym sposobem i wprawną ręką zażyty a przeżegnany, zmykał, ni to ów zając aż się za nim kurzyło i fetor piekielny zostawał w powietrzu.

Brat Iwo ze swej strony był właśnie przez całe swe życie owym myśliwcem, który na Smętka czatował, tropił go bezsennie, nastawał nań dniem i nocą i pobijał go na łeb na szyję. Znali się z »tamtym« nie od dzisiaj. Ileż to razy czujny strażnik wyganiał go z ciał energumenów, nieszczęśliwych, których trzeba było nieskończenie długo trzymać nazewnątrz kościoła, dopóki się z ich wnętrza obrzydliwego dyabła nie wywabiło przepotężnym rozkazem. Brat Iwo poznawał się na opętaniu od jednego rzutu oka. Gdy chory tężał

na całym ciele, czerwieniał i twarz miał pokrytą krwistymi plamami, gdy żołądek jego wzdymał się w sposób szczególny, iż tworzyła się to tu, to tam jakoby bulwa wydatna, — gdy opętanego targały już to bóle żołądka, już palił go jakoby ogień wewnętrzny, albo znowu kiszki ścisnęły się tak dalece, iż ustawało trawienie, a pokarm wypadał ustami przez womity, brat Iwo odsuwał lekarza z jego przeczyszczeniami i medykamentami, a sam przystępował do dzieła. Podobnie łatwo odróżniał opętanie po ruchu, lub nieruchu serca. Skoro bowiem serce człowieka biegło tętnem oszalałym, albo znowu stawało w sposób niewytłomaczony, iakgdyby strwożone, — gdy wielkie w niem objawiały się cierpienia, podobne do targania wściekłych psów paszczką, brat Iwo brał nieszczęśnika w swe ręce. Rozumiał się doskonale na owych wiatrach wewnętrznych, na paleniu, niczem od wapna niegaszonego, na bulwach, rozdmajających żołądek i wyraźnych powierzchu. Rękami umiał we wnętrzościach wymacać kształt szatana. Brat Iwo prosił go wówczas po dobroci, żeby nieszczęśliwego raczył od siebie uwolnić. Wypędzał nędznika łagodnie dotknięciem szkaplerza z zaszytymi wewnątrz relikwiami, przepędzał eksuflacją i modlitwą, insuflacją i modlitwą, wreszcie insputacją i modlitwą. Jeżeli zaś tylko wzdrygnięcia, strach i horror od dotknięć krzyża i relikwii w chorym się objawiały człowieku, brat Iwo przystępował do »*Exprobracyi in Satan*«, która była »*magna et terribilis*«. Podnosił krzyż i, wymówiwszy przepisane psalmy, modlitwy i litanie, wołał: — »*Ecce crux Domini. Fugite patres adversae!*«. Czynił to powtórnie i potrzecie. Zdarzało się przecież, że dyabeł

nie wychodził z wnętrzości opętanego na skutek najzarliwszych modlitw o zesłanie anioła z niebios, któryby strzegł, bronił, nawiedził i zasłonił nieszczęśliwą ofiarę. — W takich ciężkich wypadkach brat Iwo przystępował do Praeexorcyzacyi czwartej. Odmawiał zaklęcia:

— »Przeklęty szatanie, uznaj dekret swój, a daj chwałę Bogu prawdziwemu, żywemu, daj uczciwość Panu Jezusowi Chrystusowi, żebyś odstąpił od tego sługi Jego z twojemi sprawami, którego Pan nasz Jezus Chrystus swą najdroższą krwią odkupił«. Takie to powtórę i potrzecie z przepisanimi modlitwami wznawiał egzorcyzmy. Nieraz jednak nawet to nie pomagało i szatan uparcie trzymał się swej ofiary. Skoro nie wiadomo było, z którym się ma do czynienia, należało wyzywać wszystkich, aż się na właściwego trafiło. Egzorcysta wymieniał ich i wołał z kolei, opatrując każdą nazwę znakiem krzyża:

— »Diabolus, Daemon, Satan, Belzebub, Bchemot, Leviathan, Mammona, Lucifer, Basiliscus, Bestia, Belial, Ostium, Divitiac Adversarius, Peccator, Exterminator, Mors, Aquila, Bos, Gigas, Leo, Nox, Coluber, Rex, Serpens, Vitulus, Apis, Avis, Aër, Cadaver, Catulus, Faber, Fortis, Impius, Exactor, Malleus, Porcus, Vipera, Venator, Civis!

A przeciwko każdemu z nich, czy wszystkim wraz, podnosił krzyż, mówiąc:

— Ecce crux Jesu Christi, Cruce Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat, Agios, Ischiros, Sother, Sabaoth, Adonay, Heloym, Homousion, Theragrammaton, Otheos, Athanatos, Alpha, Omega, Sal-

vator, Principium et Finis, Primogenitus, Via, Veritas, Jehova, Vita, Sapientia, Aeternus, Virtus, Paracletus...

Na wielu już opętanych przez dyabła, czego dowodem była ślepotą, głuchota, zgrzytanie zębami, niemota, nadmierne wyrzucanie plwociny, krzykactwo, lunatyctwo, rozbieranie się do naga, ciskanie kamieniami w Chrześcian, skoki obłąkańcze w ogień lub w wodę, uciekanie ze społeczności ludzkiej w pola i w lasy, unikanie rozmów, przemawianie językiem narodów ościennych, wypowiedanie zdań mądrych przez głupców, wyjawianie rzeczy tajemniczych, lub pod sekretem komu innemu zwierzonych, — na wielu już opętanych tego rodzaju brat Iwo wywierał swą siłę egzorcyzmu.

Do walki sam na sam z piekielną bestyę posiadał oręż skuteczny, zwierzony mu i zlecony przez władzę wyższą, pewne relikwiarzyki, noszone w ciągu całego żywota, pewne święte przedmioty zaszyte w rękawach, szkaplerzu, fałdach sukni, pewne koła i znaki tajemne. Siła jego zaklęć, moc kropidła i święconej kredy była niemniej potężna, jak uderzenie kopij i mieczów, młotów i strzał polskich rycerzy.

Brat Iwo pamiętał jeszcze dobrze świetne czasy Zakonu. Dzieckiem był, gdy ta niezmożona potęga pchnięta została w serce pod Grunwaldem i zdruzgotana mocą piorunową, wypadającą ze szponów orła polskiego. To dzieło przywiązało go do Polski na głucho. Oczy jego dzień dnia patrzyły na cichy strumień Raduni, a stopy jego postokroć brodziły w krwawej wodzie. Nosił nie tylko w pamięci, lecz w kościach i w żyłach nigdy niezgojoną, niezaleczoną, miejską,

w zaułkach, sieniach i po piwnicach szeptaną legendę o zamordowaniu przez komtura Henryka von Plauen burmistrza Konrada Retzkau i Arnolda Hechta na gdańskiem zamczysku, o wzgardliwym wyrzuceniu ich trupów poprzód oczy męźnej niewiasty za okopem zamkowym, — o zrabowaniu majątku ich dzieci za to, że do Stanów skargę zaniósł. Za czasów brata Iwona dokonały się i żyły w szepcie ludzkim straszliwe tajemnice więzień i lochów zakonnych. Głuchą legendą, gadką posępną, postrach i zemstę rodzącą stała się wieść o ścięciu przez elbląskiego komtura dwu szlachty bez sądu, o ścięciu bez procesu szlachcica przez komtura Tucholi, o zamorzeniu głodem innego w świeckiem więzieniu, o potajemnem ścięciu mieczem szlachcica pruskiego przez podskarbiego w Malborgu, o zamordowaniu skrytobójczem kapłana za to, że kogoś z dostojnych pozwał do Rzymu, o utopieniu w nocy chorążego, gdy domagał się żołdu, o utopieniu przez Goswina von Aschenberg jadących do Rzymu szesnastu księży ze skargą na Zakon, o zamordowaniu przez toruńskiego komtura obywatela, by żyć w cudzołóstwie z jego żoną. W oczach brata Iwona rozwinęło się i stało aktem codziennym wiarołomstwo, zdrada, nałożnictwo i cudzołóstwo, jakich dopuszczali się Krzyżacy bezkarnie. Patrzył za dni swoich, jak żony i córki obywateli, służące i pracownice narażone były na uwiedzenie i krzywdę. Patrzył, jak ci władcy kraju pod przymusem skupują na jesieni za tanie pieniądze zboże od chłopów, a przed wiosną sprzedają je tymże kmiściom lub za granicę według ceny ogromnej. Patrzył, jak rujną swych poddanych nadmiarem robocizny

w lasach, zabronieniem wymiału zboża, gdzie się taniej trafi, i sprzedawania mąki. Patrzył i słuchał, jak w nicość zamienili wszelką sprawiedliwość, gdyż jeśli kto poważy się zanieść skargę do Wielkiego Mistrza na urzędnika Zakonu, to Mistrz natychmiast wymierza skarżącemu się karę pieniężną, karę więzienia lub wygnania z kraju. Patrzył na konfiskaty majątku bezdziejnych, nakładanie podatków wbrew własnym ich, chełmińskim prawom i na szerszenie bezprawia bez końca i miary.

To też brat Iwo myślą, namową, czynem i całą duszą popierał związek miast ze szlachtą. Z radością zawsze dowiadywał się o rozterkach panujących w łonie Zakonu. Śledził pilnie skutki i objawy działania związku dawnego, który za godło miał »Jaszczurkę«, ongi w okolicach Radzyna przez czterech możnych założonego rycerzy, przez Mikołaja i Jana braci z Ryńska, oraz Fryderyka i Mikołaja z Kitnowa — w imieniu wszystkich rycerzy i giermków chełmińskiej krainy. Patrzył z radością, jak ów związek tajnie rozszerzał swe wpływy, rósł na siłach w powiatach radzyńskim, chełmińskim, toruńskim, — wchłaniał w siebie ziemie inne i żywioł nienawiścią do Zakonu przejęty, — aż po latach kilkudziesięciu, jako Związek Pruski wyniknął. Nadeszła wreszcie chwila, gdy wszystko, cokolwiek się w tych ziemiach dokonywało jawnie czy skrycie, działało się wbrew Krzyżakom, z rozkazu »Ziemi, miast i powszechnej woli«.

Brat Iwo rozważał te dzieje w celi swej gdańskiej i czasu nieustannych po świecie wędrówek. Oto Zakon, — rozmyślał, — szeregiem szalbiertw tajemnych,

mądrych podstępów i matactw niedościgłych posiadał ziemię chełmińską i michałowską, oderwał Pomorze, zbrojnie zajął ziemię dobrzyńską, wreszcie usiłował przywłaszczyć sobie Kujawy. Do ziemi Prusaków, których mieczem i ogniem wytępił i straszliwymi sposobami do nogi wygubił, z głębi Szwabii, Saxonii i Branderburgji sprowadził ludzi niemieckich. Tu ich ziemią obdarzył, dobytkiem zaopatrzył i w miastach rozplenił. Wszystko zaś z szatańską premedytacją tak zamyslił i wykonał, ażeby w tych stronach na wieki wieków władza polska, mowa, obyczaj i sama pamięć wytracona została. Aliści, — o, przedziwny widoku! — cisami ludzie niemieccy, przeciwko temuż Zakonowi Panny Maryi w związek się nieubłagany związali i w spisek zaklęty sprzysięgli. Ten to związek, zbuntowawszy się jawnie przeciw władzy toruńskiego komtura, zaczął niemieckimi rękoma łamać mury i palić domy pod zamkiem. Gdy zaś Toruń został opanowany przez lud pruski i gdy stał się związku pruskiego stolicą, za jego przykładem inne poszły zamki i miasta: Brodnica, Świecie, Gniew, Grudziądz. Wtedy wielki Gdańsk, jako lew się podźwignął. Lwiemi zaiste łapami zburzył, zdruzgotał, rozniósł w drzazgi i w pył rozdeptał zamek krzyżacki, siedlisko zbrodni, gniazdo tyranii, zdrady i kłamstwa. Zdeptał miejsce, gdzie stała ta twierdza bezprawia. W ciągu jednego miesiąca pruscy powstańcy opanowali pięćdziesiąt miast i zamków: Gdańsk, Elbląg, Grudziądz, Gołub, Kowalewo, Gniew, Świecie, Papów, Tucholę, Holand, Królewiec, Radzyn, Nidborg, Brodnicę, Chełmno, Działdów, Ragnetę, Ostrudę i inne. Sam Wielki Mistrz oblężony został

przez gdańszczan w stolicy swojej, w Malborgu. Brat Iwo najpiękniejszą miał w życiu godzinę, gdy pod wodzą senatora Ewalda Wrige, gdańszczanie pospół ze szlachtą pomorską zatoczyli obóz warowny na lewym brzegu Nogatu, naprzeciwko tej radnej sali, w której ścianie tkwi kula armatnia Jagiełły. Gdy ta potężna, zwycięska, wspaniała i przezacna rewolucya całego pruskiego ludu w pełni wybuchła, wielki mistrz z całej swojej potęgi miał pod sobą jedynie Sztum i Malborg. Ale i tam właśnie, w wieżach, lochach, salach i sekretnych przejściach Malborga, na murach i blankach Sztumu dosięgło go i poraziło na głowę nie co innego, tylko to właśnie, czem przez całe swoje istnienie Zakon wojował i zwyciężał, czyli zdrada. Oto jego najemniki wojenne, czeskie kondotyery, sprzedały Sztum i Malborg. Brat Iwo gorzał z radości, gdy cały pruski świat, jak długi i szeroki, zwrócił się w walce swej, w trosce głuchej, — iż przez wszystkie Niemcy zostanie teraz zmiążdżony, — w tę stronę, gdzie wolność jaśniała, gdzie od dawien dawna stańło prawo, iż nikt szlachetny nie będzie więziony bezprawnie, że nikomu dobra odjęte nie będą. To też żarliwy zakonnik powtarzał wraz z całą ludnością ziem nadmorskich, jakoby litanie powszechną, słowa wysłańców Stanów Pruskich, Jana i Gabryeala Bazenów i Augusta ze Szczabdy, gdy zalani łzami, na twarz upadłszy, któła polskiego błagali:

»Gdy ziemie Pomorska, Chełmińska i Michałowska gwałtownym najazdem od ciała Królestwa są odierwane, przybyliśmy do Ciebie, Królu i Panie najmiłościwszy, z prośbą, abyś nas za wierne Państwa Twojego

sługi, poddanych i podległych przyjął, — nie raczył wzgardzić nami, niegdyś od wspólnej ojczyzny oderwani, a dziś do niej wracającymi. Przybywamy oddać się w Twoją opiekę, uznać Twoją władzę nad naszym krajem, Tobie miasta, ziemie, grody, Tobie zamki obronne i warownie poruczyć».

Skoro zaś przezorny władca polski wyciągnął ponad te ziemie swą rękę, niosącą skasowanie bezprawia, ucisku, niesprawiedliwych podatków, a podającą ziemiom i grodom swobody, — brat Iwo szedł z wojskami polskimi i niósł im swą pomoc duchową. Brał udział w klęsce chojnickiej, w oblężeniach łaszyńskich, w przeprawach i pochodach.

Z oczyma zamglonemi i spoglądającemi ponad głowy ludzkie, w odległość, ów mnich czarnobiały biegł, mamrocząc do siebie i podśpiewując sobie samemu słowa egzaltacyi i egzorcyzmów, zaklęć i błogosławieństw. Mało kto wiedział, co on tam gwarzy i radośnie przyśpiewuje, śmiejąc się wciąż i cości pokazując na migi. Ale przecie raźniej było rycerzom, gdy niewzruszony w swej wierze pomorzak o bursztynowej czaszce wyrywał w bitwie obok hufca, albo, dopadłszy luźnej kulbaki, cwałował sprawniej od niejednego rajtara.

Teraz, w świecińskiej nizinie, brat Iwo nie spał tej nocy. Jak upiór, czy jak mgła ponadwodna snuł się wśród śpiących drabantów i drzemiących na siodle pancernych, wśród koni, co chrupały otawę ostatniego pokosu, i przy wodza siedzisku. Wsuwał się niepostrzeżenie w sam środek przodującej czaty, wychodził na czoło obozu, stawał na nasypie okopu

i z cicha, a z samej głębi duszy rzucał w obóz krzyżacki zaklęcie:

Ego minister et servus Dei et Domini nostri Jesu Christi, autoritate qua fungor, exorciso vos patres mendacii per Patrem ingenitum, mando vobis filii perditionis per Filium bis incarrabiliter genitum et constringo vos spiritus maledicti per spiritum sanctum non genitum...

Tak pracował duchem, aż do poranka. A gdy pierwszy, jesienny brzask uwydatnił żółtawe kity trzcin na mokradłach przymorskich, smugi białych pieczarek wzdłuż pastwisk i ciemne lasy na wałach piaszczystych, brat Iwo, wciąż twarzą zwrócony do krzyżackiego obozowiska, modlił się głośno, żarliwie.

Skoro świt, ruszył się nieprzyjaciel z legowiska. Wyszedł całą potęgą z obwarowanego obozu na równinę, pragnąc długim i szerokim zastępem okrążyć Polaków, a potem wepchnąć ich w bagno i w morze. Na rozkazanie hetmańskie Paweł Jasiński wywiódł cichcem hufiec swych kawalerów poza rów obozowy. Ustawił ich z prawej strony na twardej ziemi, ponad błotem. Rycerze wodze skrócili, niezwalczonem ramieniem ujęli łamne drzewa pod ramię i kolce nastawili przeciw bokom biegunów. Wódz pokazał im drogę, półkolem od polskiego obozu do krzyżackiego biegnącą. Na znak dany uderzyli. Szybko, jak błyskawica, wypadli za obóz i gnali po łuku obwodzie twardą ziemią pagórka. Ziemia tęgo jęknęła od przecwału bachmatów. Zaświślały w powietrzu barwnych proporców przeguby. Nim się kopijników krzyżackich szeregi opatrzyć zdołały i nastawić, — uderzyli, jak pocisk potęgi. Długie kopie roztrąciły piechurów, wielkie konie, kirysem okute,

zwały na ziemię, co stało na nogach. Z boku, od strony niespodziewanej wymierzywszy swą napaść, rota jazdy wyrwę stworzyła w krzyżackim obozie. Jako ów po wsze czasy sławy godny Arnold Winkelried w bitwie pod Sempach,— polski jeździec wziął na się wszystkie uderzenia kopiją, strzały łuków, pociski armaty, cięcia mieczem i zdzielenia obuchem topora. Lecz już raz potrącona piersią końską piechota zakonna, stratowana kopytem, albo pchnięta świstem mieczów w obręby paniki, nie zdołała utrzymać, ni odnowić mocnej linii w podstawie. W tę to wyrwę skoczyła, od czoła, wprost z pastwiska uderzywszy, Duninowa piechota. Zaczepił się zastęp o zastęp. Żołnierz zwarł się z żołnierzem. Miecz rypał w tarczę. Młot z góry wbijał szyszak w ramiona, aż mózg przez widziory wytryskał. Polscy i niemieccy mężowie gromili się wzajem mieczami z ramienia, o śmierć walcząc lub życie. Nie ostał się gruby napierśnik przed ostrzem spadającego topora. Zaciekły sztylet zdradzieckiem popchnięciem przerzynał gardło lub kiszki. Szereg uderzał na szereg, rota przypadła na rotę, w furii miotając przekleństwa. Bitwa się rozpętała uparta, zaciekła, niezłomna. Dwa wojska mordowały się wzajem, wciąż stojąc w miejscu temsamem. Aż nie mogąc się zgoła pokonać i przemóc, ustały w napaści. Cofnęły się do swych obozów, w rowach i pod zasłoną palisad szukając chwili wytchnienia. Wnet jednak, gdy siła w omdlałe ramiona wróciła, porwały się do boju nanowo. Teraz wódz najemniczy, posługujący krzyżakom, Frycz Rawenck, stanął mężnie w szeregach. Zagrzał swoich do męstwa. Dał rozkaz. Patrzyli weń żołnierze. Ruszył do boju na koniach

wspaniałych, w zbroje niezrównane zakuty, powiewający piórami, oddział rycerzy krzyżackich. W wojnach litewskich i polskich wstawieni, w ogniu walk i wielkich pochodów zaczerpnąwszy wojennej nauki, bracia zakonni chcieli dzieła dokonać. Otoczyli wodza Frycza kołem żelaznem i na miecze obnażone przysięgli, iż z placu tego boju nie ujdą. Zwarli się sam na sam z jazdą polską, która teraz, powtóre z obozu wypadła. Znowu piechur uderzył w piechura i jeździec dopadał przeciwnika w pażycy. Jęczały i rżały bachmaty, po brzuch zapadając w mokradło. Walił się rajtar, jak kłoda ścinany przemyślnym koncerza wybiegiem. Bitwa się znowu rozpętała powszechna. Lecz oto drzewcem raniony przez polskiego rycerza, Fritz von Ravebeck runął z siodła na ziemię. Zachwiała się od tego widoku krzyżacka kolumna. Okrzyk zuchwały wydali Polacy. Natarli ze wszystkiej swej mocy. Nie schodząc z placu boju, gdyż niemal potrójna przewaga podporę jej i siłę dawała, broniła się piechota pod Nostitzem. Lecz już w niej nie było potęgi zaczepnej. Zepchnąwszy z czołowego przedboju zakonnych rycerzy i w błoto ich weгнаwszy głębokie, konnica Polaków nowem się poniosła natarciem. Sformowana przez Dunina piechota uderzyła z dwu skrzydeł, od jeziorzysk i lasów. Wdzierała się w wyłamane otwory. Zdwojonym i zgęszczonym szeregiem, wciąż wzmacnianym przez wodza, popychała przed sobą najemnych. Aż wojsko Nostitzowe zmieszało się w swem sercu, leniwiej odbijało uderzenie, unikało napaści i cofać się zaczęło. Podźwignął się z ziemi Fritz von Ravebeck, zatrzymał wokół siebie piechotę i jazdę, jął zagrzewać

do walki. Jeszcze raz zastawił się obronnie. Usiłował uderzyć. Obskoczony przez polskich żołnierzy, zarąbany straszliwymi ciosami, broniąc się do ostatka Fritz mężnie dał gardło.

Wówczas najemnicza piechota, nie mogąc strzymać uderzeń, ani szukać ratunku w ucieczce, cofała się z resztą jeźdźców poza okop i za częstokoły. Tu wśród wozów zczepionych, zza palisad broniła się jeszcze. Wówczas na rozkaz polskiego hetmana natarczywie uderzono w obozy. Padały konie, rażone spod kolas, i w ciasnocie przesmyków przygniatały rycerzy. Jeźdźcy strąceni na ziemię, wyrwali stopy ze strzemion i stawali w szeregu ciągnącej piechoty. Obalano na ziemię koły w żelazo okute i wdzierano się w obóz. Tam jeszcze bitwa zawrzała, gdy wóz zdobywano po wozie. Biegając uliczkami wśród kolas, wypędzano piechotę krzyżacką nazewnątrz, wtrącano ją w fale Świecińskiego jeziora, w błota grząskie. w topiele bajora.

Rycerze zakonni, postrzegłszy, iż wódz ich nie żyje, a obóz jest w ręku Polaków, nie chcąc słowa danego odmienić, iż z placu boju nie ujdą, woleli rzucić miecz pod nogi zwycięsców, niż się ucieczką ratować. W niewolę zostali zabrani.

Gdy noc nadchodziła, pole bitwy było w ręku Polaków. Cała prawie jazda Zakonu trupem poległa w świecińskiej nizinie. Jeden oddział wpadł w ucieczce do lasu, lecz zabrnawszy we własne pułapki, zasieki, wilcze doły, zaręby nie mógł się z matni wydostać i wpadł w ręce zwycięsców.

Dwa tysiące poległych trzeba było w ziemię za-

kopać. Na polach Domatowa i Polchowa usypano wysokie mogiły.

Sześciuset poszło w niewolę, wzięto dział piętnaście, dwieście wozów, dobrem naładowanych wszelakiem.

Rozbiegli się Kaszubi, pod przymusem do tej walki pędzeni. Od checzy do checzy, od dworu do dworu, od zamku do zamku szli borami, drożynami, ścieżkami, radosną wieść roznosząc, iż porażony jest Zakon.

Dopał konia brat Iwo i pogał, co koń skoczy, ku Wiśle. Zwiastował radosną nowinę przysiołkom, gburskim strzechom i dworom.

Mijając lasy, doliny i pola, ciszą jesieni zasłane, ze łzami uniesienia szczęśliwy pomorzanin śpiewał pean radosny pustkowiom:

*»Vexilia Regis prodeunt,
Fulget Crucis mysterium,
Quo carne carnis Conditor
Suspensus est patibulo,
Quo vulneratus insuper
Mucrone diro lanceat,
Ut uos lavaret crimine
Manavit unda sanguine...«*

Żegnał się znakiem wyzwolin naród kaszubski i z czoła znój niewoli ocierał. Zawrzał od radości głębokiej Gdańsk wyswobodzony z ucisku. Rozwarł na ścieżaj swe bramy wysokie na powitanie króla polskiego, króla wolnych ludów polskiej korony.

Jan z Kolna, żeglarz wsławiony na morzach północy, budował u wybrzeża Leniwki swój wielki korab wyprawny. Wrócił był z podróży dalekich z trzosem złotem nabitym, zarobionem w służbach skandynawskich i duńskich, a wypłaconem mu w tamtych krajach przez ludzi władzę dzierżących. Teraz tu, w stronie ojczystej postanowił własne swe sudno zbudować. Nigdzie bowiem na ziemi mu znanej nie miał w takiej ilości i w takim doborze sztamowego drzewa, nigdzie masztów tak jednolitych, na całym świecie polskimi przewanych, nigdzie robotnika tak przedniego w dziele okrętowym, jak w Gdańsku. Kupił tedy i płotem wysokim ogrodził miejsce pracy w zatoce Leniwki, między siedmią sosen a Pastwą Bąsacką, wzniósł wysokie osłony i wielkie na palach pod dachem szopy stoczni i ku ochronie materyałów, a sam stanął do pracy na czele swych robotników.

Był to człowiek wzrostu wielkiego, w barach szeroki, twardy w karku, o grubym brzuchu, a kolanach i stopach potężnych. Latem i zimą w koszuli na piersiach rozpiętej, z gołą głową, którą włos długi, gęsty i bujny porastał, w skórzniach po same pachwiny i lekkim na ramionach kaftanie, lubował się w desz-

czach i mrozie, a oddychał wielkimi płucami naprawdę szeroko dopiero wśród wichrów północy.

Już był dwukrotnie opłynął Islandyę z formy swego łądu do tułowia łabędzia podobną, z dziobem na zachód północny zwróconym. Już z zasłon mleczno-białych, ze mgły nieskalanej, wyłaniał się przed jego źrenicą ów przesmyk szalony, droga burzy, wiatrowsko, miotające korabiem, jak drzazgą bezsilną. Wały morskie, podźwignięte przez burze, wznosiły się tam na wysokość kilkunastułokciową. Korab wyniesiony na ich grzebię, wolno zstępował w doliny, wśród gór wodnych rozpostarte, na milę morską szerokie. Ginęła już była przed jego źrenicą we mgłach wschodu błyszcząca kopuła Lang Jökuli, a na pograniczach Polarnego i Atlantyckiego oceanu łąd Grenlandyi się wychylał. Jan z Kolna widział już był oczyma owe linie brzegów proste a przecie poszarpane w wyrwy nieskończone przez najdziksze wody. Wkraczał już, stojąc obok rejowego żagla na dziobie okrętu, w ciche, nieme, głucho, fijołkowemi cieniami wieczności przykryte ostoje, których jeszcze nigdy nie widziała źrenica człowieka. Tam z olbrzymich gór skalistych, z dolin pustynnych, skorupą lodu okutych, pędziły ku morzu rzeki tajemne w łożyskach lodowych, tu i owdzie dymiąc się parą gorącą ukrytych gejzerów. Zmarznęte masy śniegowe, odpadłe z wyżyn ku wodom, dochodziły do urwisk nadbrzeżnych i tu od nadmiaru swej wagi potwornej toczyły się wielkimi bryłami, sunęły w ciche przystanie, kąpały w błękitach odmętu i wąskimi przesmyki wychodziły w ocean. Niosły się w wiatrach północy, błyszcząc i świecąc daleko, —

nawy wspaniałe, wiozące w wody południa wieść groźną o tajemnicach północy. Wielkie góry grenlandzkie stały tam w swych szatach, urzekających spojrzenie, olśniewające samotną swą grozą.

Jan z Kolna opłynął już był południowe cypłe tego ładu i chodził w zachodnie, cieplejsze jego strony, które jednak były tak bardzo zimne, jak północne kresy Islandyi. Rozumiał się już na wichrach tamecznych. Poznał wicher północny, mgłę lub pogodę niosący, wschodni ciepły i duszny, który lody południowej Grenlandyi roztopia i czyste rozpościera powietrze nad skałami południowych przylądków. Zżył się już był z tameczną głuchą nocą, trwającą w ciągu wszystkich dni grudnia, aczkolwiek wydzieriała z człowieka wolę, pamięć i radość istnienia. Zżył się już z tamtym dniem szarym, trwającym dziewięć miesięcy, aczkolwiek budził w sercu obłąkańczą tęsknotę za czemś niewiadomem, niepojętem, straconem. Zorza północna, łuk purpurowy, ozdobiony promieniami i snopami barw wielorakich, zielonych i żółtych, złotych i pomarańczowych, — igrająca wieczyscie z groźnymi wodami pustyni i zabarwiająca blaskiem niewidzialnym szczyty gór tajemniczych, budziła w jego duszy pasyę najgłówniejszą, brzmiała w nim, jak muzyka wiecznie nowa a zawsze nieznaną, tworzyła wciąż odnawiające się samo przez się ukochanie niebezpieczeństw. Ocean, który wali w ciągu lat tysięcy w granitowe ściany, a wykutemi korytarzami, wśród patrzających nań w milczeniu gór prostopadłych, wchodzi w ciche zatoki fiordów, spieniony na strąconych z wyżyny rafach podwodnych, stał zawsze w jego marzeniu. Śniły mu się

płaskowzgórza, pokryte lawą i śniegiem, — Hekla okuta w pancerz z lodu, Sneefel, rozdzierający ciemności, — słupy gorących gejzerów i król północnego oceanu, wieloryb, gejzery na wzór lądów tamecznych, wyrzucający ze siebie. Śnił mu się biały niedźwiedź, obojętny na widok dwunogiego przychodnia, zstępujący, jak lawina śniegowa z urwisk i krzesaniec, z wybrzeży czerwonych od algi na lodozwały pływające, ażeby ścigać foki i żeglować w samotności na zamkach ruchomych z przeźroczyściego kryształu.

Przypominała się pamięci wierzba tameczna, pełzająca po ziemi, — brzoza, której pień kręty chowa się w mech, niczem w futro, przed mrozem i wichrem, a gałęzie wałęsają się w zimnem powietrzu, jak macki, szukające odrobiny światła i ciepła. Podczas myśliwskiej włóczęgi wśród karłowatych, brunatnych jałowców, w polach mchów i porostów, — ażeby raczej podpatrywać i podziwiać, niż ścigać i zabijać, — zapoznał się był z życiem polarnego lisa, który się karmi resztą uczt białego niedźwiedzia, — z przygodami bielaka zająca, — z żywotem renifera i wołu piżmowca. W zatokach martwego lądu trawił godziny na wypatrywaniu obyczajów muzycznego łabędzia, o białem upierzeniu i wyciągniętej szyi, erdredonów i pingwinów, gęsi i mew, pardwy, kruka i małej wodnej kurki.

Silny ten człowiek tęsknił do chwili, kiedy z wysokiego pomostu mierzyć będzie swoją własną potęgą, potęgę pokonanych wichrów, zawrotnych rozkołysań i wirów oceanu, — gdy przetrzymywać będzie mróz straszliwy i zwycięzać burze śniegowe, trwające w ciągu tygodni, a żyć w wicherach dziko ryczących, wśród,

huku, roztrącającego się groźnie między lodów zwalami. Jak innych południowe słońce, tak jego noc polarna nęciła. Zawsze za swego żywota w podróż polarną ulatywał. Gdy kielpie z mórz Islandji i skandynawskich fjordów, ciągnąc ku wybrzeżom Italii i Grecyi, obok wzgórzystych kęp mierzei przypadały dla wypoczynku, ścigał je płomiennemi oczyma, albowiem wieść mu niosły z owych krajów białych, których kolor unosiły na swych skrzydłach i szyjach. Gdy zaś z krzykiem, swem stadem olbrzymiem wzbijały się w niebo, leciał z nimi oczyma i duszą.

Teraz, gdy swe dzieło wymarzone budować rozpoczął, gdy już zbijał siekierą swój okręt arktyczny, podśpiew radosny, mimo wszelkich przeciwieństw, nie schodził z jego warg czerwonych. Oczy zawleczone dumaniem patrzyły wciąż uparcie w świat olbrzymi, dla nikogo niedostępny. Oczy jego widziały na jawie fontanny, wyrzucane wysoko przez wieloryba, w zabawach i płasach nurzającego się w wodach, nieprzemierzonych nie tylko dla żagla i wiosła, lecz niezdobytych dla myśli i woli człowieka. Oczyma duszy stęsknionej widział swe lśniące od białości lądy, gdzie stawał się rozkazodawcą jedynym, odkrywcą własnych swych bogactw bez końca i miary, przywłaszczycielem nieobeszłych obszarów. Tam to przebywał zatoki zachodniego Grenlandyi wybrzeża, gdzie cisza stoi wieczna, przerywana niekiedy przez trzask zlatujących lodowców przez zajadłe szczekanie czteropłetwej fokii, wylegającej się na bryłach i taflach płynących, — przez ryk niedźwiedzia, polującego na fokii, przez śmieszny pogwar pingwinów, wydziobujących małże i ryby. Niena-

sycona ciekawość, nieugaszona żądza, — ogień, palący podeszwy na ziemiach zaludnionych i zamieszkałych przez plemię człowiecze, — paliła go, narzucając pytanie, co jest dalej, co jest tam jeszcze, co się tam kryje po za wielkim lądem, który już zobaczył. Wyspy poznane były dlań, jako sprzęty znajome, leżące w ciemności mrocznej izby dzieciństwa, posępne i groźne. Obchodził je omackiem, w ciemności, znane już kanty wyczuwając rękoma. Lecz co jest tam w trzeciej izbie, w lochu ciemnym, tajemnicą zionącym? Ludzie tameczni, w futra zwierząt zaszyci, gdy siedział u ich ogniska, w straszliwym zaduchu, za szybami z rozciągniętych kiszek foki i gdy pobratersku tran z nimi popijał, dawali mu zagmatwane wskazówki, śpiewali tajemnicze legendy, wypowiadali klechdy symboliczne, niezrozumiałe dla tłumacza, o czemś przedziwnem w zachodniej i południowej stronie. Dreszcz go, jak piorun, od stóp do głów przebiegał na myśl, co oni wiedzą, o czem napomykają, co wróżą.

Byłaż na owem południu ziemia ciepła? Istniałże tam ląd inny za wielobarwnem morzem, mieniącym się od zorzy? Jakiż był ów ląd, jeśli istniał? Kto go posiadał? Jakie zwierze przebiegało wskroś tego kraju ciepłego? Co tam było?

Nie mógł zaspokoić swej pasyi, nie mógł dalej popłynąć, gdyż właściciele okrętu kazali mu powracać. Powrócił. Ale odtąd nie znosił izb ogrzanych, dymu chat, gwaru miast, zaduchu ludzi, co sobie na małej przestrzeni dziedziny obtłukują boki, wrywają jadło, odzież, schronisko, dorobek i władzę. Sam był wciąż

tam, jedynek europejskiego lądu, w krainach bezludnych, lub w przystaniach zaludnionych przez ufne potwory i wielkie ptaki, pod niebem czarodziejsko grającem światłami, w półmrokach polarnego dnia bez końca i nocy bez końca.

Podczas długiej budowy statku morskiego, gdy się do cna spracował, gdy mu ręce i nogi od trudu ustały, wychodził na wzgórze wiślanej mierzei, mijał sosny nadbrzeżne i z góry piaszczystej patrzył w północ daleką. Pozdrowiał oczyma ruchliwą, żółtą falę wiślaną, co się z lądu w morza waliła szerokim ujściu korytem i długo szła w wodach niebieskich, jako prąd żółty i rudy.

Wiśła szła tam daleko, dokąd szły jego myśli sekretne. Kochał tę rzekę wieczystą, obraz pędu bez początku i końca, biegu na północ i niestrzymanej wędrówki daleko. Ona go pierwsza z izby ojców pod Toruniem wywiodła, młodzieńcze jego marzenia na swe fale zabrała, ona go w morza poniosła. Miał ją i czuł ją w sobie, — matkę drugą pod czótnem, piastunkę pod paczyną ojcową, — prąd siły wiekuistej i wiekuistego dążenia naprzód — naprzód! Istniała w nim ta rzeka, obraz czasu, który również tylko w ruchu istnieje. Nie mógł w sobie powstrzymać żądy ruchu, podobnie jak go w sobie nie mogła zniweczyć ta rudy wód masa. Dla niego i dla niej czasby się był musiał zatrzymać i ustać. Wieczne — dalej! — złączyło go z niepowstrzymanymi falami, z krętymi popławy, tej ukochanej siostrzycy, wywalającej się w morze. Gdy na nią patrzył z daleka, północny wiatr wiał ostro w jego włosy wzburzone. Objejmował uściskiem

żelaznym jego potężne ramiona. Zimnym podmuchem próbował jego serca męznego, co jako dzwon spiżowy biło w żebra mocarne. Chwytał w uścisk lodowy jego ręce ogromne i grube, jakby go chciał wyciągnąć w krańce globu ziemskiego. Wicher morza w cieśnie żył się przeciskał i ogień krwi w płomień żartki rozdymał. Wielkie nogi mięsiły ponownie wiślaną mierzę. Ręce znowu imaly stylisko topora. Zawijał rękawy koszuli i na czele swych cieśłów, stolarzy, kowali, uszczelniaczów, traczów, mosiężników, szklarzów i powroźników pracował od świtu do nocy.

Pasya do podróży i odkryć już go była wielokrotnie popchnęła do sprzedaży swej wiedzy żeglarskiej i siły fizycznej obcym potencjom: — skandynawom i danom. Chodził w cudzem chomacie i obce sprawy popierał. Pod cudzoziemską banderą nieznanych lądów dosięgnął w ciemnicy północnej. Wiedział dobrze, wyuczył się pilnie w tych drogach, jaki statek mieć trzeba, doświadczeniem tysiącnym zrozumiał wady i zalety okrętu, znał się na wartości spojenia każdej deski z kądłubem, na grze żagli, mocy putek, okuwających stopy masztrów i boki pokładu, na taklu i rudle. W burzach strasznych i przeraźliwych poświstach wichury pobratał swą siłę z pomocną potęgą każdego kawałka dębiny, każdego zwoju wielkiego kordela, liny do rozciągania i zwijania podalów żaglowych, z każdym ząbieniem drzewa w drzewo, moc oporu wytrwania rodzącem, i z wiernością żelaza wtłoczonego w miąższ drzewa. Piersi jego stękały wśród borealnej zawiei, a żebra sciskało od rzutów w przepaście odmętu i w niebo, jak stękają wręgi i bale, ster i maszty, reje

i camra obicia. Poznał się z kadłubem i powierzchnią okrętu, z jego życiem i siłą wewnętrzną — któż wie? — może lepiej, niż z duszą swą własną.

Teraz chciał zbudować galeonę według własnej swej myśli, według poznania jej zadań, doskonałą, przydatną do zwyciężenia północy. Chciał ją wyposażyć we wszystko, dać jej własny swój rozum, moc, wytrzymałość, niezłomność, niezniszczalność, potęgę. Dał jej w marzeniach swych kształt łabędzia. Do tego zwiastuna północy na wodach południa rysunek swego statku uczynił podobnym.

Słały się u wybrzeża Leniwki wielkie drzewa wszelakiego rodzaju, plenicami związane, moszcząc rzekę swoją wielką ruchomą podłogą. Polskie flisy przywiozły je tutaj ze wszystkich okolic niezmiernego Powiśla: Dunajcem z tatrzańskiej pustyni, Sanem z wyżyn karpackich, Bugiem z podolskiej równiny, Narwią z borów podlaskich. Leżały tu śniatek dębów, twardych, jak żelazo, z niepołomskiej wyłamane puszczy, gibkie płazy tatrzańskogo smereka, tramy buków i jodeł z Łysogór, strzały niedościgłej wyżyny modrzewia z Białowieży, maszty sosny olbrzymiej z tucholskiego boru, wieloletnie cisy, jawory i jesiony oliwskie.

Wszystkie spłynęły do stóp Jana z Kolna, by miał z czego wielki swój korab wyciosać.

Z tej to nieprzebranej obfitości przedniego budulca wybrał, wysuszył podpalaniem, obrobił toporem przy pomocy majstrów w swoim rzemiośle, naprzód stępę dębową, bal olbrzymi, kloc celny, który miał leżeć w spodzie galeony. Na przedzie pień ów dębowy ku górze się zginał, a przemyślnemi wręby i wieńco-

waniem niezłomnem spajał się z przednią sztabą, na moc w stępę wprawioną. Górny kraniec tej szyi łabędziej, sztaby przedniej, był podstawą rufy okrętu. Do drugiego końca stępy przytwierdzona została na głucho, podobnie jak przednia, potężna sztaba zadnia. Na niej rudło, zawieszono być miało.

Gdy po tygodniach roboty sztaba przednia i zadnia windami podniesione zostały i ze stępą na głucho spojone, zabrano się do wręgów. Jan z Kolna wyszukał wśród orylskich pomostów krzywulce dębowe, o kształcie zgiętego kolana, pnie z korzeniem, lub z gałęzią wypukłą, dwukonarza potężne, w łuk wyrosłe pod kątem rozwartym, Ociosawszy jednakże czterysta jednostek wręgowych wprawiał jedną po drugiej w boki stępy na wzór żeber człowieczych. Wypełniwszy do końca tę trudną robotę, — czyli wramię, — która półrocze okrągłe zajęła, budownicy okrętu nasadzili na górne czopy wręgów mocne bale dębowe, iż żebra jakoby kleszczami ściśnięte zostały.

Tak szkielet »Łabędzia« wyrastał.

Na belki, w których czopy wręgów siedziały, włożono bale poprzeczne górnego pokładu. Drugi pokład, niższy, przypadł w połowie wysokości drzew wręgowych, w miejscu najdalszego ich wygięcia. Wówczas sformowany już statek podparto z obu boków mocnymi sztucami w liczbie dwustu, iżby cała budowa w robocie nie drgnęła. Dębowy ów kościec »Łabędzia« poczęto obijać na zewnątrz i wewnątrz sosnowymi deskami, fugując je i zbijając najściślej, na sposób portugalskich karawel, iż kant heblowanej tarcicy z kaniem tego się spajał. Szczeliny i szpary dychtowano

starannie od zewnątrz i wewnątrz, zapychając pakułą konopną, a z wierzchu zalewając do znaku łożem, smołą i pachem.

Gdy kadłub po roku roboty mógłby być już sta-
nąć na wodzie, wygotowano mu rudło okute, które
na haków dziesiątku zawieszono być miało. Na sztabę
przednią nasadzono głowę i dziób łabędzia, ozdobę
i nazwę galeony. Wyrobiono stolarską robotą lukę,
wieko do luki i schody, prowadzące do wnętrza okrętu,
Wprawiono pompy z rynnami, z rurami do wyrzucania
wody z głębi na zewnątrz. Wykończono kapitańską
komorę, czyli kehite, o czterech oknach i drzwiach
dobrze zamczystych.

Kowale wykuwali cztery kotwie z potężnymi łań-
cuchy. Na dno okrętu wprowadzono balast w kłodach
z kamieni i piachu. Wówczas wreszcie miały być
spuszczone w swe otwory i oprawione w stępę trzy
maszty z jednolitych odziemków modrzewia, szlichto-
wane, polerowane i farbowane starannie. Na każdym
z odziemków masztowych zawisły po dwa marsy że-
glarskie, czyli gniazda bocianie. Zaczęto upinać na
rejach sieci lin, putkami ujętych i szeroki takiel za-
głowy gotować.

Właśnie wtedy, gdy wszystko już prawie było
przygotowane do spuszczenia okrętu na saniach w toń
rzeki, aby tam już, na wodzie ładować na pokład
działa, broń, amunicję, a do wnętrza żywność, odzież,
zapasy, opał, światło, — wreszcie ludzką załogę, służbę
do broni, żagłów, steru, kotwic, paczyn i kuchni, ka-
pitan wyczerpał zawartość swego trzosa. Miał przema-
czonych na budowę »Łabędzia« ośm z górą tysięcy

florenów. Przyszła chwila, iż nie znalazł w kalecie jednego grosza, jednego szeląga, jednego denara.

Dopóki swym majstrom, budownikom wielkiej galeony, oraz łodzi pomocniczej, ośmiowiosłowej fragady, i jeszcze jednego małego bata o dwu wiosłach, — dopóki cieślom, tokarzowi, stolarzom, tkaczom, kowalom, mosiężnikowi, szklarzowi i żagielmistrzowi płacił grubym gotowym pieniądzem, szczerze sypał tryngieldy, dawał strawne, na piwo, świętojańskie, do szaleńca w czasie pijatyki, wszystko szło jako tako z pracującym narodem. Lecz gdy zabrakło pieniędzy, przysło wszystko. Nikt nie chciał pożyczyć jednego talara. Robociądze i rzemieślnicy, zatrudnieni przy statku i chłopi przygodni, tagielnicy, porwali się na nogi, jak sparzeni ukropem. Rozumieli tylko swój zysk i zarobek. Patrzyli mu w oczy i na ręce, kiedy wypłaci należność. Dopytywali się, kiedy podwyższy. Jeżeli zalegał w wypłacie, burzyli się, a gdy nie mógł podwyższyć, wściekali się i grozili, jako wyzyskiwaczowi ich pracy i rabusiowi cielesnej krwawicy. Oryle nastawali o należną, a zaległą zapłatę. Handlarze dębiny domagali się zysków, jako od człowieka, który wlekie skarby zamyśla osiągnąć z tej swojej łabędziej chimery. Wytwórcy narzędzi, właściciele materiałów nachodzili go, wymagając uiszczenia należności, albo zaliczek na nowe obstalunki i nieskończone potrzeby. A kiedy się wszyscy spostrzegli, że już pustka w kalecie, czyniono mu na ucho propozycje sprzedaży »Łabędzia«. Na statek handlowy, na rybacki, przewozowy, nadbrzeżny, portowy, — wreszcie, — piracki. Patrzano nań spodełba, czy się sam na kapra morskiego nie gotuje cichaczem. Ale

patent króla polskiego, którym w oczy migotał, urywał podszepty.

Drwiono zeń za plecyma. Pokazywano go palcami, gdy się w rynki i ulice zaplątał, gdy się o bankierskie stoliki bezskutecznie objął. Nikt go nie rozumiał na świecie.

Nikt nie wiedział w tej stronie, czemu się rwie i po co, jak bachmat spętany, na tej wydeptanej dziedzinie. Nikt nie mógł zrozumieć, czemu ze znanej wszystkim, gęstej ziemi, z izb dobrze ogrzanych rwie się, żeby uciekać w dzikie wody północy. Nie ciągnął go tam handel, interes, zysk pewny, nagroda. Gdy złoto swe rozsypał, wyrzucił ze sakwy, wszyscy ludzie rozsądni stanęli przeciw niemu, jak wrogi. Chodził teraz pośrodku ludzkiego pogłównia, jak tygrys. Krążył, rzucał się, szalał, jak opętany od dyabła, przeciwko któremu zdawna spisek niepisany istnieje ludzi zdrowych i trzeźwych, tuziemnych, osiadłych, świadomych, ostrożnych, przezornych, biegłych w rzeczy. Zmowa, istniejąca wśród ludzi, nie podszeptana w tym czasie, lecz istniejąca od wieków, była tak jednomyślna, tak powszechna, tak ciągła, jakgdyby ją jedna jakaś wytworzyła istota, — jeden agent przemyślny, przebiegły, przezorny podpowiedział tysiącom. Zmowa była powszechna przeciwko wszystkiemu, co nie jest otrzymane w dziedzictwie, wyłudzone niewidzialnem fałszerstwem, wyświdrowane podstępem, uźebrane pokorą, wysiedziane na progu czekaniem. Zmowa była przeciwko nowości, wstręt był do wyrywania z nieistnienia, do działania i tworzenia z niczego. Jan z Kolna był sam jeden.

Wokół były rzeczy martwe, lub wrogie.

Jedynym żywiołem, który się doń pogarnął, byli łotrzykowie z wybrzeża, z wszystkich zatok pomorskich. Wałęsali się wokół statku rozbójnicy po odsiedzeniu więzienia, ukrywający się w norach przedmieść, zalegający szynkownie portowe, — byli podkomendni zbójów morskich, wygnani na ląd przez hersztów wskutek łotrstw nadto rozpasanych, tajnych buntów i zdrady, — piraci bez statku na swą własną rękę, albo kapry, żyjące sposobem kooperatywy w łajdactwie.

Stawały przed oczyma kapitana nygusy, których żadna choroba zagryźć nie zdołała w rozwiązaniem ich życiu, których wiatr morski się nie imał, a mróz nie mógł wytępić, robactwo zeżreć, a ludzie osiadli swemi przemyślnemi torturami w sądach i gnojeniem po kaźniach wygubić nie potrafili na suszy.

Ci to właśnie wpraszali się na załogę »Łabędzia«. Ofiarowali do usług swe szpony, wysłużone i doświadczone sztylety, ramiona niedźwiedzi, kły dzików, siłę tura, swój przemyślny rozum wilczy i lisie natchnienie.

Jan z Kolna przebierał wśród tej zgrai, jakoby w sakwie gadów. Tych godził do służby, a tamtych wypędzał. A z tymi, których wybrał i najmował, jako przyszłą galeony załogę, miał się oto sam jeden puścić w morza niewidziane i wysiadać na lądach, jeszcze nikomu nieznanych. Cóż z nim uczynią na morzu, co uczynią na lądzie?

Mierzył ich oczyma i zdobywał panowanie nad nimi. Patrzył w oczy każdemu z osobna, usiłując samym sobą zgruntować przepaść zbrodni nieznanych, niewidzianych, w tajemnicę zapadłych, — rzucał się

w przypadlisko grzechu każdej z tych dusz odtrąconych, aby gruntu sumienia stopami dosięgnąć. Byli dlań tajemnicą, podobną do tajemnicy tego świata, który się na południu Grenlandyi, za burzliwym oceanem ukrywał.

Łotrzykowię nie żądali od kapitana zapłaty do-
rażnej, nie targowali się o strawne, nie przymawiali
o napiwek. Liczyli na podział zdobyczy, tam, na miejscu.
Wiedzieli, że kaleta kapitana jest pusta do znaku. Wo-
leli ten stan rzeczy, niż porządną zapłatę na dniówkę.
Oglądali galeonę okiem znawców i mistrzów na morzu,
Porozumiewali się między sobą rzutem oka, mruknię-
ciem, westchnieniem i uśmiechem, jakby piekła uchylił.
Jan z Kolna zbierał uśmiechy, pomruki. Rozumiał się
na półszeptach tej zgrai. Cóż miał czynić? Zaprzestać
budowy? Sprzedać swą galeonę kupcowi? Zostawić nie-
dokończoną na brzegu? Zaniechać? Wrócić do dom-
pod Toruniem? Wyjść z duszy marzenie? Zapomnieć
o podróży na północ?

Najmował do służby hałastrę. Spisywał imiona jej
morskie: Niemir, Krzywian, Sulica, Radosz, Fok, Pała...

To obcowanie z wyrzutkami nie zostało w tajem-
nicy przed władzą portową i ludźmi urzędów, przed
światem pieniędzy i tłustych wielmożów. Ci, komu
należy, wskazali, by mieć na oku fantastę. Śledzono
jego kroki.

Zaciskała się coraz bardziej drożyna Jana z Kolna.
Jedno zostawało: uciekać! Wyrzucić na maszt średni
pawilon! Wychynąć z Leniwki! Niech wiatr wydmie
Fok przedni, niech napełni pośredni i zadni! Wiatr
poczuć na skroni! Dech w piersiach! I w drogę!

Dopóki galeona stała jeszcze na piasku wybrzeża, Jan z Kolna raz wraz chodził ponad fale wiślane, by szukać w samotności sposobów ratunku swej sprawy. Tam tej sile jedynej, matce Wiśle, pojmującej jego siłę wewnętrzną wypowiadał swój wielki trud przeciężeń.

Z twarzą w dłoniach ukrytą, z głową na pierś spuszczoną w głuchą rozpacz popadł. Huczały mu nad czołem czarne skrzydła zmywy, w ludzkim gminie przez dyabła podszczutej, przeciw jego niezłomnemu marzeniu. Waliły się na barki piętra przeszkód i zalegały przed stopą niezdobyte przepaście. Zawściagała się szczelniej, potężniej wieczna mroku zasłona, kryjąca świat nowy. Szatan bronił swego księstwa ciemności.

Jedna tylko jedyna, ruda Wisła niezmiennie szumiła :

Wstawaj z ziemi! Do dzieła! Nanowo do dzieła!
Idź dalej!

Jesień obdzierała już z liści drzewa w lasach nadbrzeżnych. Wiatr zachodnio-północny dał za dnia w Słone i w Przasne morze, przewiewał wzdłuż i wszere torfowe doliny i wymiatał morskie fale ze strądów. Pod wieczór małe morze Świeżego zalewu stawało się ze swej barwy podobne do otaczającej je, rudej ziemi. W oczach przygasła zieleń letnia i tylko już tam i sam dawała znać o sobie. Czasem jeszcze, wyraźniej niż kiedykolwiek, wychylał się z topieliska szlak wygiętej mierzei, przecinający morski widnokrag, — fałda płaszczyszyn i wydmuchów, zmarszczka suszy, wymieciona z odmętów morza czystego, a ukształtowana przez jego srogie wichury.

Wróble, jak spadające liście, raz wraz, wśród zacieklego ćwierkania sypały się z pochyłych raz na zawsze czubów wierzby nadwodnej w brózdy ściernisk, już podorywką przerzniętych, i w koleiny dróg piaszczystych, któremi ciągnęły niedawno wozy ładowne ze zbożem. Stada szpaków przerzucały się ze świergotem z jarzębin na jarzębiny.

Podkasane kulingi stadkiem wesołem unosiły się nad gładką piasecznicą wybrzeża, albo szybko biegly swemi bosemi nóżkami w płytkich fali wybiegach, cości z niej długimi dziobami wyławiając zawzięcie.

Obłoki ciemnognatowe w oddali, a bure w pobliżu zwisały nad zalewem. Wiatr ku zmierzchowi nacichał, — ustawał, — wreszcie zgasł w lasach. Spokojne, ostre zimno przesyciło ogrom powietrza.

Przaśne morze grało cichemi falami. Senne ziemi zarysy, osaczające ze wszech stron twardem i grubem obramieniem wody srebrzyste, zwolna wsiąkały w mrok gruby. Para oddechu wymykać się z ust zaczęła. Jesień cicha, jesień północy zstępowała na ziemię.

Wnet wszystko w niej zamarło, skurczyło się, przygasło.

Noc szła. Bezksiężycowa, gwiazdzista noc nad ziemią i morzem. Niepostrzeżony przymrozek lekki tuman podźwignął z zalewu. Ani jeden obłok nie zamiewał rozpostarcia i przepychu gwiazd, które wynikały w szafirach wysokiego sklepienia.

Ze swego asylum, z kuryi od dawien dawna zasiedziałej, gdzie miał izbę na piętrze do badań osobną, astronom wyszedł ciemnymi schodami kościoła na wieżę. Tam miał swą dostrzegalnię, niedostępną dla ludzi. We trzy strony świata roztaczał się widok z tej wieży na Fryską zatokę. Z czwartej strony świata słała się równina daleka, którą przerzynała rzeka Bauda, tworząca małą przystań, dwiema tamami zabezpieczoną od zalewu. Miedziany dach katedry, nowopokrytej po złupieniu przez Skalsky'ego, lśnił słabo w świetle gwiazd wyiskrzonych. Cztery wieże, stojące w narożnikach kościoła-fortecy, rzucały długie cienie na ziemię, od półblasku zbiebiały. Brzeg urwisty, na sześćdziesiąt łokci po nad wody zatoki wzniesiony, nachylał się ku fali ruchomej, zmywającej leniwie stopy osypiska. Potężne

mury i głębokie zzieleniałe fosy, broniące fromberskiej fortecy od strony nadmorskiego kraju, czyniły z małego miasteczka i z wyniosłego w niem cypla katedry jakoby wyspę samotną, odtrąconą od lądu i morza, od świata całego. Oczy astronoma spoczęły w przelocie na tym dawnym widoku, tak mu znanym i bliskim od lat zgórą trzydziestu. Znał tutaj każdy kamień, każde źdźbło kostrzewy nadwodnej i morskiego charszczu, każdą ziemi grudę, każdy kwiat wiosenny i barwę jesieni, każde zachylenie rzeczułki i poszept wód morza. Znał każdego człowieka, każde dziecko miał w oczach. Na pamięć mógł wyłuszczyć choroby cielesne każdego z prostaków, zarzucających się w morzu, i z pamięci mógł nazwać grzechy ich, zbrodnie, podstępny i kłamstwa, rokrocznie mu do ucha na spowiedzi zwierzone. Tam im oto z rzeczułki Baudy machinami pchnął wodę na górę do mieszkań. Tu ich wszystkich przed napaścią krzyżacką zasłaniał, jako wojenny komendant, kierujący obroną Olsztyna. Tu w zaciszu swej izby sporządzał mapy geograficzne Warmii, Prus, Polski całej. Tu swe ulubione książki zgromadził, obcując w ciągu lat z Owidyuszem, Vergilim, Horacym, Sofoklesem, Platonem, studyując Arystotelesa, Diodora, Euklidesa, Plutarcha Vitruwiusza, Pliniusza. Młodocianemi oczyma patrzył na tę dziedzinę, stąd się, jako chyży orzeł w słoneczne obszary Itali wrywał. A oto ona w oczy starca temsamem się rzuca obliczem...

Astronom zawinął się mocno w wielkie futro niedźwiedzie, nogi wsunął w sandały z wilczury. Odwrócił się od widoku tej ziemi. Uciekł oczyma w wieki swą młodość, w niebiosą. Bezmiary gwiazd na

jego wzrok czekały. Zatonął oczyma w jasnej, delikatnej, połyskliwej smudze, — w mlecznej drodze, — w wiekuiстым obłoku, w tuwalni najświętszej, przepasującej wszechniebiosa, za którą w nieskończonych przestworach szeregi gwiazdozbiorów się kryją. Pozdrowił zamglonemi oczyma i cichym warg poszeptem białą gwiazdę biegunową, stojącą wiekuiście pośrodku, między zenitem i poziomą północną dzielnicą, ponad ciemnymi strasznymi wód borealnych bezniarami, ponad ciężkim czarnym nocy pustkowiec, — światło żeglarzy w burzach i wichrach zbłąkanych, — opiekunkę samotnego rybaka, który się na śmierć w walce ze wszechmocnym żywiołem spracował, — łaskę, stojącą nad głuchą i niemą przemocą, — nadzieję. Pozdrowił ją, przodownicę świętą w drogach morskich ludzi północnego świata, nieznaną greckim i fenickim po morzu tułaczom, gdyż ich biegun północny leżał między gwiazdą biegunową a gwiazdozbiorem Wielkiej Niedźwiedzicy, według której ogona, — zowiąc go Cynozurą, — w morzach sterowali.

Odnalazł nazewnątrz drogi mlecznej inną przodownicę, uwodzicielkę wszechświatów po nieskończonych ich drogach, tajną a straszną Wege w gwiazdozbiornie Lutni. Odnalazł najczęstszy cel przezierników swego paralaktycznego narzędzia, Biały Kłos, czyli *Spica*, w gwiazdozbiornie Panny, z którym w ciągu lat zrosły się obliczenia długości roku gwiazdowego i wykrycie zasady, iż nie rok zwrotnikowy, lecz gwiazdowy jest ilością wiekuiście niezmienną. Wśród setek milionów światów płonących biegła owa linia, wypatrzona prze zstęsknione i pękające w męczarniach tajemnicy

oczy ludzkie, wzdłuż której słońce krążyć miało ustawicznie, — ekliptyka niebios.

Po obudwu stronach ekliptyki zalegał pas nawy niebieskiej, w którego wybrzeżach miał się dokonywać bieg całkowity gwiazd błędnych, księżycy i słońca, Zodyak odwieczny, we dwanaście podzielony znaków, które od równonocy wiosennej z zachodu na wschód postępują: Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Niedźwiadek, Strzelec, Koziorożec i Ryby. Krążyły tam nieznużenie, według praw swoich, odkrywając lub zasłaniając oblicze, Cynthia Artemis, córka Zeusa i Latony, siostra słonecznego Apollina, — biegał czterykroć szybki Merkury, tajemniczy w swych drogach, niewidzialny wśród mgieł tego kraju, nie do wytropienia w blasku słonecznych promieni, sam o świetle migotliwym i drżącym, — odmieniała się świetna Heșperos, wieczorna żarnica, albo jasnopromienna jutrzienka, matka miłości, Venus czarująca, — ukazywał się nieodgadniony Mars o barwie ognistej, przez Platona Pyroisem zwany, — Jowisz o świetnym blasku, Faëton, według nazw »Timaios«, i Saturn, czyli Fajnon, błyszczący a łudzający, gdyż krócej od innych kryje się, a przysłonięty promieniami słońca, wcześniej je opuszcza.

Tam była ojczyzna ducha, nie podlegającego starości, bez początku i końca, którego potęgą, czyli funkcją, jest ruch radośnie młody a nigdy nie wstrzymany.

Zuchwała myśl człowiecza, bardziej zuchwała od wzroku, który część rojowiska wszechświatów postrzegał, chciała zagarnąć pszczoły niezliczone, pracujące

od wieków w niebiesiech, marzyła o zamknięciu ich w ulu sklepionym.

Arystoteles, zamykający wszechświat, jakoby w kuli kryształowej, do której powierzchni przytwierdzone są gwiazdy, skazane na ruch dookoła ziemi. Pytagoras, wyznaczający słońcu odległość od ziemi tylko trzy razy większą, niż odległość księżyca.

Platon, utrzymujący, iż odległości ciał niebieskich między sobą i ziemią są muzycznymi tonami. Hipparch z Bitynii, a za nim Klaudyusz Ptolomeusz, utrzymujący, iż ziemia jest nieruchomą, jako środek świata całego, dokoła której biegną wszystkie ciała niebieskie w porządku swych od niej odległości: księżyc, Merkury, Venus, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn.

Eudoksos z Knidos i Kallippos, uczeń Polemarcha, idący śladem Egipcyan w oparciu mechanizmu świata na systemacie kręgów współśrodkowych, nie mogący jednak zdać sprawy ze wszystkich zjawisk ruchu planet.

Inni, objaśniający te same zjawiska zapomocą kół mimośrodkowych i epicyklów, — kół fikcyjnych, otaczających nieruchomą ziemię, gdzie epicykl jest kołem mniejszem, którego środek porusza się ruchem jednostajnym po obwodzie koła unoszącego, czyli deferensa, a zespół tego dwoistego ruchu odpowiada w przybliżeniu ruchowi planety po jej rzeczywistej drodze w przestrzeniach.

Ptolomeusz, wprowadzający do tego systematu nowe koła fikcyjne, — ekwanty, — dla wyrównania niezgodności rachunku zapomocą deferensów i epicyklów z rzeczywistymi zjawiskami na niebie.

Ibn-Roszd z Kordowy, Averroësem zwany, według którego niebo jest istotą żyjącą, złożoną z wielu ciał, przedstawiających członki niezbędne do życia, gdzie pierwszy motor przedstawia serce, życiem ku innym członkom promieniejące, a każde z ciał posiada swą inteligencyę, a te znów inteligencye, hierarchicznie między sobą podporządkowane, stanowią łańcuch motorów, które wywołują ruch od pierwszej sfery aż do nas.

Alfons X, król kastylski, astronom i wydawca książki ułożonej przez astronomów pod tytułem »*Tabulae astronomice Divi Alfonsi Romanorum et Castelle regis*,«, oświadczający, że gdyby przed stworzeniem świata o radę był pytany, umiałby go prościej urządzić.

Mikołaj Kopernik z oczyma skierowanemi ku niebu przykładał swoje proste urządzenie wszechświata do dziejów złudzeń genialnych, do pomysłów wysokich a zawiłych tylu mędrców przeszłości, i wśród cichej rozkoszy przyznawał, iż w zgodzie z jego myślą jest niebo.

Nie istnieje, — powtarzał, — wspólny środek dla kręgów, czyli sfer niebieskich. Środek ziemi nie jest środkiem świata, lecz jedynie środkiem ciężkości, oraz środkiem księżycowej drogi. Wszystkie drogi gwiazd błędnych otaczają słońca dookoła. Stosunek odległości słońca od ziemi do odległości firmamentu jest mniejszy, aniżeli promienia ziemi do odległości słońca, a więc stosunek ten w otchłaniach firmamentu znikomym się staje. Cokolwiek ruchomego dostrzegamy na całym firmamencie, nie pochodzi z jego własnego niby-ruchu,ecz ruchem samej ziemi wywołane zostało, ona to

więc odbywa w ciągu doby ruch obrotowy dokoła swoich niezmiennych biegunów, a wobec trwale nieruchomego nieba. Jakikolwiek ruch wydawałoby się mieć słońce, zjawisko takie nie pochodzi z własnego jego ruchu, lecz jest złudzeniem, powstałym wskutek ruchu ziemi, oraz jej kręgu, po którym toczymy się dookoła słońca, albo też dookoła innej jeszcze gwiazdy, co znaczy, że ziemia równocześnie kilka ruchów odbywa. Dostrzegane u gwiazd błędnych cofanie się wstecz i posuwanie naprzód, nie jest własnym ich ruchem, lecz jest także złudzeniem, z ruchomości ziemi pochodzącym.

Wspomniał sobie w tej chwili pierwsze swoje olśnienie, w Krakowie, gdy jako dwudziestotrzyletni młodzieniec spostrzegł pomyłkę ptolomeuszowego rachunku co do odległości księżyca od ziemi, co do ruchu w przestrzeni planet Venus i Merkury. Gdy bowiem Ptolomeusz za naczelną zasadę ruchów ciał niebieskich przyjął był jednostajność, a wśród szczegółowych wywodów od tej zasady odstąpił i nowe wprowadził ekwanty, potrzebne mu dla pogodzenia rachunku z obserwacjami istotnego zjawiska, pokorne i nieśmiałe zrodziło się zwątpienie.

Skoro tak źle się astronomom powodzi, kiedy utrzymują, iż ziemia jest świata ośrodkiem, czy nie lepiej wypadłyby ich zawikłane rachunki, gdyby, jak pytagorejczycy Hiketas z Syrakuzy, Filolaos z Krotony, Ekfantos i Herakleides z Pontu, przypuścili, iż ziemia w ciągu doby obraca się dokoła swej osi.

Wtedy to w myślach swoich tajemnych postawił ziemię, jako jedną z planet słonecznego układu, podle-

gającą na równi z innymi ogólnym tego układu zasadam. Krąg gwiazd stałych uznał za najodleglejszy nieruchomy, wszystko obejmujący i mieszczący w sobie. Poniżej wyznaczył miejsce planecie Saturn, dalej Jowiszowi, dalej Marsowi, jeszcze niżej umieścił okrąg, na którym my się poruszamy wraz z ziemią, następnie okrąg Venus, a wreszcie Merkurego. Wspomniał sobie w tej chwili drugie swoje olśnienie, wtargnięcie w środek wątpliwości, włamanie we drzwi błędu, — w Bolonii, — podczas obserwacji wspólnie z Dominikiem Maryą Novara dokonanej, gdy nastąpiło zakrycie czerwonego Aldebarana z grupy Hyadów przez księżyc, bytujący w pierwszej kwadrze.

Odtąd z najgłębszem i skupionem baczeniem, z najsurowszą i najskrzętniejszą ścisłością począł swe myśli równać i przymierzać do nowych założeń, oraz wiązać dla nich i ustawiać szeregi dowodów.

Przyjąwszy dla ziemi ruchy, innym planetom właściwe, po szeregu niezliczonych i długich dochodzeń, znalazł wreszcie, że jeżeli ruchy pozostałych gwiazd błędnych zostaną na obieg ziemi przeniesione i dla obiegu każdej z nich obliczone, wówczas nie tylko że zjawisko, jakie przedstawiają, okaże się prostem następstwem tego przypuszczenia, ale że zarówno kolejność wszystkich tych gwiazd i sfer; oraz ich wielkość i same niebiosy w taki związek ujęte zostaną, iż w żadnym ich miejscu nie daje się nic przestawić bez wywołania zamieszania w innych miejscach, jakoteż w całości wszechświata. Wyszędłszy z założenia, iż każda dostrzeżona zmiana w położeniu ciała jest następstwem albo ruchu ciała podlegającego badaniu, albo ruchu

samego postrzegacza, albo skutkiem nierównej zmiany obudwu położeń, po długich dniach rozważań i nocach obserwacyi, stwierdził, że zatrzymanie się gwiazd błędnych, jakoteż ich ruchy czy to wprost, czy wsteczne, — nie od nich w istocie pochodzą, lecz są naszym złudzeniem, powstałem wskutek samejże ziemi poruszeń. Złudzenie to uważał za takiesamo, jak owo, o jakim wspomina Eneas Wergilego, mówiąc: »Odbijamy od portu, a lądy i miasta wstecz pomykają«. Nie przeszkodziło mu to wcale, że co starożytni przez nieruchomość ziemi, a obrót nieba tłumaczyli, osiągnął, przyjmując sprawę odwrotną, czyli doroczny ruch ziemi, której środek opisuje ekliptykę dookoła słońca, z zachodu na wschód postępując, według znaków niebieskiego Zodyaku, a krążąc między Wenerą i Marsem wraz z tem wszystkim, co do ziemi należy.

Jakaż rozkosz na ziemi mogła się być porównać z tą niebiańską zaiste roskoszą, gdy olbrzymie ciała wszechświata szły posłusznie wzdłuż linii i szlaków, zajmowały stanowiska i znikły według wskazań, które im w swym rachunku wyznaczył?

Jakaż rozkosz na ziemi mogła się porównać z tą niebiańską roskoszą, gdy pokorne twierdzenie na marginesie cudzych mniemań, lub zuchelku papieru spisane, znajdowało swe nieomyłne przytaknięcie w biegach gwiazdozbiorów niezmiernych, obserwowanych na sklepieniu niebieskiem, w okresach czasu wyliczonych uprzednio, wśród zaćmień nieomylnie przewidzianych?

Jakaż rozkosz na ziemi mogła się porównać z tą niebiańską roskoszą, gdy wyjaśnił prawo biegu rocz-

nego tej ziemi, aż do jasnowidzenia rachunkiem stwierdzając położenie wciąż równoległe osi ziemskiej, — gdy wywiódł przyczyny odmiany pór roku z równą dokładnością, jasnością i niezrównaną prostotą, jak skutki wykonywuje sama czynna i tworząca natura na wiosnę i w lecie, pod jesień i w zimie?

Rozmawiały z nim samym jednym niebiosa. Stały otworem przed jego oczyma otchłanie. Tej nocy zamykał na klamry swe myśli. Postanowił nadać myślom swym znamię czynu, rzucić je ze swej wieży między ludzi, zaopatrując je w wielkość ukrytą, w głęboką rozległość i nieskończoną użyteczność.

Postanowił wydobyć mechanizm budowy wszechświata z pomroki niezliczonych wieków, stopy obserwacyi dawnych, nowszych i własnych, czyli pracę umysłu wszystkich ludzkich pokoleń na wyjaśnienie i stwierdzenie prawdy powołując.

Stał się sam przez się w chwili owej prorokiem. Oddzielał światło prawdy od mroku złudzenia, jawną mądrość od chytrze przystrojonych omamień.

Przeniósł się mocą swego ducha własnego w daleki bezmiar rzeczy utworzonych, we wszechświat niedosięgły dla nikogo z żyjących.

Postawił siebie, rozum rodu ludzkiego, wśród wirowiska rozlicznych sił i władz, działających wzajem na siebie z potęgą, której żadne nie wypowiedzie słowo.

Badał w spokoju prawa, rządzące temi potęgami bez miary.

Wydźwignął się duchem swym i stanął sam przy pomocy swojej, jako świadek stworzenia, jako współ-

uczestnik rozkazów, według których odbywa się podróż wiekuista słońc, światów, brył i płomieni — tam — w niebie.

Lecz w chwili tej, — o, boleści! — dosięgnął go z niskiej ziemi dreszcz wewnętrzny, smutek sekretny, cmentarna, cuchnąca zgryzota.

Zdało mu się, iż razem z nim, rozumem rodu ludzkiego, wyniosła się tam, w niebo, żmija długa, która się u serca głośnie bijącego uczepiła i zatapia w nie zęby, jad wyciskając zabójczy.

Zgryzota cmentarna, żmija długa oplotła skrętami jasną wolę. Smutek sekretny poszepnął:

— Żyły twe zsychną się, — wielki doktorze! — Serce twe zanadto pośpiesznie uderza. Nerki twe zły mocz wydzielają. Krew twa zanadto potężnie pulsuje w mózgu, który jest rozumu rodu ludzkiego siedliskiem.

Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę umierasz, o, świadku stworzenia. To wymierz, geometro ziemi i budowniku wszechświata. To wypatrz przez przezierniki swego drewna. To zanotuj w swych pismach.

Lada dzień, lada godzina, lada moment pęknie w tym mózgu żyłka drobna, kruche naczynie, tak niemal maleńkie, jak blasku niteczka, świecąca w twej źrenicy, gdy patrzysz na jedną z sześciu gwiazdek w Plejadach.

Mózg twój stanie się zgniłą masą, pełną cuchnącego jadu. Jasna myśl w ciemność wiekuistą zapadnie.

Wyjęte zostaną z twego mózgu niebios.

Wszechświat skona i z tobą pospołu rzucony zostanie w jamę grobu, gdzie go zmije pożerać rozpoczną.

Otrząsnął się myśliciel, jakby węża od swego serca odrywał. Zadławił w sobie wewnętrznego dajmoniona. Oświadczył mu, iż sprawa rachunków niezrozumiała jest, zanadto zawiła, niedostępna dla smętka, nurtującego zgnilizny i przenikającego zgryzoty, które do wrót cmentarza prowadzą. Śmierć nie może osiągnąć oka widza, który się umieścił w środku gwiazdy dalekiej i bada promień kuli ziemskiej dla określenia dwugłądu, zmiennego kąta, czyli paralaksy niebieskiego ciała. Rachunek tego widza wieczności się równa i nie podlega zniszczeniu, gdyby nawet wszechświat skonał.

Człowiek samotny na wieży fromberskiego kościoła spojrział z miłością na swe ubogie narzędzie z jodłowego drzewa, — *triquetrum* Klaudyusza Ptolemeusza, — z trzech łąt złożone, z których jedna była zupełnie nieruchoma, a dwie inne na zawiasach poruszalne, — na suwak ruchomy, który można było śrubą przykręcać, ażeby umocować dwa przeziorniki dla chwywania źrenicą promieni światła idącego od gwiazdy badanej, — na podziałkę skali, własnoręcznie atramentem znaczoną. Te dwa w drewnie otwory były jedynymi szczelinami do zajrzenia we wszechświat. Ta podziałka na drewnie jodłowym była źródłem wywodów, które obaliły teorię ruchów księżyca i z miejsca poruszyła bryłę ziemi.

Pogładził łaskawą piśszczotą wyslizgane drewnienka. Otulił zestarzałe ciało w kiereję futrzaną.

Przesunął spracowaną dłonią suwak i skierował źrenice w otwory. Lecz łza starości raz wraz zalewała przekrwioną źrenicę. Blask gwiazdy uciekał od oka. Zimno kośćmi wstrząsnęło. Drżące dłonie opadły. Złorzeczenie przeciw śmierci, napastnicy i burzycielce pracy ducha, jak płwocina, z warg zleciało.

Śmiech Smętka wewnętrznego znowu w głębi ducha zahuczał:

— W proch się rozsypuj!

Zapadaj w głąb grobu!

Nie dowiesz się istoty wydarzeń na niebie!

Umieraj wśród złudzeń!

Szamocząc się w wiązaniu śmiertelnych kości, mięśni, żył, nerwów, myśl porwała się znowu. Domysł nieotamowany rachunkiem, zakazany samemu sobie bez zamknięcia go w ścisłe koło dowodów, leciał na skrzydłach rozpaczy. Mierząc swój lot straszliwy prędkością uderzeń serca wzburzonego nad miarę, szybował wraz z wszechświatem, ze wszystkimi pokoleniami ludzkimi, od najbardziej zamierzchłych rozświtów i zmierzchów, aż po byt wieczny, czy zdruzgotanie wszystkiego w nieskończonej przyszłości.

Domysł nieotamowany rachunkiem zdążał pospołu z wszechświatem do miejsca pobytu Węgi, ścigał ją, uciekającą w ciągu lat milionów, ażeby się przekonać, że nigdy się do niej nie zbliży, gdyż ona z tąsamą szybkością, co pościg w nieskończoność ucieka.

Domysł nieopanowany rachunkiem zadawał gwiazdom ósmej sfery pytanie, czy one również zakreślają niepomierne koła wokół jakowegoś ciała głównego na podobieństwo gwiazd błędnych, krążących pod słońcem?

Któż miał z samotnikiem jego troski podzielić?
Kto go miał w mocowaniu się ze smętkiem wewnętrznym podeprzeć?

Kto miał mu podać rękę, pomoc i radę?

Kto drugi miał oko przystawić do otworów »triquetrum«, gdy jego źrenica łąką zasła, gdy serce uderzało zbyt mocno, gdy krew zwoje mózgu zalewała?

Nie było nikogo.

Wyniósł się oto nad niebiosą.

Sam się o wszystko zatroskał.

Sam był nad utwierdzeniem.

Stała się wokoło jedyna towarzyszka żywota, niezmienna i wierna, — samotność.

Pomimo, iż król Fryderyk Drugi przekroczył już siedmdziesiąty rok swego życia, nie przestawał odbywać wędrówek po nowonabytych swego państwa obszarach, Nadnoteckim Obwodzie i Prusach Królewskich. Raz wraz wyprawiał się do Kwidzyna, lub Grudziądza i przebywał obszary gdańskiego Pomorza. Rewidował kolonie niemieckie, na dawnych błotach Noteci powstające, które po obwałowaniu tej rzeki na osuszanych terenach, jako kraj niemiecki zajaśniały. Wizytował te nowe placówki, niczem bastyon teutoński, wmurowane w stare ziemie słowiańskie. Cieszył się, skoro we wsi spotkanej w przejeździe znalazł choć dwu, choć trzech Niemców ze Szwabii, Meklenburgii, Turyngii, nie dla tego, żeby język niemiecki uwielbiał, gdyż w gruncie nie znosił go pogardliwie, — lecz z innej przyczyny. Pewien był, że wieś taka lepiej swe gospodarstwo poprowadzi, lepiej role uprawi i obsieje, przypatrując się robocie niemieckiej, jako żywemu wzorowi. Lustrował osobiście skutki zniesienia poddaństwa chłopskiego w majątkach Polaków. Zalecał swym urzędnikom na miejscu, ażeby wyprowadzali lud prosty z niewoli pańszczyźnianej u Polaków i przyzwyczajali go do modły, jaka w kraju pruskim panuje. Stara jego, po przodkach odziedziczona nienawiść do polskiego szlachec-

kiego stanu, do ludu mówiącego po polsku, mściwość w każdej krwi kropli krążąca nie zmniejszała się w tych podróżach, lecz wzrastała, a wstręt do wszystkiego, co duchem polskim trąciło, wzmagał się wskutek tych rewizyi coraz bardziej. Do pasyi go doprowadzał widok pól jałowych, bezludnych, zarośniętych chwastami, albo zbożem obsiewanych bez uprzedniego mierzwienia, podczas gdy nawóz najlepszy ludność bezmyślnie wrzucała do rzek i strumieni. Poczytywał też wszystek lud w kraju zabranym za jednorodne zbiorowisko głupoty za kraj Irokezów, który jedynie dzięki kolonizacyi przez Niemców, jako dobrych gospodarzy, ucywilizowany być może. W malborskiem, chełmińskiem i pomorskiem zastał kilka tysięcy głów szlachty, rodowitych Polaków w gęstej masie zasiedziały. Byli to magnaci i średniacy, drobna szlachta i dzierżawcy, na wsiach, częściach wsi i folwarkach siedzący, urzędnicy i rezydenci wielkopańscy. Kilku zaledwie magnatów o nazwiskach niemieckich, również do gruntu spolszczonych, płaćtało się wśród polskiego pogłowia. Wszędzie lud prosty odrabiał dziedzicom pięć dni tygodniowo, we dwu mężczyzn i dwa konie wszystko wykonując, co pan każe, na polu, w gumnach, czy w domu. To też król pruski pragnął jaknajrychlej pozbyć się tej polskiej »hołoty«, jak ją stale w swych pismach nazywał, wygnąć ją z Warmii, Sztumszczyzny, Pomorza, aż po lęborską i chojnicką ziemię.

Postanowił wygnąć ten żywioł do Polski popołu z Żydami, których z samych tylko nadnoteczek miasteczek sześć tysięcy głów za rzekę graniczną wyrzucił.

Pewnego razu, właśnie poprzez Pomorze wędrując, zwiedzał szczegółowo ów kraj pusty i próżny, o rasie bydła zwyrodniałej, o narzędziach rolniczych pierwotnych, drewnianych bez wyjątku, — patrzył na role, pełne zielsk i kamieni, drewnianą, bez żelaza potrącaną sochą, na łąki zabagnione, bez uprawy, — spotykał na swej drodze wsie, złożone z chałup dymnych, bez komina, gdzie dym przez dziury w ścianach wypływał, a obok ogniska w środku izby siedziały brudne baby i dzieci, tuliły się cielęta i świnie, psy i ptactwo domowe. Wściekał się coraz groźniej na polską niewolę, która, według króla opinii, to wszystko złe sprawiła.

Noc zapadała, a tymczasem w pojeździe królewskim nadwyrężyło się koło. Wypadło szukać przed nocą schronienia w najbliższym słowiańskim osiedlu. Dworzanie i urzędnicy miejscowi zakrzętnęli się żywo około wynalezienia dla pana nocnej kryjówki godziwej. Znaleźli ją we wsi niedalekiej. Było to w okolicy lesistej, kartuskiej. Trafiono na wieś czysto kaszubską, porządnie zbudowaną, o chatach z drzewa dobrego, bielonych, z kominami i szklanemi szybami. Pomieszczenie dla króla obrano w pierwszym z brzegu osiedlu. Wprowadzono go do chaty. Mieszkańcy, widząc pana znacznego, usiłowali całkowicie się usunąć, lecz król, nie dając się poznać, kazał wszystkim pozostać, aczkolwiek izbę główną na noc zajął dla siebie. Wnieziono ulubione krzesło podróżne, które mu w wyprawach za łóżko służyło, i przygotowano wieczerzę. Wnet kucharz wydobyl podróżne przybory i, roznieciwszy ogień na kaszubskim kominie, począł przyrzą-

dzać na wieczerę ulubione potrawy pana: wołowinę w wódce gotowaną, turecką pszenicę, pieczoną na maśle z serem parmezańskim i sokiem czosnkowym, — odegrzał pasztet z węgorza z przystawkami, ciastka z sera, śledzie, kapustę kiszoną i inne smakołyki. Wnet wieczerza była gotowa. Podano do stołu. Pan zaprosił do siebie towarzyszków podróży, a ci skwapliwie zasiedli dookoła króla. Pękło w trakcie uczy kilka butelek szampana, z których, jak zazwyczaj, król jedną na swą osobę rezerwował.

Rozmarzony po spożyciu posiłku i wypiciu wina, zażywał raz wraz wielkie niuchy swej ulubionej hiszpańskiej tabaki z niemależ tabakiery, a resztę niuchów otrząsał na kamizelkę i spodnie, brudząc do ostatka i tak już zaplamione i wytłuszczone odzienie. Przeszedł się po izbie, zaglądając w jej kąty. Wielkie buty z huzarska niepodwiązane, w licznych fałdach i zmarszczkach wisiały na jego chudych goleniach, tworząc rude torby i przeguby. Zaczerwienione oczy mrugały, a stara, wyschła twarz marszczyła się od zjadliwego śmiechu, gdy towarzyszom wskazywał bohomazy, czczone jako świętość, ponad łóżem gospodarzy tego domu. Nie tylko z szyderstwem, lecz z jawnym gniewem uderzał obcasami w uklepaną ziemię, zastępującą brak drewnianej podłogi. Noc już była zapadła, to też świta urzędnicza i dworska służba czekała tylko na znak, kiedy będzie mogła udać się na jakitaki spoczynek w sąsiednich chatach, — upragniony po uciążliwościach podróży wśród kaszubskiego bezdroża. Król zrozumiał to powszechne pragnienie. Skłonił im się zdaleka.

Został sam w izbie.

Zapał w swe krzesło i siedział w milczeniu. Woskowe świece paliły się w lichtarzach, a ruchliwe ich płomienie dobrze oświetlały ubogie mieszkanie. Zarys głowy króla, jego nosa, peruki i warkocza rysował wielki, śmieszny cień na bielonych ścianach izdebki.

Wiatr jesienny z cicha świstał dookoła węgłów chaty. W ciszy nocnej słychać było stąpanie huzaarów, miarowo kroczących wzdłuż drogi i płotów dla czujnego strzeżenia bezpieczeństwa i spoczynku monarchy.

Fryderyk Drugi popadł w sen głęboki. Zanurzony w swe krzesło, z głową na piersi zwieszoną, chrapał na całe domostwo. Ledwie go było widać za głębokimi poręczami siedziska.

O jakiejś porze nocy ocknął się wytrzeźwiony, wypoczęty. Zaraz chwycił swą tekę podróżną. Nerwowymi palcami, których chudość była nadzwyczajna, rozwiązał rzemyki i stos papierów wysypał na powierzchnię stołu. Rozłożył i rozprostował mapy, plany, kolorowe wykresy, wykazy i notaty. Począł zajadle czytać raporty i prośby, niezwłocznie pisząc na marginesach rezolucje i uwagi. Przeglądał właśnie nadesłane raporty o szkołach kadetów w Słupsku i w Chełmnie, ufundowanych dla niemczenia drobnej szlachty pomorskiej. Cieszył się, czytając listę nazwisk oficerów już wyszkolonych w Słupsku, oraz kadetów przyjętych do Chełmna, — owych Chmielińskich, Czarnowskich, Chamyr—Gliszczyńskich, Gostkowskich i Jarka — Gustkowskich, (z których rodu wyszedł Hans Dawid Ludwik hrabia York von Wartenburg, generał feldmarszałek

pruski), Malszyckich, Rekowskich, Sarbskich, Wnu-
ków i innych, którzy przejęli się duchem pruskim do
szczętu.

Rozważał nadesłany przez pewnego urzędnika
projekt wykupienia dóbr z rąk szlachty polskiej przez
mieszczaństwo pochodzenia niemieckiego — i umieścić
na marginesie uwagę, że miłszy mu jest jeden mie-
szczanin niemiecki, niż cały naród Polaków. Myślał
o przeznaczeniu funduszu na kupno przez państwo
dóbr od Polaków, byleby się pozbyć tej »*liederliche
polnische Zeug*«, (polskiej hołoty), która »źle gospoda-
ruje, pieniądze zbiera, biegnie do Polski i tam pieni-
dze przejada«. W pasyi podpisał dekret o kupnie przez
państwo dóbr polskich Mrocza, Białośliwia, Wyrzysk
i Opalenia. Ponieważ cały lud polski poczytywał za
zbrodniarzy i złodziei, to też bez wahania podpisywał
ciężkie na Polaków wyroki, do zatwierdzenia i łaski
podane. Akceptował decyzje o wywłaszczeniu właścicieli
pochodzenia polskiego, którzy, mając dobra na
Pomorzu, w Polsce przemieszkiwać śmieli. Zgodził się
na sprzedanie tych dóbr Niemcom z Prus, albo z Kur-
landyi, byleby je wyrwać z rąk znienawidzonego ple-
mienia. Zawsze mając jedno na myśli, aby »*Sklawischen
Leute mit Teutsche zu meliren*« dla szerzenia europej-
skiej kultury, podpisał dekret, zabraniający wstępu
chłopom polskim na nowo zdobytą pruską ziemię.
Przeglądał stopy swych notat dawniejszych i spostrze-
gał z pociechą, iż osadził już w Bydgoszczy sto rodzin
kolonistów niemieckich, w Chełmnie dziewięćdziesiąt,
w Budzynie siedmdziesiąt sześć, w Gołębii siedmdzie-
siąt pięć, w Kwidzynie pięćdziesiąt jedną, w Grudziądzu

czterdzieści cztery, w Strzelnie czterdzieści, w Wieleniu dwadzieścia dwie rodziny. Spostrzegł, iż wydał już 84000 talarów na sprowadzenie stu ośmdziesięciu rodzin rolniczych w Bydgoszczy, 51000 talarów na sto dziewięć rodzin w Kwidzyńskie, a ogółem wydał 560000 talarów na sprowadzenie kolonistów z Wirtembergi do innych okolic. Zsumował wszystkie swe dotychczasowe wydatki na sprowadzenie osadników i otrzymał cyfrę niemałą. Miał już ściągniętych około tysiąca trzystu rodzin, czyli około pięciu tysięcy pięciuset ludzi w Pomorską i do nadnoteckiego okręgu. Szli tedy na jego skinienie do Kwidzyna, Tczewa, Pokrzywna, Gołębia, Kartuz, Chełmna, Chełmży, Malborga, Radzyna, Rogoźna, Świecia, Skarszew, Brodnicy, Sztumu, Unisławia, — do mnóstwa wsi i źle zagospodarowanych folwarków.

Gdy król główne bieżące sprawy odrobił, odsunął papiery na bok. Był podniecony. Zagłębił się w mapy. Oczy jego przesunęły się po tym klinie, którym już zabił Rzeczypospolitej Polskiej drogę do morza, — po Warmii i Noteci. Ciężkie i straszne jego oczy padły na Toruń i Gdańsk. W tej oto gburskiej chacie Kaszuby czuł szczególnie gorąco i silnie swe dzieło. Podejmował je od nowa. Dźwigał i wykonywał w duchu. Wzniecała się w nim pasya główna, stara do Polski nienawiść, straszna i nienasycona, wciąż, od samego dna duszy wznosząca się — aż do szańca.

W nocnej ciszy marzył o przebiciu osinowym kołem tego upiora, o dobieciu tego wroga swego życia.

Powracał oczyma do punktu na mapie, który nosił nazwę »Gdańsk« i oczy jego pałały ogniem pie-

kielnej wściekłości. Wodził palcem po miejscach przylegających do Gdańska i wyznaczał ołówkiem miejsca komór celnych tuż pod miastem, przy rozgałęzieniu się Wiłsy, w Rothe Bude. Naznaczył w Alt-Schottland, miejsca na jarmark dla zniweczenia jarmarku Dominika. Wyznaczył w Fahrwasser miejsce na urząd do pobierania opłaty od okrętów nowozbudowanych i na sprzedaż zagranicę gotowych.

Wodził palcem po rolach gdańskich mieszczan, gdzie odbywać się powinny musztry pułków pruskich, — bobrował paznogciem po drogach, prowadzących do miasta, gdzie stać powinny rogatki, kontrolujące przywóz żywności na targi. Wściekły gniew spłonął w nim i miotał jego ciało i ręce, na wspomnienie raportu, iż gdańszczanie zatoczyli staroświecką artylerję na swe wały obronne, — iż na ratuszu burzliwe toczyli obrady, wygłaszając przeciwko niemu zuchwałe perory, — i że z uporem niezłomnym trzymali się swej Polski.

To imię rozrywało w jego piersi istną ranę krwawiącą. Zwrócił swe płomienne oczy na płat mapy, leżący na południe od zielonego pasma Noteci, i patrzył w ten obraz polskiego kraju straszliwym wzrokiem upiora. Wysunął dwie ciężkie pięście, zacisnął je, jak klamry z żelaza, i zwałił je na ten obszar. Zdawało mu się w tej chwili, że słyszy huk pochodu stuleci, — wrzask ucieczki Słowian z zachodu na wschód przed legionami Teutonów, — że słyszy odgłos straszliwej rzezi Grunwałdu. Krew mu mózg zalewała. Czuł, że jest w stanie podnieść do góry i roztrącić z wysoka tę całą ziemię, rozwalić ją na drzazgi, zdruzgotać na

miazgę, ażeby z tej gleby wzruszonej, z nawozu czarnego, nową, cywilizowaną według jego myśli formę ugnieść, uczynić, wylepić.

Tymczasem głucha cisza, otaczająca tę izbę, dokuczała mu zaczęła. Nudził się.

Klasnął w ręce. Gdy wszedł z przyległej sionki oficer służbowy, polecił, żeby mu sprowadzono niezwłocznie gospodarza tego domu. Chciał jeszcze tej nocy pracować pozytywnie, dowiadywać się najistotniejszej rzeczy, notować sobie szczegóły z własnej obserwacji i żywej rozmowy.

Wkrótce wszedł przywołany Kaszuba.

Był to człowiek w sile wieku, wysoki, szczupły, orlonosy, o ściągłych rysach twarzy.

Król pytał go, czy umie mówić po niemiecku, czy choć rozumie tę mowę.

Okazało się, że, ani jedno, ani drugie.

Kazał tedy niezwłocznie wyszukać po nocy tłumacza we wsi, któryby mu zeznania Kaszuby wyłożył. Sprowadzono wkrótce jakiegoś przybłądę, obszarpańca i wycierucha, który z pruskiego Pomorza przyszedł był w te strony. Ten ponemiecku rozumiał i mówił. Wtulony w kąć izby ze strachu i wstydu, ażeby swoich brudnych łachmanów przed oczy wielkiego pana nie wysuwać, świecił tylko z głębi mroku czarnemi i błyszczącemi oczyma i czekał na każde skinienie.

Król pytał obudwu wieśniaków o nazwiska i koleje życia, kazał opowiadać sobie wszystko, cokolwiek tyczyło się tej wioski. Spisywał imiona i nazwiska ludzi, kobiet i dzieci. Notował ilość sztuk inwentarza u każdego z rolników, stan i jakość zasiewów i zbio-

rów, ilość i gatunek spożywanego jadła. Kazał opisywać sobie i wyliczać odzież, sprzęty, narzędzia, opał, sposób budowania domów, obór, stodoł, chlewów, naturę życia i rodzaj zabaw wiejskich. Gdy zaś wszystko porządnie wynotował, prosił, żeby mu opowiedzieli o uroczystościach, świętach i obchodach miejscowych, — w co się tutaj wierzy, jakie są tutejsze prognostyki lekarskie i religijne przesady. Wreszcie poprosił, czy nie umieją jakiej okolicznej historyi, przypowieści, bajki, gadki, legendy.

Wieśniak zachęcony łaskawem poklepaniem po ramieniu, ośmielił się i rozgadał, jak to bywa, aż do wielomówności.

Po namyśle jął wykładać następującą kaszubską historyę:

— »Jeden gbur miał dwóch senów. Ciej on z nimi roz jod wieczrą, tej uzdrzoł przez okno, że sę na polu odziń poli. Tej oni wszesce trzej zaru wiedzele, że sę tam pieniądze przesuszają. Tak ojc rzek do starszego sena:

— Jidz i obocz! A może dostaniesz od tych pieniędzy.

Tak nen starszy sen szed. Jak on przeszed na ten mol, tej stojoł tam zły duch i mnieszoł cijem w tym ogniu.

Widząc to, starszy sen rzek:

— Dej mnie od tych pieniędzy!

Ale zły duch odrzek:

— Jo ce dom wszetci cieszynie pełny, ciej te mnie powiesz, co bec ni może!

Tak ten starszy sen sę nameszłoł, ale jednak ni

mog powiedzieć, co bec ni może! Jak on tej żodnej odpowiedzi nie wiedzoł, tak zły duch zaczął na niego wrzeszczać i ślepie wewolac.

— Pochadej precz stąd! Bo ce sę zaru nie-szczescy stanie.

Starszy sen sę srodze werzas i ucek precz. A jak on przeszed do ojca, to ten sę pytoł:

— A cóż te sprawieł?

— Nick! — odrzek sen. — Tam mnieszo czort w ogniu i mowił do mnie: Jo ce dom pełny cieszynie piniędzy, ciej te mie powiesz, co bec ni może. A tego io wej nie umnioł powiedzieć.

Czując tę godkę, rzek młodszy sen:

— To jo pude, tatku!

A ojc mu mowił:

— Jidz!

Jak nen młodszy sen przeszed do tego ognia, tak on widzoł, jak zły duch w ogniu cijem mnieszoł, i rzek do niego:

— Ciej te przegorniosz w tyle piniędzach, to dej i mnie od nich dzel.

Ale zły duch odpowiedzoł:

— Jo ce dom pełny cieszynie, ciej te mie powiesz, co bec ni może.

— To jo ce zaru powim! — odrzek ten młodszy sen. — Jo służeł u jednego gburu, chteren posodoł dwanosce koszk pszczoł. A jo muszoł każdą pszczołę porachowac reno, ciej pszczołe welotywałe, i we wieczór, ciej przelotywałe.

— To może bec! — rzek zły duch. — To jo wierzę.

— Poźdejle! Moja godka jesz jidze dalij! Jak jo roz we wieczór wszetci pszczołe z nych dwanosce koszk rachował, tej jednyj nie beło. Wtym jo uczuł, że ję wilce w lese opadłe, a ona reczała jak wół. Tak jo zawołał dwanosce gburów i ma szle na pomoc. Ale jak ma przeszła, tej ju wilce pszczołę zeżarły, le żądło od nij ostało. To żądło beło tak ciężci, że ma je udwignąc ni mogłe. Tak jo je muszoł ostawic. A na drudzi dzeń jo są najął dwanosce gburów z dwanosce wozami i dwanosce porami koni i ma jachale po no żądło. Tam ma go porąbile, a dało z niego dwanosce fór, tak że sę pod nimi moste dziełe.

— To może bec! — rzek zły duch. — To jo wierzę. Nie wiesz je czego jinszego? Ciej nie, to le jidz, póci jesz jes cały!

Ale chłopok rzek:

— To jo ce jesz co lepszego powiem: jo beł w niebie!

— To może bec! — rzek czort. — Ale jak te sę z nieba na ziemnię dostał?

— Decht letko. Tam w niebie prawie amniółowie draszowełe jęczmiń, a jo se z tych jęczminnych plew ukręceł pówróz i se po nim spusceł. A ciej sę ju pówróz kuńczeł, tej jo z góre ucał, a na dole przewiazoł, jaż bełem na zemni.

— To może bec! — ciwnął czort.

Ale chłopok opowiodoł dalij:

— Jak jo beł w niebie, tej jo widzoł, że mój ojc w twoigo ojca gnój wozel. A jak on nie choł cygnąc, tej on go rzemiannym batodziem podgonioł, a tak smarowoł, że mie jaż żol beło.

— To ni może bec! — krzyknął zły duch tak rozgorzony, że jaż na chwilę oprześciół mnieszac w ogniu. — Mój ojc je Lucyper i króluje w piekle.

— Tero le mnie dej pełny cieszynie piniędzy! — rzek chłopok.

Rod nie rod zły duch mu muszoł dać tero od tych piniędzy pełny cieszynie...«

Gdy tłumacz wyłożył z mozołem cały tenor tej historyi, król wielokrotnie zażywał tabakę, otrząsał z pasyą palce i cierpko się uśmiechał.

Polecił tłumaczowi, żeby powiedział Kaszubie, iż podoba się panu jego opowieść. Dobrze jest, że na Pomorzu zaczyna już człowiek choć dyablēm gnój na pole wywozić. Lepiejby było, żeby go wywoził bardziej zwyczajnem bydłēciem, naprzykład, koniem lub wołem, a przy tej okazji i ziemię lepiej uprawiał.

Co do dyabła, to na Pomorzu, i zgoła wszędzie w tem państwie, trzeba jegomości opanować i zaprządz do wywożenia nawozu, a batem, w istocie, rznąć od ucha, żeby i z niego był jakiśkolwiek pożytek. Pieniędzy zaś dostaną za bajkę nie »pełny cieszynie«, tylko obadwaj, Kaszuba i tłumacz, jeden na obudwu talar pojedynczy. Wręczył monetę swym gościom i skinął na obudwu, żeby sobie już szli spać, ile zechcą. Już ich nie potrzebował. Gdy sam znowu został wśród nocy i ciszy wrócił do swych papierów. Ale nie czytał już raportów, nie przeglądał wykazów, nie pisał rozporządzeń. Opanowała go niepodzielnie poetycka wena. Nadeszło to właśnie po rozmowie z Kaszubą. Wena była niestrzymaną pasyą na Polskę i Polaków, szyderstwem z nienawistnej »*liederliche polnische Zeug*«...

Odnalazł w tece dawniejszy swój poemat w pięciu pieśniach pod tytułem: »*La guerre de Confédérés*«. Był to jeden z sześciu egzemplarzy, które pozostały z ogólnej liczby dwunastu, drukowanych u Schmidta w Berlinie, po rozesłaniu ich zaufańcom. Żaden temat nie dostarczał znakomitemu autorowi równie obfitego materiału do rozweselenia się, jak ta sprawa Konfederacji Barskiej. Z lubością odczytywał sobie teraz własne szyderstwa rymowane z Sejmu 1763 roku. Na Sejm ten przybywa »Głupstwo«, a znalazłszy Polskę taką, jak po stworzeniu świata, ciemną i nieokrzesałą, — tychsamych starostów, żydów, niewolników i senatorów pijaków, poznaje swój lud po jego władzach i przymiotach umysłu, to też udziela mu błogosławieństwa. Odczytywał z uczuciem żywej satysfakcji:

*»Avec plaisir elle vit la Pologne
La même encore qu'à la création,
Brûte, stupide et sans instruction,
Staroste, juif, serf, palatin ivrogne,
Tous vegetaux qui vivaient sans vergogne.
Je reconnais mon peuple à son esprit —
S'ecria-t-elle, et sitôt les benit«.*

Teraz po wszystkim, co w tej podróży zobaczył, powziął w natchnieniu plan napisania nowego na Polskę paszkwilu, gdzie zamierzył wykazać niewolę chłopów, sprzedajność klas wyższych, rozpasanie namiętności, lenistwo, oraz wszelkie inne wady, cały obraz zgnilizny, który poznał dokładnie, przedewszystkiem za pośrednictwem Brenckenhoffa od agentki pruskiej

w Polsce, hrabiny Skórzewskiej. Pierwszą rzeczą był, oczywiście, efektowny tytuł poematu. Wykombinował go w sposób następujący i właśnie rzucił na papier:

»L'orang-outang de l' Europe ou le Polonais tel qu'il est, ouvrage méthodique qui à remporté un prix d'histoire naturelle en 1779«.

Generał Dąbrowski, wzięwszy ze sobą batalion majora Sierawskiego i batalion pułkownika Fiszera, ruszył chyłkiem według wskazówek chłopca, nazwiskiem Ćwikliński. Po wertepach, dołach, parowach, przesadziwszy płoty ogrodów, parkany i rowy, dotarł do bramy Wodnej, czyli Wiślanej. Brama w istocie była napoły zepsuta i bez obrony. Bataliony wyłamały ją, weszły do miasta, przebiegły tylne ulice i z nastawionym bagnetem rzuciły się na osłupiałych Niemców. W tejsamej chwili zdruzgotane kulami wierzeje bramy Gdańskiej runęły i wojsko z północy wdarło się do miasta. Prusacy strzelali z okien i drzwi. Wreszcie, kiedy i Zachodnią bramę rozwalono, załoga w sile pięciuset ludzi z dowódcą — poddała się. Zabrano działa. Chwymano niewolnika, zabierano bagaże i broń, uprowadzano konie, albo zdzierano z nich uprzęż, ściągano wozy do przewiezienia z pola rannych, chromych i osłabionych.

Stanęły wreszcie wojska w mieście.

Rozeszła się wśród nich wieść, że opanowane są Skarszewy i Miłobądz, a nieprzyjaciel z pośpiechem cofa się w mury fortecy. Wtedy jeden okrzyk rozległ się w szeregach:

— Na Gdańsk! Ku morzu!

Młody żołnierz polski ruszył teraz śmiało spod zdobytego Tczewa na tajemniczy ów Gdańsk, ku niewidzianemu jeszcze morzu. W początkach marca, w wietrzny dzień, idąc od Miłobądzka gdańskim gościńcem, młoda armia ujrzała wielkie dymy i migające wśród nich czerwone i złote płomienie. To Prusacy podpalili gdańskie przedmieścia, zamykając się przed oblężeniem w fortecy. Płaskie niziny słały się wokół, zwłaszcza na wschodzie, za wielkim szlakiem Wisły. Oficerowie pokazywali żołnierzom widny z oddali czerwony zamek w Malborgu. Z zachodniej strony zaznaczały się wzgórze i lasy. Drzewny we mgle szlak wierzb i brzoź znaczył drogę bitą i krzyżownice boczne, zdążające w tamtą północną stronę, gdzie słały się po ziemi bure i śniade dymy. Serce żołnierza napełniało męstwo młodociane, kawalerska beztroska i wyższa ponad wszystko ciekawość. Lecz, — o, gościńcu gdański, strzelista i równa drogo! — ty wiesz, ile na tobie twardych legło kamieni i jak ścisła serce twój widok! Podspodni lęk wił się nad tobą chyłkiem, niewidokiem, wiekuisty szatan dusz, nie mający kształtu, nie posiadający figury swej, podobny do kłębow dymu. Tajne uczucia migwały w nim, jak ogień, nie wiedzieć, co pożerający. Dymy rozpościerały się, lub składały, niby skrzydła olbrzymie, już to zapraszając obłudnie, pociągając zdradziecko, już zamykając widok nazawsze w ciemnicy śmierci wiecznej. Młoda brawura szła wprost w dymy, nie bacząc na lęk wewnętrzny, lekceważąc sobie dyabła samego. Wszystko jedno, co było na drodze, byleby u jej końca czekało zwycięstwo! Dym się wił ponad drogą, zdawał się o zwycięstwie

zapewniać, ale zarazem z tegoż zwycięstwa chichotać. Ileż to już razy wałęsał się pośród tych okolic, towarzysząc zwycięscowi i słuchając zwyciężonych szlochania! Ileż to razy tańczył nad drewnianymi chatami tych stron, gdy na nie klęska wojny spadała! Owijał się, jak sztandar powabny dookoła strzelistych wież gdańskich. Chmurą czarną zwiisał nad urodzajnymi nizinami, niby dumanie głębokie nad dziejami zniszczenia pracy człowieczej, w którym śmieszny ród ludzki lubuje się nadewszystko. Pełzał okrwawionemi smugami po przedmiejskich ulicach, których, obiedwie strony czarne zgłiszcza obległy. Podrywał się z ziemi i wypadał pod chmury niebieskie w zawrotnym, radosnym tańcu.

Dywizya odpierając i pędząc przed sobą pruskie oddziały, przybyła wreszcie na wzgórze, otaczające fortecę. Wdarła się na ich szczyty. Leżał przed oczyma żołnierzy stary Gdańsk w wieńcu krwawych dymów. Rdzawe wieże maryackiego kościoła, strzeliste gzygzaki Franciszkanów, igła z pozłocistą figurą króla na prawomiejskim ratuszu, ruda masa kościoła świętego Piotra, ciemno-zielone szczyty świętej Katarzyny, szczytnica Karmelitów, wielki kwadratowy słup świętego Jana — i wszystkie inne ostrokończyste, lub zakrąglone kształty wież wychylały się raz wraz z za czarnej dymu zasłony. Widzieli rzekę od północy, sztuczny zalew od południa i wschodu, oszańcowaną wyspę Holm w wód rozwidleniu, daleką wieżę fortecy Wisłoujścia, przed stu laty odbudowaną po pożarze, — oraz twierdzę nad samem już morzem, Neufahrwasser. Mieli przed sobą od zachodniej strony forty góry

Gradowej, góry Biskupiej, Stolzenbergu i Wrzeszcza, tworzące mocną linię obronną. Oficerowie tłumaczyli żołnierzom, iż zadaniem dywizji jest wdrzeć się między Gdańsk i Wisłoujście, odciąć miasto lądowe od fortu i dostępu do morza. Żołnierze spoglądali na to miasto i jego okolice, jakby na wielką mapę wojenną, przed ich oczyma rozpostartą. Widzieli drogi, idące od zachodu, skąd miało postępować regularne oblężenie, szturm na roboty gdańskie. Od wschodu i południa widzieli świeże umocnienia, wzniesione przez Prusaków i Moskali na wyspie Holm i na gdańskiej mierzei.

Za daleką Wisłą, za Nogatem, we mgłach wiosennych stała wśród swoich warownych stanowisk armia francuska. Wielki jej wódz miał główną kwaterę w zamku Finkenstein, czuwając nad Gdańskiem i nad Ostródą. Sto siedemdziesiąt tysięcy ludzi, uzbrojonych we wszelką broń zajmowało w wyciągniętych stanowiskach całą linię Wisły i Narwi. Wszystkie te korpusy po dwu dniach marszu mogły stanąć pod Ostródą. Gdy generał pruski Lestocq usiłował przebić się poprzez linie francuskie ku Gdańskowi, został odepchnięty pod Brunsbergą. A gdy wódz rosyjski Bennigsen uderzył na korpus marszałka Ney'a, Napoleon zebrał większą siłę i wyparł rosyjan pod Guttstadt.

Wszystka siła francuska, wraz z wodzem, czekała na zdobycie Gdańska, ażeby, mając tyły zabezpieczone w zupełności, odrzucić armię rosyjską od brzegów morza, przerwać jej komunikację z fryskim zalewem, odebrać zasiłki, które morzem otrzymywała, rzucić się

na Heilsberg i odciąć armię od Królewca, czyli rozłączyć Prusaków i Moskali.

A tymczasem z dwu stron na odsiecz Gdańska zbliżały się wojska rosyjskie i pruskie. Generał Kamienskoj w siedm tysięcy ludzi lądował w Neufahrwasser. Pułkownik pruski Bülow we trzy tysiące posuwał się ku Wisłoujściu gdańską mierzeją.

Nie zwlekając, kawalerya Sokolnickiego uderzyła na nich z całą forsą. Strzelcy legii północnej odbili przy pomocy gwardyi paryskiej ataki na redutę Holmu i mierzei. Legia północna i legia Jana Henryka Dąbrowskiego wzięły udział zarówno w oblężeniu Gdańska, jak w atakach od strony Żuławy. Legia północna zdobyła forty Wrzeszcza. Amilkar Kosiński sforsował Stolcenberg. Wtedy można było założyć paralele regularnej walki oblężniczej. Prusacy uderzyli z boku, od strony Szydlickiego wąwozu i zmusili batalion Malczewskiego do odwrotu. Tłum kozaków wypadł z twierdzy, a szarża pruskich dragonów rozbiła dwie polskie kompanie. Wówczas Dziewanowski powiódł swych ułanów do kontrataku. Sokolnicki z garścią jazdy wpadł na tyły wroga, Weyssenhof sformował piechotę, wreszcie biegła z pomocą artylerya Charelota, która tyle dokazała przy zdobyciu Tczewa. Sam marszałek Lèfebvre - Desnouettes poprowadził na bagnety batalion pułku drugiego, szefowstwa Downarowicza. Sam porwał bęben i przyspieszonym krokiem pędził ku nieprzyjacielowi. Atak świetnie się powiódł. Wzięto Cyganią górę bagnetem i zapędzono się aż pod same mury fortecy.

W atakach od strony Żuław raniony został puł-

kownik Downarowicz. Poległ na mierzei szef batalionu Parys. Wielu oficerów dało życie. Krwią swoją zafarbowali wody Leniwki i Motławy, ażeby ludziom gdańskim wolność wywalczyć. Z bezprzykładną furią walczył pierwszy batalion drugiego pułku. Kamienskoj musiał się do Neufahrwasser wycofać. Bülow zmuszony został do odwrotu wzdłuż mierzei, ku Pilawie. Wówczas to około trzech tysięcy polaków uszło z twierdzy i do swoich znaków przystało. Zbuntowała się załoga Wisłoujścia i poddała twierdzę francuzom. Piechota polska zdobyła fregatę angielską »*Sans-peur*«, wiozącą amunicję do fortecy. Artylerya polska świetnie ostrzeliwała forty Gradowej góry.

W drugiej połowie maja ze szczytu wyniosłej ponad Wrzeszczem góry, rozmiękłą po deszczach, gliniastą drogą schodził o lasce ranny w nogę podczas zdobywania Tczewa generał Jan Henryk Dąbrowski. Odwiedził był syna, ciężkimi okrytego ranami, który się w klasztorze oliwskim leczył od kilku miesięcy. Komendę nad dywizją objął był tymczasowo Amilkar Kosiński, — po nim Giełgud. Towarzyszyło twórcy legionów kilku oficerów. Ci objaśniali mu stan rzeczy i opowiadali o dokonanych wypadkach. Jeden wskazywał mu dymy dalekie ciągnące się nad wygiętą mierzeją. To tam czwarty pułk Ponińskiego miał już swoją kwaterę, zdobywszy Sienną Budę w krwawej bitwie. Inny opowiadał, jak żołnierze brnęli w wodzie, wysoko niosąc broń i sakwy z patronami, krok za krokiem, w boju zdobywając pruskie na mierzei stanowiska. Jeszcze inny pokazywał punkt daleki, gdzie brygada Schramma o brzasku marcowego dnia, pod-

płynąwszy na berlinkach pod prawy brzeg Wisły na-
prost wsi Fürstenwerder, wyszła na brzeg w ogniu
dwudziestu dział baterii pruskiej, które broniły tego
umocnionego stanowiska. Opowiadano wodzowi, który
z innego placu boju przybywał, jak to idąc krok za
krokiem pod ogniem dział z Wisłoujścia i Neufahr-
wasser, Weyssehof budował redutę dla odcięcia Gdań-
ska od morza. O kilkaset kroków od wybrzeża kopano
rów komunikacyjny, prowadząc go z lasu ku Leniwece
a następnie naprzeciwko cypla wyspy Holm wyrzucano
głęboką redutę. O świcie, ujrzawszy robotę, w nocy
przez pułk polski dokonaną, Prusacy i Moskale rzucili
się z miasta. Uderzyły działa z Wisłoujścia. Lecz pułk
uderzenie wytrzymał i zachował swe miejsce w wyko-
panych rowach. Następnej nocy pogłębił i zakończył
rowy. Na nic się już nie zdały wszelkie wroga wy-
siłki, ażeby zniszczyć te dzieła ziemne, które nosiły
nazwę »Numer Dziesiąty«. Z zapałem i dumą wszyscy
oficerowie opowiadali na wypródkę o zdobyciu wyspy
Holmu. Według ich relacji, Weyssehof strzegł re-
duty z częścią pułku czwartego, a kompanie wołty-
żerskie i grenadyerskie pod dowództwem podpułkow-
nika Kamińskiego posunęły się lewym brzegiem Wisły,
prawym Motławy, w stronę Gdańska. Po nocy w kry-
pach przebyły rzekę i wdarły się na umocnione szańce
wyspy. Dwa bataliony rosyjskie, broniące osuchu, zo-
stały tym nagłym atakiem zaskoczone. Wybito je ba-
gnetem, wystrzelano, wytopiono w Motławie. Ledwie
połowa tych Moskali poszła w niewolę. Druga po-
łowa śmierć znalazła w rowach i szanicach krwawego
okopu.

Generał, wysłuchawszy tych raportów, sprawozdań i luźnych opowieści, poprosił oficerów, żeby go tutaj zostawili samego, gdyż życzy sobie w milczeniu rozpatrzyć pozycyę. Gdy odeszli, zasiadł na pniaku obok drogi, ręce skrzyżował na kiju. Wodził oczyma po tym świecie rozległym. Miał przed sobą miasto, Leniwkę, Motławę, wyspę Holm, równiny Brzeźna ku Gielatkowu, — a w oddali morze. Szare smugi, jaśniejące w ciemnej ramie ziemi. I oto wzdrygnięcie głuche ruszyło się znagła w piersi wielkiego żołnierza. Szloch krótki. Po nim ścierpięcie krwi w żyłach. Mróz w szpiku kości. Uśmiech szczęśliwy zajaśniał na wargach.

— Moskale i Prusaki, — marzył z cicha, chichocząc, — tutaj razem, w tem gnieździe. Na wyspie Holm, u bramy zielonej Gdańska, — Moskale na straży. A moje młode Wojtki i Wawrzki w nich pospołu! Ten Holm wzięli.

Przyszedłem, — poszepnął do siebie, kiwając sennie głową. — Przyszedłem na miejsce, aż do morza. Zdala, zdala. Zza siedmiu gór, zza siedmiu rzek. Nie małam pogubił braci. Poginęli mi najmężniejsi w długich drogach, w zażartym boju. Słuchajcież wy, co śpicie w ziemi włoskiej, w ziemi francuskiej, w Szwajcarach, w niemieckiej ziemi: pognębiony jest Krzyżak i pognębiony jest Fryderyk! Szatan na wieki powalony jest o ziemię! Prawica boża popchnęła cesarza Francuzów i jego armie, ażeby tu szły miażdżyć szatana. Ludy obce — Franki, Bretony, Burgundy, Szwajcary, Belgowie, Holendry, Włochy, Badeńczycy, Sasy — musiały przyjść tutaj, nad Wisłę, tylekroć od wrogów

naszego plemienia jarzmioną. Musiały wbród ją przekroczyć i tam na ziemiach straszliwej zbrodni krzyżackiej za dzieło sprawiedliwości krew wylewać. A ja sam z ziemi włoskiej przyszedłem tutaj i patrzę oczyma żywemi — w morze! Oglądam dokonane dzieło, którem w duszy wypiastowałem! O, Boże!

Niemąła bieda zdarzyła się była w domostwie rybaka Jana Kąkola w Chałupach, — to jest, poprawdzie, w Ceynowie, — na Helu. Ojciec i podpora rodziny, Jan Kąkol, srodze a bez powodu zaniemógł. Wielkie go nawiedziły boleści, zwłaszcza w żołądku i w pasie, niemniej jak w głowie i w kościach, aż z dnia na dzień coraz bardziej słabnąc, rzeczony Jan Kąkol na całym ciele spuchł fenomenalnie. Strapiona małżonka chorego, gdy z domowych a wszystkim wiadomych leków żaden nic nie pomógł, sprowadziła była z Pucka pokątnego lekarza, imieniem Stanisław, a nazwiskiem Kamiński, który, — aczkolwiek z racji złośliwego oskarżenia o szalbierstwo, czterokroć już w kryminalne cierpiał, a po raz ostatni dopiero co z domu karnego w Grudziądzu wypuszczon, wrócił do lekarskiej praktyki, — istotnie w rzeczach powracania zdrowia narodowi kaszubskiemu wielką cieszył się wziętością w całym państwie Rzucewskim, tudzież na Helu, jak długi. W ciągu dziesiątka dni medicus Kamiński przebywał w Chałupach, a ściślej mówiąc, w mieszkaniu Jana Kąkola, wszelkiemi sposoby i medykamenty lecząc chorego. Sporządzał różne dekokty i napoje z ziół i proszków, które ze sobą z apteki w Pucku przywiózł, — gotował kąpiele gorące, przed-

siębrał wszelakie wiadome sobie zabiegi i wydawał rodzinie różnorakie do spełnienia rozporządzenia, zmierzające ku pokonaniu słabości. Wszystko to przecież zostało bez wyraźnego skutku. Chory był taksamo opuchnięty, jak przedtem, i jęczał z bólów, targających mu wewnątrz.

Wobec takiego stanu rzeczy, po wyczerpaniu wszelkich medycyny arkanów i sposobów, medicus Kamiński przyszedł do nieuniknionego przeświadczenia, iż Jan Kąkol musi być oczarowany i nawiedzony od dyabła. Jako środek na tak fatalne położenie, zalecał dobrze rozejrzeć się we wsi, ktoby to mógł być taki, który nieszczęśliwego urzekł, ponieważ możnaby takowego złośnika do wypędzenia czarta przymusić. W Chałupach oddawna panowało domniemanie, wielokroć w zupełną przechodzące pewność, iż wdowa Krystyna Ceynowa, matka dwu dorosłych córek, Anny i Maryanny, oraz trojga dzieci nieletnich, zajmująca się wiązaniem sieci rybackich, jest czarownicą złośliwą. Niewiasta owa skoro tylko popadała z kimkolwiek w zwadę, kłótnię, zajście sąsiedzkie, złorzeczyła, ciskała przekleństwa, wyzywała złe i życzyła złego, co się też wielokrotnie spełniło, gdyż ludzie przez nią przekłęci wnet chorowali. Zdarzyło się też wielokroć we wsi, że było niespodzianie i bez przyczyny chorzało i zdychało, a był nawet przypadek, iż czternastoletnia dziewczyna, wskutek działania sił nadprzyrodzonych, które ta zła kobieta ode Złego odebrała, — zesza ze świata. Wskutek orzeczenia lekarza Kamińskiego, powszechne podejrzenie w pewność się zamieniło. Cała wieś Chałupy rozbrzmiewała od jednogłośnego żądania, ażeby

wdowę Ceynową zmusić koniecznie do wypędzenia czarta, którego swemi przekleństwami weгнаła była w Jana Kąkola. We wszystkich checzach tylko o tem mówiono i ogólne było żądanie skończenia już raz z czarownicą. To też dnia trzeciego sierpnia tego właśnie (1836) roku rybacy Jakób Ciskowski z Gniezdowa, Piotr Budzisz i Piotr Kąkol, przysiężnicy z Chałup, zeszli się w szynkowni, a wypiwszy coś niecoś dla kuraju, oraz większą ilość stateczków bajryszu, posłali po sołtysa. Ów zaś sołtys, młody, dwudziestotrzyletni Jakób Freudel, syn zmarłego przed pięcioma laty starego sołtysa Freudela, uczył się był przez trzy zimy w Swarzewie zasad religii w szkółce tamecznej, mówił coś niecoś po niemiecku, gdyż służył później w wojsku, w piątym gdańskim pułku. Po reklamacyi wrócił do Chałup i objął po ojcu urząd sołtysa, żywiąc matkę i sześcioro rodzeństwa. Przysięgły Kąkol wezwał sołtysa, ażeby niezwłocznie zwołać mieszkańców całego osiedla Ceynowy, gdyż uczony Kamiński chce wskazać ludziom czarownicę, która wśród ogółu zło szerzy. Sołtys, sam wierzący w czarownice i w siłę wolnego ducha, — dał się nakłonić i rozesłał klukę, czyli narzędzie z drzewa, w które się wkłada rozporządzenia urzędu. Wkrótce na sołectwie, w mieszkaniu Jakóba Freudela zgromadzili się wszyscy mieszkańcy wioski, mężczyźni i kobiety: — Filip, Tomasz, Piotr i Jerzy Budzisz, Andrzej Komka, Jan Necka, Jan, Józef i Jakób Muża, Jakób Ciskowski, oraz Katarzyna Freudel, Klara Necel, Katarzyna Budziszowa, żona Jana Kąkola i inne. Wówczas przybył Stanisław Kamiński. Okazałym gestem polecił mężczyznom stać w izbie po

prawej ręce, niewiastom — po lewej. A gdy się wszyscy we dwa ustawili szeregi, Kamiński wskazał na wdowę Krystynę. Obadwaj przysięgli wyprowadzili zaraz czarownicę z domu. Kamiński wyszedł również na podwórze i zaczął z miejsca bić Ceynowinę po głowie pięściami. Sołtys Jakób Freudel nie przeszkadzał mu w tej praktyce, albowiem sądził, iż taki gwałt należy do naukowego rytuału, do szeregu konieczności niezbędnych, zmuszających czarownicę do wypędzenia czarta z chorego Kąkola. Wdowa Ceynowina usiłowała wyrwać się z rąk medyka i w stronę Wielkiej wsi uciekać. Lecz przysięźnicy i ów Jakób Ciskowski z Gniezdowa dogonili ją i sprowadzili przed wzburzoną gromadę. Wtedy Kamiński podejmował z ziemi co grubsze kamienie i walił nimi w występna, gdy ją do chorego prowadzono. Wepchnięta znowu do domu Kąkola przez sołtysa, przysięgłych i Ciskowskiego, Ceynowina z wielkiego załęknięcia milczała. Dopiero gdy ją sam chory Kąkol kijem zdzielił, a Ciskowski na ziemię obalił, Kamiński zaś tego obcasem począł w głowę kopać, deptać nogami, a inni znowu żgąc leżącą ostremi narzędziami, zaraz zmiękła i przyrzekła, iż chorego uleczy. Wtedy jej wstać pozwolono. Poczem przystąpiła do oczarowanego Kąkola i przetarła go dłonią po brzuchu, mówiąc:

— Janku, tobie już będzie lepiej...

Wobec tego sołtys i wszyscy i inni opuścili mieszkanie Jana Kąkola. Żeby zaś czarownica uciec nie mogła i żeby jej już więcej bez potrzeby nie poniewierano, sołtys zostawił w izbie dwu tęgich, młodych Budziszów, Józefa Pierwszego i Józefa Drugiego dla

straży, a z surowym nakazem, ażeby jej zaś nie wypuścili z mieszkania. Dla zupełnej pewności lekarz Kamiński spał tej nocy w jednym łóżku z czarownicą.

Sołtys, przekonany, że Ceynowina była podwładną złego ducha, czyli posiadającą moc sprowadzania chorób, poczytywał za rzecz najślusniejszą przymus usunięcia choroby, którą Janowi Kąkolowi zadała, — zwłaszcza, gdy obiecała to wykonać. Uważał, iż wdowa czarta wypędzi, choroba minie i na tem cała sprawa do spokojnego przyjdzie kresu. Mniemał, iż wszystko, co się w jego obecności dokonało, miało cel pożyteczny, to też z zupełnym spokojem udał się do Wejherowa, gdzie miał w landraturze wyznaczony termin.

Tymczasem następnego ranka chory Jan Kąkol wcale nie wyzdrowiał, a więc obietnica czarownicy, poprzedniego dnia uczyniona, dotrzymana nie została. To też biegły w tych sprawach Kamiński zarządził, ażeby ją zawieźć na morze. Cały tedy tłum ludzi, na wypródki się śpiesząc, wrzucił Ceynowinę na wóz i w otoczeniu wzniesionych kijów, pięści, wśród klątw i zniewag, powiózł poprzez półwysep i pażycę nad Małe Morze. Tam na strądzie mocno jej ręce związane postronkami, wepchnięo w łódź i wywieziono na głębiny wiku. Rybacy przywiązali skazanej linę do pasa, a samą ująwszy za bary i nogi, rzucili w wodę. Widzieli wszyscy stojący na brzegu, którzy wśród wrzasku wielkiego na dzieło patrzyli, i widzieli wiosłujący na łodzi, iż się czarownica przez kilka chwil na wodzie trzymała, nim spodnice jej wodą nasiąkły. Gdy zaś poczęła w strachu śmiertelnym poprzysięgać

się, iż do dwunastej godziny w południe tego samego dnia wyleczy urzeczonego Jana Kąkola, mimo iż już szła na dno, wyciągnięto ją liną z topieli i na brzegu morskim złożono. Tam jej znawca Kamiński podał do wypicia szklanekę święconego wina.

Zaprowadzono ją do chorego powtórę i czekano cierpliwie a spokojnie, aż do dwunastej godziny. Stał i czekał w tłumie innych rybacki syn z Kusfeldu, wsi o milę od Chałup odległej, Marcin Budzisz, człowiek czterdziestoletni, bezżenny, zajmujący się wiązaniem sieci. Zimową porą, gdy dzieci rybaków w Chałupach nie mogły uczęszczać do szkoły odległej w Wielkiej Wsi, lub w Kusfeldzie, — a na miejscu szkoły nie było, — Marcin Budzisz przychodził, jako nauczyciel wędrowny, i za wynagrodzeniem uczył dzieci rybackie od grudnia po Wielkanocne święta z polskiej książki modlitewnej katechizmu, nie całego wprawdzie, lecz tylko dziesięciorga przykazań i »Ojciec nasz«, gdyż duchowny Swarzewski, ani ksiądz Tulikowski, dziekan z Pucka, nie wymagali więcej. Marcin Budzisz za młodu uczył się w szkółce kusefeldzkiej, u nauczyciela Brockmana sztuki czytania po polsku na książce do nabożeństwa. Po niemiecku nie mógł ani jednego wyrazu, lecz po polsku każdą książkę mógł czytać, a nawet potrafił cokolwiek, ale bardzo słabo i z trudem, prócz podpisu swojego nazwiska, piórem po polsku wyciągnąć. Ten to Marcin Budzisz był sam jeden w gromadzie innego zdania, niż wszyscy obecni. Wyszedł tedy na środek i twierdził, iż jeno Bóg sam jeden ma wszelką siłę i On to jeden daje ludziom, jeżeli się do niego szczerze modlą, moc sprowadzania chorób,

a więc taksamo tylko przez mocną wiarę i żarliwą modlitwę może człowiek chorobę usunąć. Lecz to przy-mówienie się Marcina Budziszka żadnego nie wywarło wrażenia. Gdy do godziny dwunastej w południe puchlina nie zeszła i bóle nie ustąpiły wcale, tłum chałupianów na rozkaz ostateczny Kamińskiego, wśród strasznych krzyków, w szale bezprzykładnego gniewu, wrzucił Ceynowinę na wóz powtórnie i, wspólnem biciem popędzając konia, zawiózł nad morze i wepchnął do łodzi. Oczy były od szału wywalone i wściekłe. Gardziele zaschły od krzyku. Pięści były zaciśnięte i każda chwytiała za kamień, kołek, nóż lub powróż. Zdarto z czarownicy szkaplerz, ażeby jej już nie bro-nił i dano jej wypić powtóre szklanicę święconego wina. Gdy łódź, odepchnięta od brzegu wiosłami kilku tęgich rybaków, wybiegła na morze, tłum na brzegu zawył, żeby czarownicę wrzucić w wodę coprędzej. Tak się też stało. Dwaj najtężsi maszopi, stojąc okrakiem na poganiaczach łodzi, podźwignęli za ramiona i nogi bezwładną kobietę, rozhuścili ją w powietrzu i cisnęli daleko we wodę. Opita od święconego wina i pozba-wiona szkaplerza, poszła na dno, jak kamień. Tłum chałupiański na brzegu uradował się niepomału, widząc, iż morze wchłonęło nareszcie występnię. Rozchodzono się już z wolna, gdy rybacy wyciągnęli długą liną trupa topielicy. Pozostawiono go z pogardą na piasku wybrzeża ku podziwowi morskich wron i przestrachowi kulików.

We dwa dni później, powziąwszy wiadomość o ka-rze, przybyła do Ceynowy starsza córka utopionej cza-rownicy, Anna, służąca w Gdańsku. Zamieszkała w domu

matki z nieletniem rodzeństwem. Anna była w ostatnich dniach ciąży. Tłum mieszkańców Ceynowy przeczytywał całą rodzinę skazanej za ród czarowniczy. Przeciwko Annie zwróciła się powszechna nienawiść. Żony rybaków podchodziły pod okna chaty wyklętej i wyzywały Annę, śmiercią jej grożąc, albowiem medyk Kamiński oświadczył, że i Anna jest czarownicą, kto wie, czy nie gorszą od matki.

Gdy zaś Kamińskiego i dziesięciu ojców rodzin odprowadzono pod konwojem wojskowym do inkwizytoryjatu w Kwidzynie, nienawiść do Anny wzrosła dziesięćkrotnie. Pewnego dnia Piotr Kąkol, syn Marcina, którego zamknięto w Grudziądzkiem więzieniu, rzucił się na Annę Ceynowiankę z rydlem i zadał jej w głowę rany tak ciężkie, iż się w niebezpieczeństwie życia znalazła.

Zdawało się jednakże, że dyabeł po śmierci starej Ceynowiny nie ma już nad Chałupami władzy tak mocnej, jak przedtem. Nie miał już, widać, nikogo, kogoby mógł obdarzać nadsiąłą do szkodenia ludziom w tej wiosce. Spokojnie miały fale morza srebrzyste wodne pyły na jasne piaski wybrzeża. Rybak bez trwogi wybiegał na tonie dalekie i ufnie zarzucał sieć w morze. Aliści pewnego dnia posłyszano ze drżeniem, że pewna kura, chodząca po dziedzińcu rybackiego osiedla, poczęła w biały dzień piąć, jak kogut najtęższy.

Przerażenie ogarnęło wszystkie kobiety w Chałupach. Była to bowiem rzecz bardziej, niż oczywista, iż duch utopionej czarownicy Ceynowiny, będący ze Smętkiem w komitywie, wcielił się w kurę, w niej się schował i spokojnie błąka się po wsi. Z tego zaś wy-

nikało przecie, iż w domu, po którego podwórzu taka kura chodzi i pieje, ludzie po kolei będą wymierali. Zwołani z morza rybacy przybiegli na miejsce. Cała ludność zebrała się na nowo. Radzono. Takie i owa-
kie były zdania. Wreszcie w uroczystej procesyi wyruszyli wszyscy obecni w kierunku kurnika, w którym zaczarowana kura się kryła. Odnaleziono ją, zbadano i stwierdzono na mocy zeznań świadków, iż z wszelką pewnością to ta właśnie piała, jak kogut.

Wówczas procesya mężczyzn i kobiet wyniosła kurę, opętaną od dyabła, za wieś, nad morze. Tam w lesie, odnalazłszy stare, suche drzewo, związano kurze dyabelskie pazury i, obróciwszy jej łeb na dół, powieszono za nogi na suchej gałęzi. Długo nie chciał Smętek opuścić swego nowego mieszkania. Długo kura trzepała się zawzięcie. Czekano cierpliwie całą gromadą, dopóki w oczach wszystkich urzeczona kura nie wyzionęła podłego ducha, skażonego przez obrzydliwego inkuba. Dopiero, gdy z rozwartego w dół dzioba wyskoczył w piasek dyabeł, jego sztuki do pewnego czasu i stopnia wytępione zostały na Chałupach.

Łódź podwodna »U. 72 a«. stała gotowa do drogi w gdańskim schronisku. Od dwu tygodni przymusowo tutaj gościła, dowlókłszy się z Bałtyku do najbliższego punktu oparcia, dla reparacyi pewnych uszkodzeń swoich w jednej z komór *water-ballastu*. Uszkodzenie powstało z drobnej przyczyny: mały kamyczek okrągły, wielkości mniej, niż gołębiego jaja, nie wiadomo jakim sposobem przedostał się do jednej z robinet, przez które komory, obciążające łódź wodą, komunikają się bezpośrednio z otchłanią morza. Kamyczek ów zaparł otwór i gdy powietrze ścieśnione, pchnięte z basenów przez kierownika łodzi, nie mogło podołać zadaniu wydalenia całkowicie brył wodnych z komory o zatkanym otworze, ściany tego naczynia doznały uszkodzeń rozluźnień i skrzywień. Doprowadzona przez mechaników stoczni do porządku, łódź była gotowa i sprawniejsza w każdym ze swych organów, bardziej, niż kiedykolwiek. Komendant tej łodzi, kapitan Otto hrabia von Arffberg-Dusemer, skorzystał z czasu nieuniknionego postoju jego statku i odwiedził rodzinę w majątku dziedzicznym na kaszubskim Pomorzu. Dwutygodniowy termin przebiegł mu, jak jedno nieopstrzeżone mgnienie żrenicy. Młody oficer nie zdołał

oczu przestrzeń, gdy już trzeba było wracać na oznaczoną w rozkazie z góry godzinę i minutę. Wrócił oczywiście, na oznaczoną godzinę i minutę, bez chwili opóźnienia. Na odjeźdźnym mówił do sąsiadów i znajomych, którzy go żegnali, iż czuje się wyrestaurowanym, silniejszym i pewniejszym po przebytych miesiącach w otchłaniach oceanów i mórz, — bardziej jeszcze zimnym, doskonałym i gotowym do czynu, zupełnie, jak jego ukochana »U. 72 a«. W takim właśnie nastroju lustrował statek od końca do końca, od wyrzutni torped, poprzez izbę załogi, pomieszczenie akumulatorów, nawę centralną, kotłownię, maszyny, motor elektryczny, skrytkę oficerską i kesony zabezpieczające. Oglądał okiem znawcy i poskromiciela owe wewnątrz statku dzikie zwierzęta uśpione, które drzemały posłuszenie, gotowe ocknąć się i wybuchnąć na każde jego skinienie w głębokości siedmiu metrów pod wodą. Gładził dłonią olbrzymie cylindry, potężnie nitami skowane, leżące wzdłuż ścian łodzi, lufy gruboskórne, w których wnętrzu zawiera się powietrze ścięśnione, owa siła fundamentalna istnienia, oddechu, działania, zanurzania się i wypływania, a wreszcie moc zadawania śmierci wrogom. Lustrował manometr, dobrotliwy, ostrzegawczy i wskazujący znak, czy dosyć jest dla oddechu powietrza, czy ono jest dostatecznie czyste i jak długo jeszcze trwać może wędrówka pod wodą. Oglądał szczegółowo ster i wały śruby okrętowej, ślniące od pracy i tłuszczu, — tudzież sześć poziomych, siostrzanych sterów do zamykania i otwierania *waterballastów*. Odnowa, pieczołowicie badał swe drogocenne delikatne i precyzyjne przyrządy, z którymi zrósł się

był, stowarzyszył, zbratał, jak z własnymi rękoma, zębami, słuchem i wzrokiem. Obejrzał dokładnie sześć swych torped i oko wszechwidzące — periskop. Wszystko było na wyżynie doskonałości, zaiste bezgrzeszne, niezrównanie czyste, sprawne w ruchu czy czekaniu, i gotowe. Armaty na pokładzie, namaszczone tłuszczem, zdawały się salutować wodza. Ekučila, zatrzaszcząca główne wejście, ze śrubami i mutrami, zlustrowanemi aż do wydalenia najłżejszego pyłu, stała otworem. Wypróbowana załoga z dwudziestu ludzi precyzyjnych, sprawnych w akcji, o sercach ze spiżu, nieulekłych, zimnych, zaprawionych w ogniu i wodzie tak doskonale, jak periskop i manometr, stała w szereg idealny wyciągnięta, oddając pozdrowienie żołnierskie z radosną ekstazą. Drugi oficer łodzi, Konrad Klang, przechadzał się spokojnie wzdłuż wąskiego zewnętrznego chodniczka, na przestrzeni kilkudziesięciu metrów pokładu. W chwili gdy hrabia Otto wszedł z brzegu pokładce na statek, uścisnął w milczeniu rękę Konrada Klanga. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Jakieś półgłośnie mrknięcie wystarczyło obudwu za długość powitalnych wyznań i objaśnienia szczegółów. Pewne spojrzenia, blade lub drwiące półśmiechy, błysk źrenicy, lub poruszenie brwiami wskazywało ten, lub ów drobiazg, gdy zeszli na dół z kijosku komodora do wnętrza. Tam oto coś wyczyszczono na nowo, złożono inaczej papiery, wyprostowano ową zmiętą mapę, zapatrzono dwa sąsiadujące ze sobą łóżeczka oficerów w nowe, iście dziecięce, poduszeczki z inicjałami haftowanemi bladoniebieskim jedwabiem. Ta oto z koroną — dla jego wysokości pana hrabiego. A ta druga,

z ordynarnie demokratycznym *KK* — dla nizinnego Klanga.

Wrócili obadwaj do »nawy« i przez chwilę stali pochyleni nad dolnym zwierciadłem periskopu. Zcicha jeden po drugim, jęknęli na myśl, że oto znowu skazani są na swe wzajem przymusowe braterstwo, wewnątrz tej hermetycznie zakorkowanej butelki.

— A więc znowu, Otto... — mruknął Klang.

— Znowu, mój stary.

— Naniosłeś tu jakiegoś leśnego powietrza...

— Leśnego powietrza... — powtórzył hraba Otto z bladym, nader bladym uśmiechem. Tak radośnie było oddychać, jeśli nie leśnem, to prawdziwem powietrzem! Świadomość, że się niem jeszcze oddycha, uczyniła je nieskalanem, drogiem, miłem, radosnem, a nawet »ojczystem«. Nie mówiąc o tem do siebie, z tej właśnie cechy powietrza uśmiechnęli się z drwiną łagodną. Trzeba było dać rozkaz. To też komodor Otto von Arffberg dał rozkaz. Kładkę odsunięto. Z trzaskiem upadła na kamienie bulwaru. Motorniczy puścił w ruch dźwignie benzynowe, dające szybkość znaczniejszą, niż elektryczne, i łódź drgnęła, zbałwaniła wodę dookoła siebie, a potem szybko posuwać się zaczęła wzdłuż obmurowanych brzegów Wisły. Mijała rozmaite statki, spoczywające w przystani i, jak pocisk, wysunęła się w morze. Nadchodził wieczór marcowego dnia. Brzegi było jeszcze widać. Żółte wzniesienia, rude pochyłości, lasy, niziny... Otto von Arffberg odwrócił się w stronę tych brzegów i patrzył, jakby miał nadzieję, że tam coś dostrzeże. Ale widok dalekiego lądu chwycił go zbyt mocno za gardło. Pętla stryczka nie ścisnęłaby

mocniej! Komodor odwrócił się raptownie i ze zmarszczoną powieką patrzył w morze. Złomy wodne wznosiły się wokoło, chlaszcząc swemi gładkimi ciałami stalowe boki łodzi nieustraszonej. Złośliwe piany raz wraz, z prawej i lewej strony przelatywały przez wąski pokładzik.

Ruchliwe krople zdawały się być uosobieniem ciekawości, chytrem badaniem i szpiegowskim wywiadem morza o tym żelaznym stateczku. Dwaj oficerowie stali jeszcze w kijosku komendanta, pojąc się powietrzem. Żołnierze przemykali się chyłkiem, bez szelestu po chodnikach i wzdłuż balustrady, niby to załatwiając jakoweś czynności, coś tam ścierając, czyszcząc, zawzięcie polerując, a w gruncie rzeczy również ostatnie łyki czystego wiatru podkradając. Składany komin dymił bujną, niebieskawą sadzą gazów Diésela, a zewnętrzny ster, nieruchomy, jak nastawione skrzydła okonia, kierował łódź na zachód. Na zachód! W tę stronę, gdzie zdawała się zwisać czarna koryta, za którą wrzało tajemnicze życie walki, nigdy nie mającej mieć końca. Wnet zatoka gdańska została w tyle. Hel począł uchylać się w piany. Wystrzeliła przed oczy szczecińska smuga ziemi, w oddali już przez noc pochłonięta. Ostre zimno przejęło obudwu oficerów. Zeszli do wnętrza i, nie zamykając jeszcze zawory, a wciąż posiłkując się motorem gazowym, bezpiecznie i szybko płynęli w swą stronę.

Gdy Konrad Klang zaglądał wciąż tu i tam, dawał gderliwe, zręczące i szorstkie dyspozycje załodze, wszyscy wyznaczeni do specjalnych obserwacji i ruchów czynili swą powinność ze spokojem i dokładno-

ścią maszyn, a kucharz okrętowy, biały jak paulin, w swem przezrystem laboratorium, przygotowywał w świetle lamp elektrycznych zimne potrawy, układając je czystemi rękoma na skromnych naczyniach, Otto von Arffberg przeszedł niepostrzeżenie do maleńkiej kajutki oficerów i na składanym stołku spoczął przy swem posłaniu. Zakrył twarz rękoma i w skamieniałej postawie rozważał i oglądał swe sprawy wewnętrzne. Ogarnął go całego, znagła, jak paraliż, — żal niestrzymany, niezwalczony. Silny oficer wiedział, że nie miejsce to przecie i nie chwila na upust i wylewy takiego uczucia, lecz na skutek kontrastu, istniejącego w naturze i konstytucyi człowieka, właśnie tego niestosownego i karygodnego uczucia zdławić nie mógł. Ujrzał przed sobą, ujrzał żywym wzrokiem białą ścianę starego pałacu, fryderykowski pamiętającego czasy, ścianę zagłębioną w ciemny park, jakby się, żywem obdarzona czuciem, tuliła w drzew objęcia. O, drzewa! Jakaż mowa wypowiedziećby mogła wspomnienie ich szumu!... Olbrzymie świerki o konarach rozpostartych po ziemi, po szorstkim, nagim, zimnym gruncie, gałęzie wielkie i dalekie, obwieszzone włochatemi kiściami! Szczyty kołyszące się wśród obłoków marcowych, przepływających nisko nad ziemią! Samotna jodła chwieje się tam wśród puste, rudej łąki. Pień jej, niebieski prawie, przechodząc w szczyt uschnięty, podaje się naprzód i w tył, wahadło żalu w tym ciemnym ogrodzie. Nasunął się przed oczy ów park, równie stary, jak pałac. Niektóre zaś w nim drzewa stare są pewnie, jak okoliczne góry. Rozesłany między cudnemi Pomorza wzgórzami, na ogromnej, wielomorgowej przestrzeni, połączył

się z lasami, które po górach płyną w dal, jako jedna wielka chmura. Długie aleje lip otwierały się przed oczyma, rozcinając park na połowy. Nad smutnym, ciemnym basenem, leżącym w kamiennem łożysku, stały te drzewa obumarłe. Szelest wody spadającej ze zbiornika do niszy kamiennej, wyciosanej w wielkim głazie, łączył się z szumem, który wydają na wietrze konary drzew, odartych z listowia. Za alejami lip, z prawej i lewej strony rozpościerały się półkola iglastych olbrzymów, w czarną masę zwartych, straszących ludzi szumem swym w nocie marcowe. Przypominały się puste łąki, na których samotne, porzucone jodły lub dęby, praszczury tej okolicy, tały w kształtach swych nieodgadnioną dumę czasów, wżgardliwą na wszystko ludzkie obojętność, a przecie wszystko ludzkie pociągającą ku sobie. Daleko trzeba było iść, ażeby trafić do tajemnicy tego parku cudnego. Wśród najstarszych świerków, czarną gęstwiną zarastających płaszczyznę podaną ku górze, nagle trafiało się na tajemnicę: olbrzymia marmurowa tafla leżała wśród drzew na ziemi, lśniąca i czarna. W cieniu poddrzewnym rzucały się w oczy wielkie złożone litery, świadcząc, iż tu leży pochowany hrabia Rudolf von Arffberg-Dusemer, kawaler żelaznego krzyża, porucznik huzarów, dwudziestopięcioletni młodzieniec, który zginął na polu chwały kędyś w głębi Polski rosyjskiej.

Widok w marzeniu tego samotnego grobowca, który w sobie ukrywał zwłoki bohatera, nanowo dreszczem rozkoszy serce przejął. Omdlało nanowo i umierało w sobie skurczem radosnym. Oczy widzą dokładnie ciemną taflę grobowca. Ręka przesuwająca się

po płotku drewnianym z gałęzi świerkowych, po szorstkich sęczkach i igłach. Wyrywa się z piersi szloch głęboki:

— Rudolf! Odpuść!

Ale odpowiedzi niema i odpuszczenia nie będzie. Milczenie zalega.

Woda morza szumi za grubemi szklami okienek. Szybko lecą posłuszne fale. Snują się, biejąc w nocy, jako kształt wciąż jednaki. Milczenie zalega.

Otto von Arffberg ujął głowę swą w obie ręce i trzymał ją tak oburącz, żeby w niej wszystko na wodzy i w ryzach utrzymać. Chwilami bowiem wybuchala w nim męka, jak erupcyja przepotęźnej, niszczącej wszechmocy. Młody komodor przeciągał ręce po twarzy i przecierał oczy. Nachylił się do szyby okienka i wodom lecącym ku wschodowi powierzał to imię — szaleństwo swej duszy:

— Teresal...

Oto krótka tej sprawy historia: Teresa była żoną poległego Rudolfa, przyrodniego brata Ottona von Arffberg. Gdy komodor Otto był na wyprawach dalekich przy pobrzeżach Ameryki, w oceanie atlantyckim, i tam zatapiał okręty amerykańskie, francuskie, angielskie, nie wiedział wcale, że brat jego poległ, że zwłoki jego przywieziono z głębi Polski i złożono w parku rodzinnego miejsca. Ojciec obudwu braci, starszego Ottona i młodszego Rudolfa, już nie żył. W pałacu mieszkała macocha Ottona, z Teresą, żoną Rudolfa, poślubioną przezeń na sześć tygodni przede śmiercią. Młode małżeństwo żyło ze sobą zaledwie parę tygodni. Gdy Otto przybył na wieś, ażeby kilkanaście dni zabawić, pierwszy

raz zobaczył nową swoją bratową, a już wdowę, Teresę. Teresa nosiła żałobę po mężu nie tylko zewnątrznie za pomocą sukien, lecz żałobę duszy. Kochała zabitego równie głęboko, jak kochała swego żywego małżonka, poślubionego z szalonej, wzajemnej miłości. Była sama jedna w ogromnym pałacu, w ogromnym parku, z tą nieudźwignioną płytą marmuru. Położyły ją na grobie ukochanego junaka obiedwie, — nieszczęśliwa matka, hrabina von Arffberg, i nieszczęśliwa wdowa. Teresa biegła codzien na grób męża, — rano, nad wieczorem i w nocy; — wyklęczała tam doły w ziemi czarnej, wilgotnej, łzami wymywała nieubłagane żłobowiny napisu. Pod pokrywą spokoju, nałożonego na twarz, jak maska, za pospieszną gmatwaniną zajęć domowych, za zasłoną lektury, muzyki — tała się straszliwa zgnilizna uczuć żałobnych, bez początku i końca, bez przyczyny i celu. Wlokło się w dal umieranie duszy, brodzenie w koło po topielisku bezpowrotnej i bezcelowej tęsknoty. Książki nudziły Teresę, muzyka ją rozdrażniała, rozmowy z ludźmi napawały taką do dwunogich zwierząt odrazą, iż wołała stokroć szum drzew i szmer wody, polot marcowych obłoków i dalekie rzenie koni. Jedyne pisarz, który z nią rozmawiał językiem zrozumiałym, to był hrabia Fryderyk von Hardenberg, który się przezwał Novalisem. Rozumiała jego wiersze, pisane po stracie narzeczonej. Lubiła powtarzać sobie podczas błędnych w parku wędrówek naiwne słowa:

*»Immer wächst und blüht Verlangen
Am Geliebten festzuhängen,
Ihn im Innern zu empfangen,
Eins mit ihm zu sein.*

*Seinem Durste nicht zu wehren,
Sich im Wechsel zu verzehren,
Voneinander sich zu nähren,
Voneinander nur allein...»*

Ale i te słowa nie zawierały w sobie ani cienia istoty rzeczy, ani podobieństwa uczuć rzeczywistych. Nie był to *Gesang der Toten*, jak zapewniał tytuł utworu. Wiał z tego zbioru brzmień snobizm żywotny, jakże niepodobny do śpiewu umarłych, który huczy w duszy kochającej na ziemi, pustej po stracie! Lecz słowa te przymilały się, łąsiły, schlebiały duszy samotnej spletem swym sztucznym, artystowskim, zrobionym na urząd. Więc powtarzała je sobie, w ciszy parku i lasów, jak zapewnienie o wierności sługi, dobrze wyuczonej. Leciwały dokądś, wciąż dokądś niepowstrzymane obłoki, przesywał serce świerków bezlitosny poszum nocny, darła je woda, przelewająca z miejsca na miejsce wiekuiłą swoją beztroskę. A sprawa była zawsze tasama, tasama, jak kamień, przywalający zwłoki Rudolfa von Arffberg, jak napis na tym kamieniu, wiekuiłą wyrażający bezlitość wszechrzeczy. Teresa nie czuła się tutaj na ziemi z niczem związaną. Czuła się tak samo kosą podciętą, jak Rudolf. Z nim żyła w małżeństwie, ale nadmiernie dalekie rozdzieliły ich przestrzenie. Nieraz w wietrze zimowym, szczególnie na samotnych wśród lasu wyprawach, słyszała jego głos, brzmiały tuż, obok skroni. Zdawało się, że on wydaje jakieś grzmiące rozkazy. We snach bardzo często czuła jego pocałunki. Słowa pływające od miłości wpadały w jej usta, niby ogniste języki. I znowu, po otwarciu powiek, nastawało milczenie.

Dzień spychał dzień i tydzień spychał tydzień. Gdy przyjechał Otto, chodzili na grób Rudolfa we dwoje. Łączyła ich miłość do zmarłego, — ją małżeńską, — jego braterską. Siadali na skraju płyty i trawili godziny w milczeniu, albo wypowiadali wyrazy nie-liczne, — jakąż bowiem mowa mogła ich żal wyrazić? To też dyskutowali nieraz o rzeczach obojętnych. Otto opowiadał Teresie o swych wyprawach, tak dziwacznych, fantastycznych, straszliwych, jak o rzutach w oceanie rekina z ludzką duszą, w jednej osobie piraty, bersekiera i rycerza z bajki. Słuchała go z dziecięcym półuśmiechem, z panieńskim załękniem, napoły wierząc, iż takie sprawy mogły się w istocie wydarzyć. Zbliżyli się wtedy i zespolili duchowo, jak brat z siostrą — w ciągu trzech dni zaledwie. Oto był wreszcie na tej ziemi człowiek, któremu mogła powiedzieć wszystko, co czuje, wyrazić wszystkie żal i nie-tylko żal, lecz wypłakać łzy, nurtujące z głębi serca, — wyznać krzywdę swoją, — zanieść skargę na los, — wy- spowiadać się w małych a wszystko obejmujących słowach, w niemądrych a głębokich okrzykach, w krótkich powieściach, w spojrzeniach, w westchnieniach, w prze- milczeniu. Wszystkiego wysłuchał. Wszystko umiał zro- zumieć, jak sędzia, doradca, nauczyciel, pocieszyciel, lekarz, — bardziej, niż brat, bo prawdziwie, jak siostra. Jak we śnie, Teresa szła z nim codziennie, rano i wie- czorem, za dnia i w nocy, na grób męża i, jak we śnie niepojętym, tam z nim przebywała. Byli razem we dwoje. Byli trzema osobami, a jedną jedyną duszą. Gdy zimne marcowe noce ścisnęły ziemię, a wiatr przenikał park opustoszały, Otto otulał Teresę płasz-

czem i przyciskał ją do swego serca mocnego. Nie pozwalał drżeć i jęczeć bez miary. Zakazywał płakać, gdy zbyt długo płakała. Ocierał łzy i zmuszał do uśmiechu. Gdy zaś nie mogła wydobyć ze siebie ani cienia uśmiechu, wycisnąć słowa ulgi, nakazywał w imieniu Rudolfa. Nachylali się wraz obydwójce i na zimnym kamieniu składali pocałunek długi nieskończenie, jakoby na czole marmurowem bohatera. Poczem mogła spokojniej podnosić na niego oczy i patrzeć w źrenice surowe, »bersekierskie«, aż do cichego i łaskawego na ustach uśmiechu. Przytaczał jej wtedy o Rudolffie zabawne historyjki z dzieciństwa, z młodości, ze szkoły wojskowej, opowiadał szczegóły z życia młokosowskiego w stolicy, gdy jej obadwaj wcale jeszcze nie znali. Podniecał w niej miłość do Rudolffa, do nieszczęśliwego, rannego, konającego, który śpi teraz w ziemi zimnej, w grudzie nieubłaganej, pośród głazów i korzeni drzew, — sam jeden w nocy ciemnej. Sam wówczas gorzko płakał. A podniecał miłość Teresy do Rudolffa, zcicha cedząc przez zęby słowa tegoż Novalisa:

*»So in Lieb und hoher Wollust
Sind wir immerdar versunken...«*

Zdarzyło się na piąty dzień pobytu młodego młynarza w domu rodzinnym, że, jak zwykle, wyszedł nad wieczorem z Teresą »do Rudolffa«. Był ostry chłód, śnieg w postaci gruboziarnistych krup zjadliwie z boku zacinał. Nie długo też mogli być na grobie. Wyszli z parku przez boczną furtkę i udali się w las otaczający. Lasy tamtejsze okrążały pałac wokoło, milami szły w głąb kraju, wieszając się po okrągłych wzgó-

rzach i spływając w zaciszne doliny. Otto i Teresa szli szybko, pierwszą napotkaną drogą. Droga była równa, jak po stole, świetnie wyszutrowana, zbocza wzgórz opasywała niepostrzeżenie swą półkolistą pochylnią, to też obydwójce daleko zabrnęli. Trafili na istne ostępy jednakich gęstych sosen, które, zwartym stojąc borem, tworzyły ciemnicę groźną i milczącą. Suche mchy szare wisiały na tych jednakich, złowrogich drzewach i zeschnięte igły żółtym pokładem zaścieniały ziemię, mimo iż śnieg był w powietrzu i na gruncie od rana. Odpychająca groza wiała z tej głębi czarnej, głuchej, pełnej tajemnicy, Teresa odstąpiła w tył, nie mogąc oderwać oczu od tej połaci boru, schodzącego dokądś w dół, jakby w przepaść daleko głębszą, niż była w istocie. Otto podał ramię bratowej i prosił, żeby się ciepłej płaszczem okryła. Wrócili. Powrotna droga wydała im się krótszą i jeszcze bardziej łagodną, niż ją poznali, idąc w tamtą stronę. Pomykali szybko, bo już mrok schodził. Ale w połowie drogi do pałacu śnieg począł ciąć coraz gwałtowniej i przelatująca burza śniegowa zmusiła ich do zatrzymania się na czas pewien. Obok drogi były w zboczu góry dawne kamieniołomy, zaniechane już, widać, gdyż żółkła trawa zarastała dno areny, wyszarpanej w wapiennem zboczu pagórka. W głębi tego boiska stały jeszcze pieczary po wyłupanej caliźnie, a nad nimi zwisał kożuch ziemny, na którym rosły dzikie tarniny, głogi i krzewy. Otto sprowadził Teresę w to miejsce, ażeby burzę przeczekać w ukryciu. Usiedli na złomie wapniaka, pod pokrywą zwisającej gleby, w głębi płytkiej framugi. Szelest ostro sypiącego śniegu zawierał w swych wzniesieniach i ka-

dencyach jakby jakąś przygłuszoną melodyę, której słuchem najbardziej wytężonym niepodobna było pochwycić. Było to echo czegoś znanego, wiadomego, swego... Nic nie mówiąc do siebie, słuchali tego głosu. Nie mogli poruszyć ręką, ani nogą, odwrócić na bok głowy. Bali się podnieść oczu, przemówić słowa. Objęło ich niewypowiedziane przerażenie. Wionęło na nich zimno śmiertelne, od którego krew stanęła w żyłach. Nie wiedzieli, co to jest, jak to odepchnąć od siebie, — jak to nazwać, gdyby o tem mówić wypadło. W skostnieniu obopólnem milczeli. Śnieg szybko ubielił ziemię. zasypał drzewa w górze i pryskał w twarze szorstkiemi kryształami. Knieja, zbiegająca ku dołowi, westchnęła wszystkiemi wraz drzewami. Otto poczuł, że krew zalewa mu szyję, twarz, czoło. Zdawało mu się, że za chwilę zemdleje z rozkoszy i wstydu. Wolałby był, żeby ów ktoś, co w jego chyże czucia i spłoszone myśli patrzył z szyderstwem, żeby ów niezwalczony instygator rzucił między oczy rękawicę zniewagi. Wolałby był, żeby go chlasnął publicznie w twarz, żeby go znieważył wśród ludzi, niż to duszące, nieme sam na sam z bratem umarłym. Ale poznał, że to wszystko i tak na nic. Przyszło mu na myśl, — przez chwileczkę, — czy też ona wie? Nie mógł spojrzeć. Nie! To było nad siły. To też, nie odwracając głowy w jej stronę, mruknął:

— Trzeba będzie jednak pójść, gdyż to nie nacichnie tak szybko.

Słuchał, co odpowie. Stulecia minęły, a ona nie mówiła ani słowa. Ani słowa! Ani słowa! Ani słowa! Wstała wreszcie i zawinęła się w płaszcz. Nareszcie,

już było po wszystkim. Poszli szybko. Teresa biegła. Pociemku trafiła do furtki, która za nią głośno w mroku trzasnęła. Skręciwszy w lewo, znikła między gęstwiną świerków prastarych. Idąc jej śladem, kręta uliczką, Otto przybył do grobu Rudolfa. Ciemno już było, ale pod nawisłością konarów poblask zorzy przyświecał. Otto zobaczył Teresę leżącą wzdłuż całego nagrobka. Jak na łożu. Chciała, widać, objąć zmarłego małżonka pieśczołą miłosną, ogarnąć go barkami, osaczyć sobą, pod plecy mu szpony precudnych dłoni podesłać. Ale drapieżne szpony miłości trafiły na szeroki — szeroki skrzyżal polerowanego marmuru. To też się te ręce rozpadły krzyżem, a rozpalony policzek przypadł do liter bez litości, bez miłosierdzia, wyłobionych w kamieniu. Tyle jeszcze było półświatła od zorzy, że Otto widział zarys nóg odsłonionych spod krótkiej sukni spod płaszcza w upadku rozrzuconego, kształt niewymownego uroku goleni, aż do kolana widoczny. Teresa była tak bezwładnie i bezsilnie rzucona na płytę, ręce jej i nogi były tak bez wdzięku i świadomości poniechane, że Otto powziął myśl, iż pewnie serce jej pękło i umarła.

I wtedy głęboko zapragnął, żeby raczej była umarła na sercu i w objęciach brata. Powziawszy ten wybieg tchórzowski, czekał spokojnie, oparty o płotek z gałęzi świerkowych. Ciemność schodziła zupełna. Mrok się rozpostarł i wchłonął w siebie Teresę. Tylko blady zarys nogi w jedwabnej pończosze, jako jedyny ślad istnienia Teresy, wynikał jeszcze z ciemności. Drżąc na całym ciele, jak w ataku konwulsji, Otto von Arffberg minął drzwiczki w ogrodzeniu i usiadł na

krawędzi płyty marmurowej. Położył rękę na dłoni Teresy i zamknął tę dłoń w swej ręce. Niestety! Nie umarła. Więc wstał ze swego miejsca, nachylił się i podniósł bezsilną z tej bezlitosnej płaszczyzny. Leciała mu przez ręce. Głowa jej nie trzymała się twardo na szyi. Nogi były bezwładne. Objął ją ramionami i postawił na ziemi. Westchnęła. Wziął w swe ręce jej głowę czarującą, owianą jasnymi włosami. Nachylił swą twarz do jej twarzy i zaglądał w niewidzące oczy. Ach, jakąż poczuł rozkosz, składając usta na cudnem licu i czując w wargach ostry, słony smak łez, płynących spomiędzy rzęs zmoczonych! Trzymając Teresę w objęciu i przytulając ją do serca, nie ciało ludzkie obejmował rękoma, lecz kształt widomy niepojętej miłości, na którą skazany jest ludzki gatunek. A poruszenia jej niewinne w swem ślepem zaufaniu, oddające całość istnienia dla zdobycia ulgi, nie były to czucia cielesne, lecz czarujące w swej tajemniczości, wzniosłe w swem życiu, nieskazitelne w swych objawach odruchy przeczystej duszy. Śnili obydwójce sen ukojenia, gdy ciężka, bezwładna głowa upadła na piersi brata, a ręce oparły się na jego ramionach. Gdyby Otto obnażył ją, albo nawet fizycznie posiadał w tej chwili, Teresa nie opierałaby się wcale. Była, jak obłok, zmęczony długą w wichrach podróżą, i temu innemu wichrowi, który z obcej strony nadleciał, podwładny. Gdy osuszał rozżarzonemi ustami jej mokre policzki, nie czuła tego, że ją całuje. Te pocałunki były jakgdyby czynnymi słowami ukojenia i uciszenia, trzeźwiącem potrąceniem w lodowatej cierpień kostnicy. Dla niego cóż mogło być ponad tę rozkosz wyższe? Nic — zaiste. — Nie wiedział, gdzie są

oboje. Nie wiedział, kto on jest: — Rudolf, czy Otto? Szli ku domowi bezwładnymi krokami, w milczeniu. A nim doszli do drzwi pałacu, ścieżką, zachylającą się w prawo i w lewo, dokonało się dzieło straszliwe, defloracya duchowa Teresy, choć nie zbliżyli się do siebie i nie dotknęli się do siebie nawzajem ani nawet krajem szaty. Otto von Arffberg, siedząc w małej kajutce oficerów łodzi podwodnej, rozpamiętywał szereg dni następnych, tydzień upłyniony, jako jedną fugę szaleństwa. Dnie i noce, sen i czuwanie było to jedno pasmo bytowania w zaświatach uczucia. Nie umiałby powiedzieć, ile chwil, czy ile tysięcy lat trwały te dnie i jakie wieczności zamknęły się w minutach tęsknoty za widokiem Teresy. Miał nieustające widzenie jej postaci, jeżeli nawet była daleko, poza obrębem pałacu, lub w innych pokojach. Poznawał jej nadejście po furji serca i po zamieraniu oddechu. Poznawał jej odejście po pustym bólu w głowie i po śmiertelnym żalu, który trupa bladość na jego twarz sprowadzał. Wielekroć chodził sam na grób brata. Stojąc nad jego mogiłą usiłował kajać się, wydobyć ze siebie skruchę, wyłamać z głębi żal, wyważyć wszystką pracą ducha wyrzeczenie się siebie. Ale skrucha skamieniała, żal nie miał się serca, wyrzeczenie się zgasło, jak płomyczek bezsilny. Wszystko pochłonęła piękność Teresy. Wszystko zginęło w niezwalczonym uroku spojrzenia jej błękitnych oczu. To, co się zdarzyło w ciągu następnych dni, było już tylko logicznem następstwem dokonań wewnętrznych. Pałac od strony ogrodu miał kształt podkowy. Dwa jego boczne skrzydła stały naprzeciwko siebie. W tych dwu skrzydłach mieściły się sypialnie

i pokoje gościnne, podczas gdy główny, środkowy korpus pałacu zawierał salony i jadalnie. Miejsce, zawarte między skrzydłami i korpusem gmachu, wypełniły kwietniki i gazony z egzotycznymi krzewami, Otto miał zdawna pokój w prawej oficynie. Teresa z teściową mieszkała w lewym skrzydle pałacu. Tak więc dniami i nocami przebywali naprzeciwko siebie. Jednego wieczoru Otto poprosił Teresę, aby, idąc na spoczynek, nie zasłaniała okna. Po chwili jął prosić, żeby, stojąc za światłem, zrzuciła ze siebie suknie i bieliznę. Sam tego wieczora nie zapalił światła w swoim pokoju. Teresa posłusznie oświetliła jaskrawo swój pokój, nie zapuściwszy firanek. Silnie płonąca lampę postawiła na stolyczku przy oknie, a sama zupełnie obnażona wysunęła się na tło ciemnej kotary. Nikt nie mógł jej widzieć z dołu ani z głębi ogrodu. Tylko ciemne okno z przeciwka wlepiło w nią swe nienasycone otchłanie.

Następnego dnia nie spotkali się przy wspólnem śniadaniu. Otto był od rana gdzieś w lasach. Służący jego mówił, iż pan hrabia poluje. W gruncie rzeczy hrabia Otto przebiegał drogi i ścieżki leśne, zmagając się z potężnym wiatrem, który tego dnia nachylał połacie drzew i wiał wszystkimi dolinami. Zmagał się również ze sobą, usiłując potężnem zmęczeniem fizycznym, przebieganiem ze wzgórz na wzgórze, cwałem wzdłuż dolin wzniesionych ku górze, gdy silny wiatr w twarz go smagał, pokonać w sobie bestyę rozszalałą. Skoro o zmierzchu wrócił do domu, polecił lokajowi, żeby zapytał panie, czy do nich przyjść może. Przyszedł zaś niewesoły, wzburzony, dziwny, prawie nie-

grzeczny. Wyrzekał długo przed macochą na zły stan gospodarstwa w majątku. Gdy macocha usiłowała wytłomaczyć mu przyczyny wielu owych niepomysłnych objawów i wyszła do sąsiedniego pokoju po jakieś papiery, wsunął Teresie w rękę małą karteczkę. Na tej karteczce była wypisana drobnem pismem marszruta poprzez pokoje bawialne i korytarze w jego oficynie. Poprostu kazał jej przyjść do siebie, wszystko urządziwszy przezornie, po rozesłaniu w różne strony fagasów. Jak w ordynarnym romansie, zawołał ją do siebie. Na pospolitą, nocną schadzkę. A jednak pobiegła z radością. Oddała mu się bez cienia namysłu, w ciągu całej nocy, w furii rozpasania, wśród lubieżnych, wymyślnych i zabójczych pieśczoł, ulegając wszelkim zachceniom, jakie tylko dzikie wybiegi stęsknionego pożądania podyktować były w stanie. Nad ranem, gdy ją przez puste sale odprowadzał znużoną, niemal chorą od całonocnego ulegania jego żądzy, osłabłą wśród cielesnych zaplatań się dookoła siebie nawzajem, całowała z uniozoną czcią jego ręce i chwytala w rozpalone usta każdy z jego oddechów. Tak co noc, w ciągu ostatnich dni spełniała jego miłosne rozkazy, wytwarzając po raz pierwszy w swem życiu owe przedziwne wynalazki miłości, dokonywując na sobie samej czarownych wynurzeń nagiego ciała, pławiąc się w orgii uniesień i umierając z zachwytu wśród bezwładnych kontemplacyi, wśród podniecań się i wysilań, ginąc od wzajemnych pocałunków, wydzierania wszelkiej siły zmysłów przez siłę zmysłów, życia przez życie i piękności przez piękność.

Ostatniego wieczora, gdy już na zajutrz miał od-

jechać, poszli oboje na grób Rudolfa. Nie wiedzieli, dla czego to robią. A przecież tak trzeba było. Tak musieli. Byli obydwójce wyschnięci, wychudli z miłości, płonący od wewnętrznych piekieł pasyi. Stanęli nad płytą w ogrodzie. Obnażona głowa Ottona była hardo zadarta. Śmiech pusty przenikał ich oboje na myśl, iż niedawno tak tu cierpieć mogli. Gdzie się podział żal? Co się stało z uczuciami Teresy? Gdzież były jej łzy po tamtym? Trzymała w ręku jakieś kwiaty zimowe i jeden po drugim rzucała na płytę grobowca, uśmiechając się w tryumfie swej zdrady. W pewnej chwili przerwała rzucanie kwiatów. Nie chciało jej się udźwignąć łodygi i kielicha cieplarnianego amarillisa. Nie czuła nic zgoła. Nic. Ani cienia żalu, podobnie, jak morderca nie doznaje wcale subtelnych emocyi widza zbrodni dokonanej. Doskonały spokój królował w jej sercu. Powiedziała o tem Ottonowi. To też odeszli, ażeby przed samymi sobą nie kłamać i nie okłamywać Rudolfa. Odeszli, rozpłomieniając się widokiem swym nawzajem i tonąc w szaleństwie miłosnem uśmiechów i spojrzeń.

Klang prowadził łódź, czuwając przy manometrach, periskopie i sterach. Hrabia Otto Arffberg przyłożył się w ubraniu do pościeli i twardo, głucho zasnął. Nie wiedział, kiedy łódź bezpiecznie minęła kanał i znalazła się w obliczu Niemieckiego morza. Znużony do cna wysiłkiem miłosnym, spał, jak drewno, jak odłamek muru. W pewnej chwili starszy marynarz dotknął jego ramienia, — raz i drugi. Napróżno. Kapitan chrapał. Sam tedy Klang musiał podejść i w ciągu dobrej chwili targać za ramię śpiącego, aż go z posłania podźwignął.

Hrabia Otto przetarł oczy i ze zdumieniem rozejrzał się po otoczeniu. Tak nagle wyrwany został z objęć szczęścia i ramion rokoszy! Patrzył na sufit półokrągły nawisły, na to wnętrze powłoki zatoczonej, jak ściany trumny, napełnionej materyałami, gotowemi za najlżejszem potrąceniem do wybuchu. Poczłł znowu obok siebie śmierć, i byt swój nanowo bez ratunku. Załkało w nim serce, jak tego już nieraz wewnątrz tej łodzi doświadczył, i potężny wstręt ogarnął go, niby zaduch. Trzeba było wstać, albowiem łódź dosięgła pełni morza. Otto von Arffberg podniósł się, szybko umył, ubrał i spożył śniadanie. Za chwilę motory do materyałów palnych miały być zamknięte, puszczone w ruch elektryczne, a łódź miała iść pod wodę. Kapitan wybiegł po schodkach i przez okrągłą wieżę kiosku wysunął się na pokład. Obejrzał morze gołem okiem i przez znakomitą lornetkę. Całe morze, jak okiem zajrzeć, było w pianach, zielone zarazem i białe, spiętrzone i strzępiałe, pełne podrzutów, prysków wodnych i chlaszczących pian. Północny wiatr do szpiku kości przejmował. Komendant kazał złożyć bezużyteczny już komin, gdyż łódź szła siłą akumulatorów, obejrzał armaty zewnętrzne i każdą ze śrub pokrywy, bacząc przez szkła, czy ziarnka piasku przez wiatr niesione nie osiadły w rowach i skrętach. Te rowy miały zamknąć pokrywę, jakgdyby małej latarni morskiej, zawierającej w sobie główne wejście. Gdy wszystko było we wzorowym porządku, kapitan von Arffberg zstąpił uroczyście do wnętrza i nakazał zamknięcie. Nałożono na szczyt periskopu, pokrywający lustro górne, wyrobioną doskonale podobiznę mewy morskiej, ażeby obecność

łodzi maskowała. Klapa z łoskotem zapadła. Jasno roz-
błysły wewnątrz elektryczne lampy. Wnet specyficzny
zapach wnętrza rozparł się z końca w koniec łodzi.
Komendant dał rozkaz załodze. Otwarto wraz rury
water-ballastów, przekręcając koła sterów. Wpuszczono
wodę do komór. W ciągu minuty woda napełniła prze-
znaczone dla niej naczynia, zwiększyła swym ciężarem
wagę statku i łódź zanurzyła się pod powierzchnię do
głębokości kilku metrów. Powietrze ścieśnione, wydo-
stając się w małych ilościach ze specjalnych motorów,
traciło swą sprężystość i stawało się do oddechu po-
datne. Zepsute wypędzały na zewnątrz gazy motoru.
Elektryczne popędy pracowały teraz z całej siły. Statek
szedł pod wodą z szybkością zmniejszoną, »elektryczną«,
zaledwie szesnastu kilometrów na godzinę. Ponieważ
Klang czuwał w ciągu całej nocy, poszedł teraz na
spoczynek, a sam kapitan stanął przy periskopie i miał
pieczę o sterach. Nachylony nad jasną tablicą lustra
dolnego, miał przed oczyma widnokrąg na przestrzeni
dwudziestu kilometrów. Widział tedy morze najwyraż-
niej z przodu, z tyłu i z boków. Posiadł jakgdyby
trzecie oko. Stał się olbrzymią podwodną muchą, która
widzi świat zewnętrzny z głębi morza. Świat zewnętrzny,
ujęty przez kryształ soczewki kształtu pierścienia, wy-
stającej o kilka centymetrów ponad wodę, a nachylonej
pod 45° do horyzontu, odbity jak w obiektywie foto-
graficznym, w lustrze górnem, spadał przez długą tubę
o kilku centymetrach średnicy, w postaci zmniejszonego
obrazu na lustro dolne, stanowiące okular, przed oczy
obserwatora w całej swojej rozległości. Kapitan widział
obrazy proste całego okrągłego horyzontu tak wyraźnie,

jakby je gołą żrenicą postrzegał. Miał przed sobą dalekie zarysy lądu, ginące już niemal w pianach, gdzieś w przestworach dymy statków, uchodzących w dal nie-dościgłą, wody spienione, wody bez końca. Im bardziej łódź oddalała się od brzegów, tem puściej było w morzu. Ani śladu życia. Wody! Kiedyniekiedy zwracając oko na lustro, Otto von Arffberg widział jedynie siwy, zielonawy, zbałwaniony ogrom. Gdy krople wodne, odtrącone od ruchomych fal, osiadły na kryształach zewnętrznym górnej soczewki i zamącały swą obecnością wyrazistość obrazów lustra dolnego, jednym skrętem steru zanurzał łódź niżej i przez zanurzenie periskopu, zmywał nieposłuszne i uprzykrzone kropelki, trzymające się cennego kryształu. Czynił to mechanicznie, marząc o Teresie, nucąc jakiś urywek melodyi, który w sobie wszystko minione zawierał. Teraz, gdy uwielbiona piękność była tak daleko, a on przepływał w sąsiedztwie ryb i meduz, mierzył doskonale odległość ogromem swej niedoli. Był nietylko muchą, lecz i pajakiem, snującym ze siebie nieskończoną nić oddalenia. Dokądże to leciał głębią wody, w niezgruntowanych przepaściach? Co na tem morzu czynił, obłąkany? Mechanicznie rzucając oczyma na monometry, słuchając znajomego szmeru maszyn, po rodzaju szmeru poznając sprawność roboty swych zwierząt, był stamtąd o setki i setki mil, w cichym parku, w ustronnym pokoju swej oficyny. Przymknij ote żrenice — i obejmuje Teresę w ramiona. Przymknij żrenice — i widzi pod powiekami oczy wpatrzone w swe oczy! Ileż to mil morskich przeleciał, marzący pirata! Po wydawaniu załodze posiłku poznawał, ile czasu ubyło. Nie obchodziło go to

wcale, gdzie jest i jak daleko od czyich jest brzegów, aczkolwiek od aparatów dobrze o tem wiedział. Był nie w głębi morza, lecz na ziemi. Klang wyspał się, wstał i stanął do pracy. Wtedy ta praca, na dwu rozdzielona, łatwiejszą się stała i prostsza. Kapitan miał do obserwacji pewne tylko przyrządy. Płynęli.

Nagle Klang krzyknął. Otto zbliżył się do zwierciadła periskopu. W istocie — na widnokręgu był wielki transportowiec. Padły rozkazy. W mgnieniu oka wody obciążające wypchnięto z bębnow i łódź wychynęła na powierzchnię. Otwarto ekutilę wejściową i obadwaj oficerowie, uzbrojeni w przewyborne szkła, obserwowali statek. Przyszli do przekonania, iż jest to parowiec francuski. Załoga łodzi wybiegła na pokład. Zawrzała wśród żołnierzy radość. Wszczął się ruch gorączkowy. Dano okrętowi sygnał, żeby stanął. Zapytano go znakami, co jest za jeden. I potwierdziło się domniemanie, że to transportowiec francuski. Na zapytanie, dokąd jedzie, okręt nie dał odpowiedzi. Natychmiast kapitan von Arffberg wydał polecenie. Załoga rzuciła się do wnętrza i marynarze wyspecjalizowani w tej sprawie przygotowali do rzutu jedną z dwu torped środkowych. Wielkie stalowe cygario, ów złowrogi statek, samopas w wodach chodzący, o czterdziestu pięciu centymetrach średnicy, podzielony wewnątrz na liczne oddziały, zawierające wybuchowy ładunek stu kilogramów bawełny strzelniczej, zaopatrzony w narzędzia, które mu zapewniają utrzymanie się w biegu, prędkość i kierunek, wyrzucono z łożyska. Pognał z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, pozostawiając po sobie białą strzępiastą smugę. Parowiec francuski,

zdzielony w bok przez torpedę, podskoczył, zadrzał, zachwiał się na dwie strony, a wreszcie na bok runął. Po chwili sprostował się znowu. Lecz oto przedni jego dziób zaczął wychylać się z wody, podnosić w górę, a tył i kadłub zanurzać widocznie i szybko. Zaroiło się na tym okręcie od ludzi. Biegli tam żołnierze w kitlach, czy koszulach, jacyś cywilni, a nawet kobiety. Rozległ się krzyk straszliwy, gwar tak donośny, iż na łodzi podwodnej słyhać było pojedyncze słowa. Arffberg i Klang stali nieruchomo na pokładzie swego statku przez lornetki obserwując widowisko. Trzy łodzie zjechały na blokach i linach z owego parowca i plusnęły w falach. Z pokładu poczęły padać w łodzie kształty ludzkie, jak tłomoki, i dziecięce, jak zawiniątka małe. Niby węzły szmat runęły jedna po drugiej kobiety, które chwycił w powietrzu szereg rąk wyciągniętych w głębi batów. Wnet trzy barki były pełne i poczęły uciekać od parostatku, pracując całą siłą wiosł. Zleciała szybko w morze jeszcze jedna mała łódeczka, istne cacko dziecięce. Do tej barki dopływali wpływ ludzie, którzy się byli z pokładu w fale rzucili. Docierali do brzegów łódeczki i tłoczyli się do jej wnętrza, albo obok niej płynęli, z krzykiem czepiając się burków i wiosł. I ta łódź uciekała od parowca, który coraz bardziej wykręcał się dziobem do góry, przybierając posturę jakowegoś straszliwego zwierzęcia. Gdy mała łódeczka odpłynęła daleko, poczęli raz wraz skakać z pokładu wprost w wody oficerowie i wałęsali się po falach, nurzając się i ukazując tu i tam, a krzykiem żądając pomocy. Niektórzy z nich, w liczbie pięciu czy sześciu, wprost na łódź podwodną płynęli. Otto

von Arffberg dał skinienie, żeby ich wyłowić. Łódź podwodna wykonała poruszenie w stronę ginącego transportowca. Rzucono z pokładu pływającym marynarzom ratunkowe liny i trzech najbliższych wytaszczono na pokład. Wydostali się z nurtów, wlokąc za sobą strugi wody. Byli skuleni, jak psy, skostniali, zsiniali, niemal czarni. Drżąc na całym ciele, ustawili się w szereg przy brzegu pokładu, tam gdzie wyleźli, nie śmiejąc posunąć się o krok dalej. Salutowali dygoczącymi rękoma. Kolana ich nóg tłukły się o siebie, a wargi ust latały, miotane od febry. Otto von Arffberg pierwszemu z brzegu zadał pytanie w języku francuskim:

- Jak się wasz statek nazywa?
- »*Villaret-Foyeuse*«.
- Skąd płynął?
- Z Brestu.
- A dokąd płynął?
- Nie wiemy.
- Co wioził?
- Żołnierzy.
- Jakich żołnierzy?
- Nie wiemy.
- Ilu ich było?
- Nie wiemy.
- A was, załogi ilu?
- Czterdziestu.
- Ilu oficerów?
- Sześciu.

Każde słowo żołnierz wypowiadał beczelnie, choć widać było, że kłamie w każdej sylabie. Patrzał w oczy

ze wściekłą rozpaczą, — zdawało się, że gdyby mu kazano dyabłu duszę sprzedać za uratowanie życia, sprzedałby ją bez wahania, a jednak kłamał bezczelnie. Gdy kapitan skończył z pierwszym, zadał pytanie drugiemu z kolei:

— Kto został na statku?

— Kapitan.

— Jak się nazywa kapitan?

— Albert Duval.

— A inni oficerowie?

— Wsiadli do małej łodzi z kolei starszeństwa.

Ostatni nie znaleźli już miejsca.

— Czy jest kto jeszcze na statku?

— Zdaje się, że niema nikogo. Sam tylko kapitan Albert Duval.

Trzeci z kolei marynarz jeszcze głośniejsze, niż tamci dwaj, wypowiedział, a raczej wyrzeszczał, iż statek nazywa się »*Villaret-Foyeuse*«, a kapitan nazywa się Albert Duval, — iż wszyscy oficerowie po kolei starszeństwa mieli wsiadać do łodzi, lecz dla starszych już miejsca nie było, jakoteż dla wielu marynarzy, którzy rzucili się w morze.

Wysłuchawszy trzeciego z wyłowionych rozbitków, Otto von Arffberg wrócił do pierwszego w tym szeregu i potężnym zamachem nogi w brzuch go kopnął. Marynarz francuski magnął kozła i zleciał w morze. Klang rznął między oczy drugiego z brzegu i potężnym kopniakiem zepchnął na łeb, w tył trzeciego. Wszyscy trzej zanurzyli się w wodę, wychynęli, znowu zanurzyli się i znowu wychynęli. Wreszcie to ten, to ów wypłynął na spiętrzone, białopienne wały, parszając,

rząc, a raz po raz rycząc ohydne na boszów przekleństwa.

Gdy wreszcie dwaj ze strąconych nie wypływali już na powierzchnię, a trzeci wytrwale regularnymi rzuty ramion, przechylając się z boku na bok płynął dokądś, precz - precz od podwodnej łodzi, Arffberg i Klang podnieśli znowu swe szkła na statek ginący. Ginął w istocie. Doznając jakby pchnięć, czy olbrzymich pęknięć wewnętrznych, obsuwał się w wodę. Dwaj niemieccy oficerowie zobaczyli nareszcie owego kapitana — Alberta Duval. Szedł w górę po nachylnym pokładzie trzymając się oburącz balustrady. Był to starszy, siwy człowiek. Przez swe doskonałe szkła widzieli go najwyraźniej. Miał przyszczyżoną, siwiejącą brodę i krótkie, srebrne włosy pod białym marynarskim kaszkietem. Gdy przyszedł do cypla swego statku, rozejrzał się po morzu. Wokoło. Oparł się rękami o parapet, wzniesiony ku górze. Ramiona jego dźwignęły się nagłym ruchem. Przelazł przez balustradę i przysiadł na niej bezwładnie. Ręce jego jedna o drugą plaśnieły. W rozpacz. Głowa mu spadła na piersi. Milczał, trwając tak w nieruchomej postawie. Nagle podniósł głowę. Zacisnął obie pięście i, grożąc niemi w stronę łodzi podwodnej, zawołał z całej siły:

— *Vive la France!*

Po chwili znowu:

— *Vive la France!*

Nachylił się w stronę oficerów niemieckich, ażeby go słychać było najdokładniej, i ze wszech sił, raz za razem, wielokroć wołał:

— *Vive la France!*

Gdy zaś woda, chlaszcząc coraz wyżej, oblewała już kręgiem spienionym jego *rostrum*, ostatnią mównicę do świata, odwrócił się od tej łodzi. W stronę południową, w stronę swojej ojczyzny. Zdjął marynarską czapkę. Uniósł ją w górę i do tej ojczyzny dalekiej, ochryplym od uniesienia głosem wołał bez końca:

— *Vive la France!*

Kadłub okrętu nagle znikł w morzu. Oficerowie badający zjawisko widzieli, jak fala skrętem olbrzymim, wchłonęła ostatnie ściany, maszty i liny, oraz wyciągniętą rękę człowieka. Fala ta wytrąciła czapkę z ręki Francuza i na sobie ją poniosła. Ta czapka kołysać się zaczęła po bałwanach, płynęła to nisko, to górą, w otchłani i na gzemsach, nastrzępionych pióropuszem piany. Oficerowie patrzący mieli zamiar wyłowić ją na pamiątkę zwycięstwa, lecz i ta czapka znikła w pianach. Obawa przed hydroplanami, które mogły ich obecność wytropić, zmusiła dwu komendantów do zanurzenia łodzi podwodnej. Szli znowu głębia, z tym samym, co poprzednio pośpiechem. Klang stał przy periskopie.

Po upływie godziny wędrowania w głębinach Klang znowu zawołał, iż widzi statek na morzu. Von Arffberg przybiegł niezwłocznie. Zobaczyli w dużej odległości statek znacznie większy od zatopionego. Nadali copędzej swej łodzi kierunek na ów okręt. Zbliżyli się na odpowiednią odległość. Wychynęli. Jak poprzednio, dali tamtemu znak, żeby stanął i czekał. Lecz parowiec ów nie stanął i odpowiedzi nie dawał. To też natychmiast Otto von Arffberg wykrzyknął komendę. Marynarze przygotowali i władowali torpedę. Klang celował, chy-

tając istotnie okiem myśliwca, ów moment jedyny, kiedy będzie mógł wrzasnąć rozkaz do wyrzucenia ryby Whitehead'a. Posiadał wypróbowaną wielokroć precyzyę oka, oraz *robur et aes triplex*, które Horacy każe marynarzom w sercu stale piastować. Torpeda systemu Obry z gyroskopem, zabezpieczającym linię niezmienną jej biegu, szybka, dzięki ogrzaniu powietrza w chwili włączania go w piąty przedział pocisku, wypadła ze swej lufy i pognała ku nieprzyjacielskiemu statkowi. W tejże chwili Arffberg, stojący przy periskopie, z okiem utkwionem w zwierciadło, wydał gwałtowny rozkaz: — pod wodę! Kapitan ujrzał w lustrze dwa torpedowce, ukrywające się aż dotąd poza wielkim parowcem, które teraz nagle z morza wypadły i, spostrzegłszy łódź podwodną, rzuciły się ku niej. Nim zanurzono się zupełnie, kapitan widział, iż statek przewozowy trafiony był torpedą. Cios jej był tak straszliwy, a wybuch ładunku dynamitowego jej czoła tak złowieszczy dla nieprzyjaciela, iż cały okręt został literalnie rozdarty. W oczach Arffberga szalały jedynie zielone wiry i żółtawe piany. Z roskoszą odszedł od periskopu, gdy łódź zanurzyła się zupełnie, i nic już nie było widać. Obadwaj oficerowie zajęli się nanowo pracą. A pracowali spokojnie, z wytrwałością, umiarem, systematycznie. Nic w sobie nie mieli z demonów, ani rozbójników. Byli uczciwymi oficerami marynarki, którzy spełniają włożone na nich obowiązki sumiennie i według metody przepisanej. Ale w czaszkach ich osiadł jakgdyby kopeć wybuchających i zduszonych uczuć, skrzep owej chwalebnej zimnej krwi, osad smutku ludzkiego. W oczach marynarzy, którym rozkazywali, wypisane było iście niemieckie

posłuszeństwo, żołnierska tresura i zimna a niezłomna wierność. Ale i oczy tych ludzi patrzyły w oczy dowódców poprzez tensam czad znużenia. Arffberg i Klang rozmawiali pojedynczemi wyrazami, z których zazwyczaj składały się ich dyalogi. Powierzali sobie nawzajem jakoweś wrażenia ziemskie, dalekie od morza i wszystkiego, co się w jego głębiach i na powierzchniach dokonuje.

Rozmawiali spokojnie, jako ludzie fachu, zdrowi, młodzi, normalni, w obliczu spełnionych powinności. A jednak poprzez cień obłudy przedzierały się ich słowa. W istocie każdy z nich i każdy z podwładnych radby był wykrztusić, wycharzyć to jedno: — Dosyć! Przynajmniej na dziś, dosyć! Nie teraz! Do dyabła — już dosyć na dzisiaj!

I dziwna, niema zgoda, — że na teraz dosyć, — zapanowała wśród dowódców i podwładnych.

Kucharz uderzył w dzwonek, zwiastujący posiłek. Wszyscy z uczuciem ulgi i pociechy mieli się ku stółowi. Nagle łódź, idąca miarowo-płynnym ruchem, doznała w części przedniej głuchego potrącenia. Stanęła. Zahamowanie jej biegu było tak nagłe a mocne, iż wszyscy z nóg się zwalili, padając na ziemię, na ściany. Strach przeleciał skroś ludzi. Płomienie oczu patrzyły z bladych twarzy w oczy komendantów. Arffberg wodził oczyma i rękami po przyrządach, cylindrach, naczyniach.

Stały posłuszne w klubach swego przeznaczenia, spokojne i niewinne. Milczały. Obrócił stery tanków *water-ballastu*, chcąc wypchnąć z nich wodę i wypłynąć. Stery szły sprawnie, dobrze i lekko, lecz łódź nie dźwignęła się w górę. Pchnął motory biegu naprzód.

Działy, lecz łódź nie szła. Chciał ją cofnąć w tył. Nie ruszyła się wcale. Nie tonęła. Stała w miejscu.

Zrozumiał. Szepnął do Klanga:

— Sieć!

— Wlecieli my w drygawicę... — szepnęli do siebie marynarze.

Arffberg po krótkiej z Klangiem naradzie obrócił jeszcze raz koła. Łódź drżała w sobie, natężając się, jak człowiek w szaleństwie wysiłu. Zdawało się, że pęknie z tej próby swej mocy, że sama siebie rozsadzi. Dźwignęła się conieco. Podniosła się w górę. Radość napełniła serca. Lecz łódź opadła znowu, drząc bez przerwy. Stała zupełnie. Znieruchomiała. Spostrzegli wszyscy, że poziom jej jest nierówny, że tył z gabine-tem dowódców i motorami elektrycznymi nachyla się ku dołowi. Wtedy straszliwe przerażenie zjeżyło wszystkim włosy na głowach.

Żołnierze opuścili posterunki i obskoczyli oficerów. Głuche zapanowało milczenie.

Jeden z żołnierzy osunął się na kolana z jękiem:

— Jezus!

Głos ten był cichy, a tak straszliwie donośny, jakby to słowo wytchnęli wszyscy co do jednego, wcale o tem nie wiedząc. Starszy marynarz raptem wyszedł z koła, bezceremonialnie Klanga odsunął i chwycił ster rękami. W furji począł zakręcać i odkręcać to koło. Zdawało się, że je wyłamie z osady, rozszarpie potężnymi rękoma. Lecz ster nie działał. Czy tanki wodne były zamknięte, czy otwarte, — łódź stała. Nadaremnie starszy marynarz usiłował wyrwać statek z sieci, w tył go cofnąć.

Oddech ludzi był jeszcze swobodny, powietrze wydzielalo się dobrze, lecz zepsute przez oddechy nie mogło się nazewnątrz usunąć. Poczeli czuć zaduch swój własny, smród bezdenne go przerażenia. Stawalo się coraz bardziej gorąco. Szaleństwo czepialo się mózgów. Furya zapalala się w oczach. Ktoś łbem walił o ścianę żelazną. Inny szlochał z twarzą w dłoniach ukrytą. Klang podniósł głos. Głos twardy, zimny, spokojny, rozkazujący, jak zawsze:

— Słuchajcie! Jesteście żołnierzami! Jesteście Niemcami! Przysięga!

— »Przysięga«! — wrzasnął z drwiną jeden z tłumu.

— Na miejsca! — rozległ się rozkaz Klanga.

Ten i ów ruszył się odruchowo, żeby do swego aparatu podążyć.

— »Na miejsca«! — ryknął jeden z marynarzy, naśladowując głos Klanga z nieopisanem szyderstwem. Klang powtórzył:

— Na miejsca!

— Milcz, szczeniaku! — wrzasnęło kilku naraz, pięści mu pod nos podsuwając.

— Ty pierwszy idź na swe miejsce! — wyszczekał w oczy Klanga kucharz łodzi.

— Temu się należy! — poszepnął ktoś z tłumu.

— Giń, psie! — szepnął pierwszy z brzegu, przystawiając otwór lufy browninga do samej skroni Klanga. Pociągnął za cyngiel. Strzał. Klang runął. Bez westchnienia odpoczął na wieki.

Von Arffberg oparł się plecami o półokrągłą ścianę łodzi i patrzył w rojowisko marynarzy. Robiło się duszno

Ciężar piersi przywalał. Usta chwyciły powietrze. Serce łomotało. Żołnierze wrzeszczeli, łkali, bili się między sobą, modlili się, chłając wódkę, biegli to w ten, to w tamten koniec łodzi, jęczeli i wyli, jak zwierzęta. Kapitan wstrząsnął się, wzdrygnął. W głowie miał tuman. Pomimo braku tchu wyprostował się, krzycząc:

— *Hoch, Deutschland!*

Okrzyk jego ocucił żołnierzy. Stanęli, patrząc weń wytrzeszczonemi oczyma. Ten i ów powtórzył pozdrowienie ojczyzny. Arffberg postąpił ku nawie. Spojrzał na periskop.

Zobaczył jakby olbrzymie mury z żelaza, ponad łodzią spiętrzone. Zobaczył jakieś statki, prujące rozbiegane fale. Jasna myśl zaświtała w jego mózgu: będzie ratował załogę! Miał przecie na swej łodzi hełmy skafandryczne z odzieżą, jak dla nurków, zawierające tabletki oxylitu, który się rozpuszcza pod działaniem wilgotności oddechu i może dostarczyć odzianym tak ludziom powietrza na przeciąg godziny. Ubierze w te hełmy swych zuchów, ustawi ich w kolumnę. Otworzy zatrzaśnięte drzwi kiosku i wyjdzie na ich czele. Staną na pokładzie i, nastawiwszy bagnety, będą bronić łodzi przeciw nurkom, którzy przyjdą, ażeby ją zabrać w niewolę. Rzucił się naprzód, do działa. Ale w głowie jego powstał zamęt. Wszystko się zachwiało, lecąc dokądś, w przepaście. Otto von Arffberg znalazł się w wieży kiosku. Leżał rozciągnięty na schodach. Wspomnienie Toresy, wspomnienie subtelne, a tak wyraziste i jawne, iż uczuł zapach jej włosów i muśnięcie usteczek, — napełniło jego ciało i duszę niewysłowioną rokoszą. Ona to go sama całego, od stóp do głów objęła. Głowę

jego podniosła w swych rękach. Przytuliły się do siebie ich ciała i splotły się w jedno istnienie ich dusze. Posiedli się poprzez wody i lądy, przestrzeń, czas, spoili się w wieczną jedność. Otto konał z rozkoszy, szepcząc w ostatni westchnieniu:

— Teresa! Teresa!

W pewnem stanowisku wojennem około Góry nad Notecią spotkali się nieoczekiwanie dwaj przyjaciele z lat szkolnych, January Pawłowiak, i Henryk Zborszyski. Cztery lata wojenne rozdzieliły ich zupełnie. Los zdarzył się, iż, pomimo nieustannych wędrówek z frontu »zachodniego« na »wschodni«, a ze »wschodniego« na południe, ni razu się nie spotkali. Dopiero tutaj, nad Notecią, po zdobyciu Żnina, Szubina, Łabiszyna w »armii wielkopolskiej« tenże los rzucił ich z nienacka we wzajemne uściski. Z niedowierzaniem patrzyli na siebie. Z radością stwierdzali, że ich oczy nie mylą. Raz wraz wybuchali śmiechem, wskazując sobie takie lub owakie objawy tej narodowej wojny z Prusakami. Oto oni, dwaj oficerowie niemieccy, prowadzą narodową wojnę z Prusakami! Dawno ją, — do licha! — piastowali w duszach. Idą na Nakło! Idą na północ! Ku morzu! Wciągu kilku dni opanowana jest Września, Gniezno, Biedrusko, Śrem, Śmigiel, Wągrowiec, Krotoszyn, Kościan, Jarocin, Ostrów, Mogilno, Żnin, Rogoźno. Całe Księstwo uchwyciło się hasła, danego z Poznania. Czekano na nie cierpliwie, z utęsknieniem, z zapartym oddechem. Cóż dziwnego, że rozbieranie Niemców dokonano się wszędzie, jak jeden odruch wydanej poprusku żelaznej komendy. Sprawa była prosta, gdzie garnizon

składał się z polskiej większości. Gdzie, jak w gnieźnieńskim, Niemcy przeważali, trzeba było na dziedzińcu polu walkę staczać i dopiero po walnym zwycięstwie władzę polską wdrażać. Pawłowiak i Zboszyński nie mogli się o tem wszystkim dość nagadać. Nie mieli wiele czasu na opowieści długie i szerokie o sobie. Zresztą, w ciągu tych lat przywykli w szkole prusko - wojskowej do szybkiego wyrażania myśli, do zamykania w jednym słowie wypraw olbrzymich, w jednym zdaniu walk strasznych, w jednym westchnieniu potwornych ogromów wydarzeń. Któżby, zaprawdę, potrafił to wszystko, co widzieli, co przeżyli, wysłowić! Te niezmierzone masy żołnierzy, przewalające się kolejami, wędrujące piechotą, konno, wozami, automobilaми, furgonami, na wschód i zachód, na pola słodkie Francji, w doliny południowe Alp włoskich, w równiny Rumunii, w góry Serbii, Bułgarii i Turcyi, w bezdroża: Polski dalekie — dalekie? Dość powiedzieć: »Mortehomme«. Alboż to nie wystarczy za opis pięter trupów, fetoru straszliwego grobów pospólnych, potarganych drzew, które płaczą w pustyni, rzek, co płyną, jako pasma żalu przez kraj nieszczęśliwy, kamieni i ziemi, wyrzuconych z legowisk, na których miejscu spoczęły poszarpane strzepy obrońców? Dość powiedzieć: poprzez ulice zdruzgotanego Kalisza przemarsz polskiego młodzieńca, poznaniaka, Henryka Zboszyńskiego, w szeregach armii niemieckiej. Z przymkniętą powieką, z zaciśniętymi zębami, w milczeniu. Dość powiedzieć: celować, strzelać, zabijać tych, których się uwielbia, — szkodzić tym, komu się z serca dobrze życzy, — nękać prześladowaniem tych, komu chciałoby

się nieba przychylić! Byłaż kiedy na ziemi nikczemniejsza tortura, jak pod przymusem śmierci kazać ludziom w wieku rozkwitłej młodości nadstawiać piersi, wydawać się na kalectwo i rany, w każdej chwili na śmierć być gotowym za sprawę, której oni najgłębiej, z dna duszy nienawidzą?

O tem właśnie dwaj przyjaciele na postoju pomiędzy sobą mówili. Pawłowiak przypominał sam początek wojny, wejście Prusaków do Krakowa. Nigdy przedtem tego miasta nie widział. Wtedy to miał naiwne, niemal dziecięce w swej istocie, a najboleśniej co do siły, odczucie straszliwej nieprawdy, hańby i zbrodni we wszystkim, co się działo, a do czego musiał ręki przykładac. Zwiedzał Wawel, stare kościoły, pamiątki. Wszystko to udręczyło mu duszę. Wyznawał teraz koledze, iż, tam w Krakowie, nosił się z myślą o samobójstwie. Nie mógł znieść owych mdłych, głupich zestawień, które go prześladowały. Nikt go nie rozumiał. Coprawda, nikomu o tem, co w sobie przegrzyzał, nie mówił. Nie chciał za żadną cenę ginąć na polu bitwy za tę pruską sprawę i przyczyniac się swą śmiercią do pruskiego tryumfu. A spełniać rozkazy, pomagać do zwycięstwa, wysługiwać się, jak pudel, pruskiemu kajzerowi, ślać mu drogę do tryumfu, — tego nie mógł wymóc na sobie. Nie chciał! Jedno zostawało: zgładzić siebie samego, nikomu słowa swej duszy nie mówiac. I, obłąkany od tej myśli, chodził wybierając miejsce sposobne. Tak to zabrnął na błonia krakowskie, wszedł na wzgórze i patrzył na miasto, jesienną mgłą zasłane. Płakał. Wtedy to coś w nim drgnęło. Usłyszał w sobie głos. Coś mu odpowiedziało:

czekaj! Nie umiałby powiedzieć, ani wyjaśnić tego niezmiernego uczucia radości, jakiej wtedy doświadczył, — tego światła o sile błogosławionej, które w nim objaśniło sens rzeczy. Zdecydował się na tej górze, iż cierpliwie zaczeka. Och, i doczekał! Na zamku cesarskim w Berlinie powiewa czerwona chorągiew! Na zamku pustym po ucieczce tego wodza, który męstwo, miłość ojczyzny i samą nawet dumę monarchy przez tyle lat udawał. Główny klucz twierdzy poznańskiej, — zbrojownia, — w ręku Polaków! Całe miasto Poznań w polskiej władzy. Z Kórnik, z Wrześni, nadchodzą kompanie pomocnicze. Rozbrojone są pociągi z urlopnikami i Grenzschutzem z Torunia i Wrocławia. Dworzec kolejowy obsadzony przez straż ludową. Domy miasta, miasta cierpienia i hańby, ozdobione są narodowymi chorągiewkami! Śmiał się z serdeczną radością Pawłowiak, opowiadając, co widział w Berlinie. Tłumy ludzi, setki tysięcy ludzi, zapełniających ulice i place. Wynurzyli się, jak straszliwa zmora z piwnic, ze strychów, z sal fabrycznych, zawałonych opiłkami i strzępkami, zalanych powietrzem zepsutem, zionących miazmatami, które stanowią atmosferę pracy. Oczy tych ludzi zionęły nienawiścią, a usta miotały przekleństwa na tych właśnie, którzy jarzmo niewoli na karku polskie wtłoczyli. Byli to więc sojusznicy, byli to bracia rodzeni. — Rewolucya! — Ale w dobie tejże rewolucyi Niemcy podejmowały ofensywę na Szubin, na Kcynię, od Nakła. Szły zdławić Poznań. Przedostawszy się za Noteć pod Florentynowem po lodach, maszerowały w stronę Poznania. Brawurowe uderzenie Polaków wyrzuciło ich za Noteć i odebrało im sześć armat,

dwadzieścia karabinów maszynowych, kilka miotaczy min, wiele amunicji karabinowej i artyleryjskiej, ryńsztunek, tabory i konie. W dobie tejże rewolucji artylerya strzelała do Polaków trującymi pociskami gazowymi i miotaczami min, oraz kulami *dum-dum* stale. Pociągi pancerne, jak pod Wierzchosławicami i Rynarzewem, z armatami rewolwerowymi, miotaczami granatów i karabinami maszynowymi usiłowały raz wraz, to tu, to tam wtargnąć w linie polskie. Pomiędzy Uściem a Czarnkowem wypadał atak niemiecki, opanowywał wsie Węglewo, Jabłonkowo, Wałkowice, Romanów, Osuch, nękając ludność polską i szerząc objawy przemocy, wypróbowane za czasów kajzera na wszystkich »frontach« tej wojny.

Uderzenie polskie przepędzało Niemców za Noteć, odbierało im karabiny maszynowe, miotacze min i amunicję. Zajmując stanowisko pod Górą na odcinku noteckim, między Wałkowicami a Roskiem, dwaj przyjaciele brali udział w odparciu ataku nocnego w dniu 9 lutego. W czasie chwilowego postoju gadali do upadłego po nocy. Były to rozmowy więcej, niż braterskie, były to rozmowy wśród świstu kul i huku wystrzałów.

I rzekł pierwszy:

— Czy wiesz? Teraz mię nachodzi tosamo, co w Krakowie.

— Kpij zdrowo!

— Nie chcę dobrowolnie umierać. Teraz? Nigdy!

— Ja myślę.

— Ale szczerze ci powiem, bez samochwalstwa,

bez fanfaronady. Poprostu. Już nie żałowałbym niczego na świecie. Widziałem.

— Jeszcześ nie wszystko zobaczył. Początek.

— Wiem jedno, że tam, w Krakowie prawdziwy głos usłyszał.

— No, to »czekaj«!

Tamten podniósł głowę i oczy zalane łzami na brata w tej walce. Z radosnym, z niebiańskim na wargach uśmiechem powiedział:

— Wiem, że cokolwiekby było, to »na drgającym szatanie ciele zatknijmy sztandar zwycięski Twój«...

Wysunięta w morze głowa Oxywska zamglona była tumanem. Kształt starego kościółka, który przerywa pustkę półwyspu od dziewięciu bez mała stuleci, zarysował się na tle drzew cudnego cmentarza, na stoku góry. Nie mało wiatrów chłostało wielkie głazy podstawowe tej świątynki. Liczne zmiany dziejów przesunęły się nad tem gniazdem westchnień nadmorskiego ludu, wielokroć przekształcanem, przelepianem i doklecanem z prostacka. Przeszły nad niem panowania mnisze, krzyżackie i świeckie, zabory, wywłaszczenia, księstwa, władztwa, królestwa, cesarstwa. Zawsze jednak nparte stróżowało nad swem morzem.

Morze rudo-zielone, a fijołkowe w oddali, poruszało się na całym swoim obszarze. Białe, a jakby lękliwe piany snuły się na czubach fali i chyżo w toniach ginęły. Na brzeg wklęsły i płaski, łukiem równym wygięty, woda szła nieustannym podrzutem, wciąż przemywając jego zdziar szorstki i gruboziarnisty, a pracą wiecznotrwałą wygładzając miałkiego piasku zwilgotniałe smugi.

Niepamiętne, zawsze jednakowo wytrwałe, niezniszczalne morze takiesamo było, jak przed niezliczonymi wiekami. Tam i sam rudy, czerwony, szary, na poły zwinięty dla wiatru żagiel niewidzialnej łodzi przerzy-

nał zielone wody i błękitne niebo. Taksamo, jak przed niezliczonymi wiekami.

Lecz zuchwała i bezczelna nowość narzuciła się oto tej dziedzinie. Jasno-żółte przęśla grobli portowej werznięły się w samoistny, samowładny i jednobarwny przestwór morza na sześćset metrów od brzegu. Poprzeczne ramię na setkę metrów wpoprzek, a w kierunku Kępy Oxywia, zagrodziło zatokę. Między pale sosnowe łamacza fali, zabite w dno głębokiemi żelaznemi kafarami, wwały się istne góry głazów. Tysiące beczek cementu skują kiedyś te głazy w jeden wał ostoi, niedostępny i niezdobyty dla najszańszej burzy. Tak to wdziera się, włacza i zachodzi w niczyją, bezpańską zatokę pierwszy port Rzeczypospolitej. Sześć wież wyniosłych dla młotów, siłą pary rzucanych, wydziela wciąż ze siebie kłębki pary, smugi dymu i tępy łoskot uderzeń. Młoty biją miarowo w odziewki wielkich sosen kaszubskich, które zaostrzonymi śpiczasto wierzchoły szybko w dno piaszczyste uchodzą. Raz wraz ciężki złom żelaza z hurgotem łańcuchów sunie w górę po wyslizganej powierzchni łoża stromego i piorunowo spada. Raz wraz obła, żółta strzała olbrzymiego pala usuwa się sprzed oczu, uchodząc w dno coraz głębsze, coraz bardziej tępy, głuchy, oporny odgłos wydając.

Setki robotników snują się po wiązaniach palowych, już wybudowaucy i spojonych mutrami. Jak mrówki, czy termyty, idą rzędem, miarowo nogi podnosząc i do taktu wykonywując przepisane i przewidziane ruchy rękoma. Tam i sam stoją na drabinach machin, na podmuchy wiatru wystawieni, podobni z od-

dalenia do flag i pawilonów. Twarze robotników schłostane są od wiatru, czarne od słońca. Drewniane ich trepy kołają o belki, tramy, wiązania poprzeczne i narzucone tymczasowo deski, gdy biegną i skaczą, wykonywując swe dzieło. Odzienie ich zniszczone jest od pracy, spłowiałe na wicherze, upale i deszczu, podobne do ich zarostu i włosów, — podobne do kurzu, pyłu, zeschniętych trocin, do wiórów i odrzuconych opiłków. Jedni z nich mają na głowach miejskie kapelusze, dobrze przez płutę wymyte, inni czapki okrągłe, wojenne, z pruskim czerwonym, mocno spłowiałym lampasem, inni niemniej spłowiałe wojenne, polskie rogatywki, a jeszcze inni okrągłe, płaskie rzeszota moskiewskie. Spod tych oznak potęgi wojennej minionej, lub nowonarodzonej w tych czasach, patrzą oczy siwe lub czarne, badając każdą rzecz trzeźwo, surowo, uważnie, pilnie i zimno, bez sympatii i pokory. Oczy te usiłują pojąć od jednego rzutu istotę zjawiska, sens zadanego trudu, ułatwić sile swych mięśni, mocy kości i więzów ciężki sposób wykonania. Nad tym skrawkiem przymorskiej bielawy i półkolem ujarzmionej zatoki panują wśród nieustannego szumu morza łaskoty młotów, ostre ciosy siekier, dźwięczne bicie w kowadła, szelest piły, trzask przerzucanych skrzyżalów i tępe echo oporu rdzenia drzewnego przeciwko pracy niestrudzonego obucha i dłuta.

Na skrawku ładu zalega piasek miazgi, wymieciony przez morze, pełen drobnych, fijołkowych muszelek. Zrzadka porasta go trawka tak uboga, że ledwie ją stać na bytowanie widome. Tam i sam uczeplił się piaszczystego garbu przyziemny, rozplaszczony oset

z kolczastymi liśćmi, albo charszcz chropawy, o bladym kolorze badylów. W spalonych, płowych trawach, na torfie lub piasku bytują karykatury główek polnych bratków, naparstnic, albo szarej skabiozy.

Powierzchnia tej nadmorskiej pustki, pełna jest dołów piaszczystych z oberwanemi brzegami, gdzie noga przechodnia zapada w sypką głębinę. Tylko stare żłobowiska zapomnianych drożyn pokrywa zieleńsza nieco murawka. Na wydmuchach litego piasku ślady niezliczonych stóp, wklęsłe, lejkowate dzioby, nie wskazują czasu. ani kierunku, kiedy i dokąd idąc, wygniotła je przechodząca tędy stopa człowieka. Wszędzie poniewiera się mnóstwo wiórów zczerniałych, zeschniętych, któremi wiatr się zabawia, włócząc je po rozległej przestrzeni. Wzdłuż i wpoprzek wydm, murawki i dołów przepaścistego szczyrku, rzucone na okrągłakach szyny roboczych kolejek, płaczą się pod nogami, w rozmaitych idąc kierunkach, jak wióry. Wśród nich lśnią solidnie na mocnych progach, grube i niewzruszone szyny szerokotorowej kolei, dowożącej belki, deski i kamień.

Kamienie leżą, jak góry, pracowicie na to miejsce przeniesione z odległych pól, z dalekich płaszczyzn i wzniesień, gdzie je pogubiły, lub wepchały w głąb moren lodowce, w swoją wiekuiętą dal wędrujące. Obok leżą równolegle, lub wyłamując się z porządku, niemniej wysokie stosy belek, tramów sosnowych, o śniatach odartych z kory, piętnowanych cyframi, przyniesione tutaj potężną wolą i siłą pracowników. Ociosane i obrobione z obudwu końców, leżą, jak biczyska, któremi państwo i interes poganiać będą siłę morza. Wyrwane,

jako chwast, z głębi lasów prastarych, wydarte ze szczytów i pochyłości gór, pójdą wnet posłuszne w rudozieloną głębinę słonego morza, głową na doł upadną, śmigłym wierzchołkiem zanurzą się w leje, wydrążone przez parę w twardem podłożu, na pięć metrów głęboko zakopią się na wieki pod dziewięciometrową wody głębiną, ażeby wiekuiłą niepodległość Światopełkowej dziedziny zbudować. Zaciosy wieńcowe, wklęsłe fugi, śruby żelazne i mutry na moc wkręcone spoją je w jedno paliszcze, niezłomne dla sześciometrowych bałwanów burzy najbardziej szalonej.

Na szynach kolei stoją dziwne kształty kafarów, pracowicie spełniających swe zadanie. Przenosi się z miejsca na miejsca kran Osgood'a, kwadratowy potwór z szyją żórawia, tańczący wokół swej osi, z kawałem surowca, lub belką olbrzymią w kłach paszczęki, istny turoń, pomykający raz za razem z błyskawiczną szybkością. Bliższą przestrzeń zagradzają baraki z jasnych tarcic, nakryte płaskimi daszkami z niepowabnej papy, pełne posłań i długich stołów jadalni zbiorowej, — klozety, roznoszące w nieskalanem powietrzu potworuy fetor odchodów kilku setek pracowników, — stosy porozmiatanych desek i obrobionych przeseł, które wnet pójdą na swe miejsce w tamie portu gdyńskiego.

Na widnokręgu stoją w ordynku porządnym niezliczone czarne pryzmaty torfu wydobytego już z głębi i w suche złożonego cegiełki. Lekka para wiekuiłej zgnilizny nosi się nad niedosięgłym dla oczu obszarem chyłońskiego pustkowiea. Leżały tam drzewiej piaski denne, głęboką pracą morza złożone, a wodą nasiąkłe,

jak gąbka. Na tym półobeschłym obszarze zagnieździł się mech, torfowiec. W ciągu długich stuleci ten to kozuch torfowy tamował bieg swobodny chyłońskiego potoku. Wsysając w siebie wody słodkie, rósł szybko, coraz wyżej, aż do dziewięciometrowej grubości. Niedochnięte jeziorzysko pomorskie zamieniło się w mokre torfowie. Tam to właśnie, w tę prastarą kaszubską pażycę, gdzie niegdyś przelewało się morze, gdzie przez wieki królowała niema głusza, gdzie leżała pustka ziewająca, a dyabeł Smętek światelka swoje, straszliwe dla ludzi, po nocy obnosił, — znowu na rozkaz ludzki morze ma się wrócić. Wlać się ma na dwa kilometry daleko w głąb łądu, znowu się pod moreny posunąć, — na kilometr z górą wszecz się rozpostrzeć, na dziesięć metrów w głąb zapuścić. Ma sobą napełnić doki uwiecznione cementem, omurowane i oskalone gładem ciosanym, — ma się potężnie rozszerzyć w basen środkowy, o półkilometrze średnicy, w którym największy dreadought o sile maszyn, równej sile siedemnastu tysięcy koni, obróci się lekko dookoła swej osi.

Ockniona znowu z tylosetletniego snu wola Chrobrego króla, spełniona wykonaniem sprawa żywota Jana Henryka Dąbrowskiego, objawia się w tej stronie, ażeby pokazać ułamek potęgi wielkiego plemienia, zabudowując zimną pustkę od strony Gdyni ubogiej i od strony martwych pagórów Oxywia. Tu i tam pobiegną w ciągu lat kilometry betonowych i kamiennych bulwarów i placów. Tam, gdzie teraz wałęsają się w malarycznym oparze białe, lub łąciate kozy, uwiązane na postronkach i przytroczone na głucho do kołków wbitych w torfowisko, — gdzie beznadziejnie i bezskutecznie, wielkiem zbioro-

wem gęganiem gęgają siodłate gęsi, biadając wśród kup bezuczuciowego torfu na swą deportację w te jałowe pseudo-trawy przez oberwane i niewiarogodnie brudne dzieci kaszubskie, — gdzie majestatycznie przechadzają się wędrownie wrony, a czasem przebiegnie bezpański pies, naszczekując z odrazą w nudne rozłogi, — zaświszczą sygnały i syreny setek kotłów, bić będą w niebogłoty, jak w Southampton, tysiące młotów, warczeć będą maszyny, śpiewać będą pracownicy, przygotowywać się do podróży wokół globu ziemskiego polskie okręty i młodzi polscy marynarze. Forty na cyplach Helu, Oxywia i Kamiennej Góry osłonią to pracowisko od pokuszenia się o nie wroga, linie kolei żelaznych poniosą stąd dorobek świata w głąb lądu, a z głębi lądu przytaszczą na wywóz dorobek pracy rąk polskich. W ciągu lat wykopany zostanie z długiej szyi, chyłońskiej ośmiometrowy pokład torfu, a podspodni piasek wyrzucony na podstawę wałów i tam, ujmie kisaną wodę malarycznej rzeczułki w czynne i żywo działające baseny. Wokół bulwarów staną olbrzymie hale, warsztaty, windy, przedziwne kształty stoczni i magazynów, biura, domy, baraki, hotele. Rozłożą się pod gołogórami Oxywia, w wewnętrznym porcie Polski, szeregi grubych kominów okrętów wojennych, z ich wieżami i blockhauzami, z paszczami armat i złowieszczem łożyskiem straszliwej torpedy. Głębokie gdyńskie morze, najgłębsze miejsce w gdańskiej zatoce, ujęte zostanie w szerokie, kilometry zakreślające mola, czyli ostoje, przedportu. Z dwu stron, od Gdyni i Oxywia, na tysiąc metrów wysuną się w morze paliszcza. Między niemi, w zatoce stanie napoprzek łamacz fali, — fa-

lochron, — zostawiający do przedportu dwa wolne wjazdy dla wielkich i małych okrętów.

Ten niewysławionej piękności poemat, tworzony w drzewie, kamieniu, betonie i żelazie, — ten przepo-
tężny dramat, ukazujący wydzieranie morzu jego wód,
siły, głębi i władzy, — ta wspaniała powieść o rozdarciu
ramieniem człowieka dziejów ziemi i kisańcego ze stu-
lecia na stulecie jej rozwoju, aby go w ciągu krótkich
lat przekształcić na narzędzie własne, posłuszne woli,
jako wół, koń i pies, — to nowe, w polskiej lądowej
duszy zatoczone dzieło, stawało się w oczach, z dnia
na dzień ukazywało swe strofy nieznane.

Rozwieszając na kozłach, tykach i drągach swe
sieci, wielorakie co do kształtu i barwy, swe różno-
rodne jadra, żaki i włoki, ciekawie podpatrywali to
dzieło rybacy. Okrążali rosnący w morzu łamacz bał-
wanów, pilnie się przypatrując. Rosło w ich piersi du-
szące zdumienie, zarazem zachwyt i wściekłość. To
Polska, pracą setek chłopów, walczących z morzem
w wicherze, zimnie i upale, tajemnem kierowanych ski-
nieniem tworzącego rozumu, w milczeniu swem do
nich mówiła.

Tego dnia, o naznaczonej chwili, nim termin końca
pracy wyświstany został przez sygnał, robotnicy opu-
ścili swe miejsca. Podobni z oddalenia do szeregu ter-
mitów, szli w porządku, jeden po drugim po długim
paliszczu estakady. Z oddali wydawałoby się mogło, że
płasają na morzu. Wnet wszyscy znaleźli się przy ka-
mieniach. Przybyli z drugiej strony ci, co wydobywają
w dalekich torfowiskach łoża doków, pracownicy za-
kładający szyny kolei, pracownicy drogi szosowej, ka-

mieniarze, mularze, cieśle, stolarze, kowale, traczę żeglarze z łodzi i rybacy od swych sieci powiewnych. Wnet cała widzialna przestrzeń wydm i dołów, zeschniętych traw i kolein dróg bocznych pokryła się mrowiem ludzkim. Jedni zasiedli na osypiskach dołów, inni na długich i okrągłych belkach, schnących w słońcu, nim się na zawsze w wody zanurzą, inni na stosach lądowych kamieni, nim je morze pochłonie. Ustały wybuchy kłębków pary, zacichły młoty, siekiery i piły. Wstrzymał się ruch wozów kolejowych, popychanych parą i ludzkiemi rękoma. Cały przestwór był teraz ruchomem, spłowieńcem pogłowiem. Ciche się szerzyły rozmowy. Ale oto na stosie belek ukazał się człowiek. Nastawiono ucha. Wiatr niósł słowa. Ów mówił:

— »Woetkąd je Hel, Jastarnio, Puck, Gdynia rebok woetpływoł ruten z checzy prek na moerze w wjater, w briza, w poegoda, w deszcz, w burza. A jak woen w noce złowjeł ceza moersce rebe, stornie albo stornewscje, tak woen zrena szed spac, a jego bjałka, nenka, sostra, albo corka rozwjeszała nete na szteki, abo knepele, abo bjezeła z nałowjonemi rebami do mjasta. do Gdońska. Woetkąd je Gdońsk bjałka z kaszebskiego, z rebociego strądu wrzeszczela na Fischmarku: — Gute Fische, frische Fische! Kaufe se, Madamke!

Jedno je mjasto nad Małem Moerzem. To mjasto są nazewo — Gdońsk.

Ninia przeszła Polska i zakazeje wozec rebe do Gdońska, na Fischmarku westawjac Ze rebok ma przedawac rebe? Wurząd polsci decht nakazuje: — W Pucku, Wejherowie. Jo — dobrze.

Rebok zawjóz rebe do Pucka, do Wejherowa. Postawjóz korzną z rebami na torgu. Przestąpjeł jeden mieszczon wejherowski, jedna paniszka. Kupieli wyrklich pynt, abo unjefer kilo stornewci. A reszta? Korzna ful rebe? Zasmjardzele se. Rebok wulewał zasmierdzele rebe z korzne na zemją. Tak beło jeden roz, dwa, trzi. Co w ciemnicą na moerzu mjoj nałówjone, co mjoj prze tim wjele bardzo rōbote, muszel na zemją rznąc. Kto woed reboka w Polsce stornje kupi?

Leze! Ze sprawjedliwosc?»

Z tłumu ozwał się głos:

— Zjedz sam. Polska tak dužo ryb nie jada. To niezdrowo.

Tłum się zaśmiał z ochotą. Rybak nie dał za wygraną. Ciągnął coraz wrzaskliwiej rzecz swoją, wymachując rękami:

— »Jacież to prawoe, żebe nie dac rebe przedawac? Ciede je nałówjono?»

— Precz z Polską! — odpowiedział głos zdaleka.

Zwróciły się w tamtą stronę głowy, jak za wiatrem. Tłum milczał. Oczy tylko siwe, lub czarne, badające każdą sprawę trzeźwo, surowo, uważnie, pilnie, zimno, bez sympaty i pokory, szukały nowego mówcy. Stał na długiem zsyplisku kamieni knop młody, piękno-licy, zwijając w palcach cygaretkę. Widzieli jego rozpiętą kamizelkę, o ośmiu białoświecących, rogowych guzikach, rozpiętą na piersiach koszulę i spłowiały kapelusze odsunięty z czoła.

Ten młody mówił:

— Czy to słyszana była taka rzecz za dawnych czasów? Jak to ma teraz być tutaj? Nie było dawniej

przeszkód takich! Po co wam te przeszkody? Co z tego macie?

Odpowiedzieli chórem rybacy:

— Polskich żandarmów!

— Polski żandarm konfiskuje wasze ryby i po paskarskiej cenie cichaczem je sprzedaje, czy wiecie, dokąd? No, czy wiecie?

— Do Gdońska! — wyrzeshzczeli rybacy.

Śmiech po wielkiej gromadzie przeleciał, jak wiatr po zbożu.

Knop wstąpił wyżej na stos kamieni, nogę prawą o głaz najwyższy oparł niedbale, zaciągnął się tego dymem i rzekł, wyciągając rękę z gestem znamienym:

— Gdzieś za górami, za lasami panowie świata, Anglik z Francuzem, handlujący narodami i ziemiami, prehandlowali ten kraj. Tak im z rachunku wypadło, że go Polsce odstąpili. Czy wam źle było z Niemcami? Jakiem prawem Polska przychodzi tu dotąd?

— Stul pysk! — zionęło, jak pocisk z głębi tłumu.

— Czemu? Prawdę powiadam.

— Ja się pięć lat okrągłych terań we wojnie, wszy me żarły, w krwawych bitwach stojałem o to, żeby Polska przyszła tu dotąd!

Tak wołały jakieś usta spod rogatej, spłowiełej, szarej czapczyny.

— A ja to samo w krwawych bitwach stojał o co innego.

— O co? — wydarł się tamten.

— A o to, widzisz, te rogacz,— wołał ktoś z głębi zbiegowiska, — żeby go kajzer mógł widzieć przez szkiełko, jak na paradzie w Berlinie będzie w parade-

marszu but pod sam swój nos zadzierał, — *ejn-zwei, ejn-zwei, ejn-zwei.*

Śmiech znowu przeleciał w masie.

— Precz z wojną! — zawołał jeden.

— Precz z tą wielką świnią, z największą ze świń tego świata, precz z wojną! — wołał drugi.

— Precz z wojną! Na wieki wieków! — wołał trzeci.

— *Nie wieder Krieg! Nie wieder Krieg!* — wołał czwarty.

— *Dołoj wojnu!* — wołał piąty.

Tamten w rozpiętej kamizelce nie ustępował. Puścił dym swego papierosa i znowu począł krzyczeć:

— Wy sobie gadajcie, co chcecie, a ja jednakże dam wam dobrą radę. Słuchajcie! Co Polska dała komu dobrego? No, gadajże, jeden z drugim, skoro wiesz! Nigdy nikomu nic dobrego nie dała i nie da! Nie jej na to siła i głowa. A ja wam tak radzę: bez żadnej tam wojny podajcie do tych, co ludami i ziemiami handlują, petycyę. Ja wam ją napiszę. Niech was tam, gdzie potraza, przydziela. Wtedy będzie wam lepiej. Nie będzie rybakowi polski żandarm ryb konfiskował. Nie będzie białce, co do Sopotu lasem, krzakami masło szmugluje, dorobku jej wydzierał. Nie będziesz tu, jeden z drugim, na śmiech ludzki morza grodził! Na to jest Gdańsk, żeby w nim port był dla szyfów.

— Co nas to obchodzi, kto, co i na co robi? — zawrzeszczał z głębi głos niezwalczony. — Nam trzeba o to dbać, żeby płacę podwyższyć, a dzień roboczy przykrócić. Przez wieki wieczne ta sprawa się wlecze, a do swego celu nie może się przywlec. Jakies tam

rzeczy, nie wiadomo jakie, i po co robimy. Nie nasza sprawa...

Tłum potakująco zaszemrał.

— Dla polskiej burżuazy... — rzekł tamten. Na stos kamieni wyszedł drugi gaduła. Pierwszego gadułę łokciem potrącił, aż tamten przysiadł na głazie.

— Powiada ten oto niemiecki naganiacz, że Polska morze popróznicy grodzi. A tamten znowu, że je dla polskich bogaczy tak grodzi. Nie wierzcie! Każdy pał, co tu w podwodne dno idzie, grodzi na wieki wolność Kaszubów. Nie będzie ich nikt nogą deptał, ani sprzedawał, ani kupował. Skoro ta zagroda w morzu stanie i na wieki stwardnieje, nie zginie już Polska i obroni Kaszuby. Nie będzie rybak na sprzedaż z rybą do Gdańska bieżał, bo co złowi, pójdzie wprost a tela wagonami do Polski. Sama Warszawa zje wszystkie twoją rybę.

— Nigdy tego nie będzie! Polska nigdy nic nie buduje. Zacznie, na śmiech ludzki, i stanie. Braknie jej geldów. Albo się poprostu rozmyśli. Budują tylko Niemcy!

— Niemcy tu były przez wieki. A cóż po nich zostało? Bieda, brud, nędza. Nawet tej drogi do staro Oxywia nie pchnęły. Sobie tylko pałace i przepychy we Gdańsku, w Sopocie. Prawdziwie: dla burżuazy. Jedno tu Niemcy zbudowały naprawdę: oto z Kaszubów pół-niemców wykrzesaly dla siebie, mowę słowiańską półnapół pośladem swojej gwary zepsutej przetkały.

— Niech żyją sowiety! — wołała jednogłośnie grupa jedna.

— Sowiec tutaj założyć! Ten będzie wiedział, co jest prawda, co kłamstwo... — wołała grupa druga.

— Sowiety... — wtrącił pewien z tłumu. — Słuchajcie, ja wam powiem, bom tam bywał, widziałem na oczy. Sowiety potrzebne są na świecie, jak drożdże są potrzebne do wypieku chleba. Gdyby drożdży nie było, udławi się świat dzisiejszy suchą i jałową mąką, nawaloną w jednym miejscu przez interes i łajdactwo bogaczy. One sowiety mogłyby mąkę świata zamienić na chleb zdrowy, pożywny, chleb nasz powszedni. Ale cóż? Same drożdże chcą być chlebem, same się podsuwają światu zamiast chleba i są nie do pożywienia, nie do strawienia, jeszcze gorzej, niż mąka. Samemi drożdżami nikt nie wyżyje.

— Sprawiedliwie powiedział, — wołał inny. — W tej Polsce nowej może być miejsce na śpiżarnię świata. To jest przecie nasza matka. Trza ją będzie szarpać nieraz, żeby chleb prawdziwy piekła dla dzieci, ale sama tylko przecie rodzona matka dziecka wykarmi niefalszowanym chlebem.

— Utyjesz, schlebiaczu burżujów, jak cię Polska nakarmi!

— Czy był tu głodny za niemieckich czasów?

— Kłamiesz! Cokolwiek tu niemiecka moc tworzyła, to zawsze w tym jednym celu, żeby ten kraj na Niemcy zamienić, mowę tutejszą wytrzebić, ludzie w Niemców przeistoczyć. Patrz, jak biegną koleje: wszystkie ze wschodu na zachód, z Królewca do Berlina. A wasza ziemia kaszubska po to była, żeby przez nią przechodzić, żeby ją deptać i tratować, aż się stanie Niemcami. Kto poza Polską może obronić Kaszuby?

— Bo tylko Polska buduje koleje z północy na południe: do swojej Warszawy.

Tłum słuchał. Ów perorował:

— Jest ich jeszcze dwieście tysięcy, Kaszubów. Kto o nich stał na świecie poza Polską?...

— Słyszycie, jak was na Niemców judzi polski naganiacz! — wołał knop piękności, wstając z miejsca.

— Łziesz, bracie! Nie judzą na Niemców. Kto jest Niemiec z rodu i z mowy, a na polskiej, czy tej kaszubskiej ziemi się zrodził, z nami pracuje i na kawałek chleba zarabia, kto z nami szczerze żyje i zdrady w sercu nie chowa, ten jest nasz brat najrodzeńszy, przyjaciel i kamrat wieczny. Nie żywimy do Niemców, naszych współrodaków i towarzyszków, zemsty ani odrazy.

— Wielka łaska!

— A czego jeszcze chcesz więcej? Słyszycie! Chce, żeby nad nami koniecznie Niemiec panował. Niemiec jest panem w swoim kraju, my w swoim.

— Niemcy umieją rządzić ludźmi. Dla Niemiec jest ten kraj potrzebny.

Tłum porwał się z miejsca i zawrzał. Pięści się przeciwko mówcy podniosły. Wrzawa go zagłuszyła. Krzyk nacichł wówczas dopiero, gdy na stosie kamieni Niemiec rodowity stanął i po niemiecku przemówił:

— My robotnicy nie chcemy już panowania nad Polską. Nie będzie już przynigdy Prusak niemczył Kaszyby! Dla czego jeden naród ma nad drugim narodem panować? Dla czego Polska nie ma się wydzwignąć z niewoli, z niedoli? Czemu nie ma zaprowadzić u siebie ładu, czystości, zdrowia, porządku, ozdoby i wygody

takiejsamej, czy odmiennej, jak Niemcy zaprowadziły u siebie, a może lepiej i piękniej, niż Niemcy? Precz z przemocą narodu nad narodem! My Niemcy nowe podajemy szczerą dłoń wiecznej zgody nowej Polsce. Precz z wojną!

Tłum radośnie, jednogłośnie zakrzyknął:

— Precz z wojną!

Mało wiele przed północiem odchodził z Gdańska wielki angielski parowiec, nazwiskiem »*Albion*«, kierując się na zachód, do jednego z portów brytyjskich. Ostatni łoskot windy, hurgot wyciąganej kotwicy, bieganina marynarzy po schodach, pokładach i przejmujące wreszcie dźwięki sygnału zbiegły się z westchnieniem ostatniego pasażera, który pokład opuszczał, do kajut się kierując. Wielki lśniący okręt, niby dziwne miasto fabryczne, pełne kominów, maszyn i ludzi, przesunęło się obok bulwarów kamiennych i skromnych starych domostw, gospód, sklepów i siedlisk rybackich w Neufahrwasser, wykonywując niby taniec dziwny, dawno ustalony i niegdyś w głębi lat przepisany, gdy mijał inne parowce, bezwładnie w kamiennem łożysku na kotwicach leżące. Tam i sam zatoczył półkole, wykonał grzeczny rewerans, niby w prastarym *country-dance* na motławsko-wiślanych popławach. Zdawaćby się mogło, że tchu nabiera i gromadzi w sobie siły, gdy wpłynął w szyję wody dojezdnej i wymijał latarnię na cyplu kamiennej ostoii. Latarnia na pożegnanie zaśniła we wszystkie jego okna, zajrzała w kajuty — raz-dwa, raz-dwa, — i oto zarysy lądu rozbiegły się we dwie strony, a przestwór gdańskiej zatoki ogarnął sobą przybysza, wypuszczonego z cieśni lądowej. Pasaże-

rowie, jeszcze powiewając chustkami, choć nikogo już z bliskich widać nie było, gdyż brzeg sam uciekał, niczyjego głosu nie słysząc z mrocznej odległości, osuszali oczy i zwracali je w morza rozległość. Światło elektryczne zalewało pomosty, pokłady wyższe i niższe, czatownie sternika i oficerów służbowych, schody, wnętrza kajut, jadalnie, sale machin i kuchnie. Szczególniej w salach machin, huczących i ziejących zaduchem, światło płonęło, jak w piekle.

Silny wiatr wschodni wzmagał się w miarę wychylania się statku z gdańskiej sześciometrowej pły-cizny i dosięgania pełni wodnej. Była to czarująca noc ostatnich dni lipca. W bezchmurnem niebie lśnił księżyc jaskrawy, żywosrebrny, rozsiewający światło niemal dzienne. Tysiące gwiazd zalegały nieboskłony i zenit najwyższy. Wiatr powiewający od morza niósł w kaszubskie i lechickie łądy zapach wody słonej i zapach jodowy, szczególną rzeźwość i siłę. Podnosił z dalekich nad głębiną rozpostarc fale duże i poganiał je ku brzegom zalewem tak szerokim, jak zatoka. Fale biegingy chyzemi bryłami, a napotkawszy brzegi w swej drodze, zwijały się na nich świdrem zielonym wokół samych siebie, rozpryskując niezliczone piany. Wiatr odbijał się od ruchomej i szumiącej powierzchni i padał na wzgórza gliniaste, na prastare moreny, zbożami dostaleni okryte, — wiał w doliny płaskie i długie, odwiecznem załadowane torfowiem, — pomiałał mgłami, ciągnąciami od dolin ku leśnym pagórkom. W locie swym kołysał łany żyta, przeluwające się ze wzgórz na wzgórze, wysuszał ziarna w kłosach i żółto-białą barwę nadał zielonym ździebeł kolankom. Fale żyta szumiały

własnym swym głosem nad własnym głosem fal morza, bytując w świetle księżycy. Wiatr od morza przypadał na wyżyny Oxywia, dął w lasy wejherowskie, w puckie łąki i niże, piaski, wydmuchy i zarośla Helu, w błota karwińskie i jeziorzysko Żarnowca. Każda pierś ludzka oddychała radośniej i szerzej wiatrem od morza. Serce krzepiło się uderzało swobodnie, gdy pochłoneńy go płuca. Zakradał się w żyłeczki małych dzieci i dawał nowy pęd kropelkom krwi nieskalanej. Błogosławili go ludzie silni, robotni i potężni w ramieniu, których chwila wytchnienia krótka jest, jako ten wieczór. Błogosławił go rybak, zwiastuna pogody, — »Ost — rébocci trost«, — pociechę i otuchę, wrzucając sieci w czarną łodź, schłostaną od pienistych grzyw denegi, wciągając długie swe buty przed nocną pracą na morzu. U drzwi domków ceglanych, na progach siedząc kamiennych, starcy z opuchłemi nogami wsłuchiwali się z rozkoszą w znajomy jego szum, przyjaciela, który wielkie wznosi wały z tamtej strony Helu, a na łyse głowy i zmarszczkami porznięte oblicza padając, dawne przypomina sprawy, walki, burze, młodociane i męskie lata. Błogosławiły go usta młodzieńcze, szepcząc w ukochane usta słowa szaleństwa ludzkiego, przez wiatr z morza w serce rzucone. Błogosławiły go matki z miast dalekich, na kolana u łożeczek dziecięcych rzucone, zanosząc tajną, najzarliwszą, najbardziej strzelistą i pokorną modlitwę do Boga wiecznie żywego, ażeby ten żywotwórczy wiatr od morza rozgrzał, rozdmuchał, rozpędził i usunął małe a złośliwe gruczoły i zaczajoną w nich płucną zarazę, przekleństwo rodu ludzkiego, w głębi organizmów maleńkich.

Wiatr wschodni spędził z pokładu parowca, hu-
czącego w ciszy, przeważającą większość pasażerów.
Postacie kobiece znikły zupełnie, chroniąc się do ja-
dalni, czytelnicy, salonu i przedziałów sypialnianych. Na
pokładzie w rozmaitych jego miejscach pozostało kilku
mężczyzn.

Jeden z nich w kwiecie lat męskich, wysmukły,
błądził przy balustradzie krokiem swobodnym, lekko
przechylając się i balansując, w miarę pochyleń okrętu.
Twarz tego pasażera mocno była opalona, prawie cie-
mna. Na policzkach i na brodzie, na dolnej i górnej
wardze widać było przy jaskrawem i elektrycznem
świecie błękitnawe smugi, mimo starannego ogolenia
twarzy. Ubrany był najbardziej »fashionable«, po pod-
różnemu. To ubranie świeżo zaprasowane, czyste
i świetnie skrojone przystawało, niemal jak skóra, do
muskularnej figury podróżnego. Ciemne jego źrenice
świeciły pod daszkiem *cap'u*, nasuniętego na oczy.
Palił doskonale cygaro, w miarowych odstępach czasu
wypuszczając spomiędzy kłów pachnące kłęby niebie-
skiego dymu. Czasem otrząsał grubą warstwę szarego
popiołu i wtedy na palcu jego prawej ręki połyskiwał
wielki herbowy rubin sygnetu. Ten wytworny pasażer
przerywał kiedyniekiedy swą po pokładzie wędrówkę,
opierał się na żelaznych sztabach balustrady, zwróconej
w stronę lądu, i bystro patrzył na ziemski krajobraz,
zasłany lasami, wzgórzami, zbożem i murawą.

W świetle księżycy ziemia daleka była piękna
nad wyraz. Była bowiem jakoby sen bezgrzesznego,
wszechpotężnego Stworzyciela o lądzie, — o tem, jakim
ląd wśród rozlewisk morskich być może. Przesuwała

się, jako urocze i wzniosłe widzenie suszy, wyłonionej z oceanu, spod lodowców, z dzikości skostnienia. Światła w wioskach błyszcząły jeszcze, jak lśnienie sznura brylantów. Świeciły jeszcze tu i tam pojedyncze okna w domach samotnych. Czasami oddalony łoskot pociągu, przebiegającego obok kniej i wzgórz, dosięgał środowiska morskiego i wpadał w ucho wędrowca, jako świadectwo niezwykłej energii i nieustannej pracy człowieka. Czasami szczekanie psa, donoszące ziemi i morzu, iż wiernie stróżuje, cokolwiekby mu groziło, ogniska, od którego spadnie i przed jego oczy kość jałmużny, mocniejsze było od wiatrów poświstu. Ten głos bezinteresownej wierności i prawości, znak zakładu i sojuszu trwałego człowieka ze zwierzęciem, biegł długo za okrętem. Samotny pasażer znał, widać, te strony, gdyż, patrząc w ład i puszczając kłęby dymu, zcicha, mniej, niż półgłosem, przepowiadał sobie nazwy dalekich światłek: Obluzie, Kossakowo, Pierwoszyn, Rewa, Rzucewo...

Statek wychylił się poza brzegowe wody Helu i szybko minął smugę światła, padającego kiedyś kiedyś z helskiej latarni. Wypłynął na potężne fale pełnego morza i zakołysał się silniej, bujniej, swobodniej. Wiatr ostry powiał. Wtedy ostatni pasażerowie ustąpili do kajut. Na pokładzie został tylko Anglik, czy Angloman, i jakiś drugi podróżny, tęgi i silny mężczyzna, blondyn z rudawym zarostem, w zielonym kapeluszu i gdańskiej pelerynie. Ten również palił cygaro i podśpiewywał obok baryery.

Daleka elektryczna blica Rożewa. rzucająca raz wraz, co minuta, swój nagły promień na kilkadziesiąt

kilometrów daleko, oświetlała twarze dwu ludzi. Morze, narzucające się bez końca na białe, nieskalane ludzkim pobytym, piaski podsypisk szerokich Jastarni, Wielkiej Wsi, Chałup, Rożewa, Karwi, było tak piękne, iż dwaj podróżni uznali za nagłą konieczność zawiadomienie się o tej bardzo starej prawdzie nawzajem. Wyrzobili to ponemiecku:

— Morze w tej stronie jest bardzo piękne, nieprawdaż? — mówił brodaty.

— Tak jest, szczególnie tutaj, na Helu, — rzekł brunet. — Gdy wiatr zachodni dmie w Brzeźnie, Jelitkowie, Sopocie, Orłowie i Gdyni, pędzi z lądu kurz na brzegi, a wodę morską odpędza od brzegów, zamieniając morze w staw pospolity. Przeciwnie na Helu. Wiatr zachodni przypędza do jego brzegu najbujniejszą falę z małego morza, nasyconą jodem. A zresztą ów brzeg, — toż to na północnem wybrzeżu południowa plaża. Figa tam rośnie i winograd.

— Pan zna te strony?

— Dość dobrze i od dość dawna.

— Oto szmat niemieckiej ziemi, z trzewiów nam wyrwany! — jęknął blondyn.

— Hm... — zakaszał raczej, niż odpowiedział ogolony brunet.

— Pan może jest właśnie Polakiem? — zapytał drugi.

— Bynajmniej.

— Ta ziemia, ten korytarz, toż to istny pal, wbity w żywe ciało niemieckie! Koł zaostrzony, którym nas przeszyto po obaleniu na obie łopatki.

— Pan znajduje? — spytał półciekawie wygolony zaciągając się dymem cygara.

— Patrz pan, — czyż człowieka może nie ogarniać wściekłość? Ta latarnia! Niemiecka praca, niemiecka budowla morska, przed stu pięćdziesięcioma laty wzniesiona, udoskonalona teraz naszym staraniem, zaopatrzona w świetne maszyny Schuckerta, w maszyny do wydawania głosu syreny, — w ręku tych barbarzyńców.

— Światło latarni jest teraz, jak i dawniej, raczej elektryczne, niż niemieckie, lub polskie. Głos syreny jest wśród mgły, gdy światło nie działa skutecznie, równie teraz, jak dawniej, zbawcze dla rybaka.

— Pana te rzeczy, widać, nie bolą i nie obchodzą. Ale dla nas, Niemców rodowitych i czujących swą krzywdę i zniewagę..

— Już mię te sprawy, w istocie, nie obchodzą. Interesowały mię dawniej. Bardzo długo. Teraz już mię nawet nie zajmują.

— Dla czego?

— Poprostu dla tego, że one, w istocie, już tu nikogo nie mogą obchodzić.

— Och!

— Pana może jeszcze ostatniego.

— Ja tego wszystkiego nie mogę znieść. Wyjeżdżam stąd. Emigruję.

— Ja także.

— Pan jedzie do Niemiec?

— Nie, do Anglii.

— Jeżeli sprawy tutejsze i ich bieg, dla Niemców fatalny, nie obchodzą pana, to po cóż wyjeżdżać? — spytał blondyn.

— Jakby to panu powiedzieć? Wygasa tutaj to,

co mię dawniej interesowało. Nastaje tu martwy spokój, którego nie znoszę. Niema tu już niemieckiej duszy i pasy.

Blondyn przysunął się do bruneta i zapytał go zcicha:

— Pan pracowałeś w niemieckiej robocie?

— Być może, — rzekł angłoman.

— Czemuż ją pan rzuca? Tacy ludzie są nam potrzebni.

— Tu już niema i nie będzie dla mnie roboty. Markgrafowi Geronowi zastąpił drogę jakiś ciemny, a podstępny Mieszko. Spojrzeli sobie w oczy — i, o, dziwo! — postanowili zawrzeć zgodę. Jeszcze jej nie zawarli, ale ja zawarą. Cóż ja tu mam do roboty?

Tęgi Niemiec zaśmiał się grubo.

— Śmieję się pan... — rzekł brunet. — Stanęła już w miejscu wasza siła i dalej na wschód się nie pomknie. Przeciwnie. Będzie się na zachód odginała. Widziałeś pan, co się stało z Poznaniem, Bydgoszczą, Grudziądem? Czy wiesz pan, co za lat kilka będzie z Gdańskiem! Niemcy się polszczą. Przypominają sobie dawne swoje słowiańskie pochodzenie i — horrenda się dzieją. Zresztą, w głębi was samych słabe cnoty zaczynają pulsować. Wyciągacie stare szlafmyce i pantofle. Stajecie się potulni i zgodni.

Blondyn zachnął się głośno, a groźnie zaprzeczył.

— Nie zaprzeczaj pan. Umiecie gniewać się i perorować, ale już robić na całego po dawnemu nie zdolacie. Ja wiem dobrze.

— Nigdy się nie wyrzekniemy tej ziemi!

— Ale ona was się wyrzekła. Zresztą, mnie oświeście, robota istotna, robota w moim, to znaczy, w wielkim stylu, nastęrcza się gdzieindziej.

— Gdzież to?

— Gdzieindziej. Tam, gdzie jeszcze naprawdę handlują ludami, ziemią, prawami, cudzemi niepodległościami i prastarą kulturą. Tam, gdzie jeszcze kłamią w żywe oczy, mając na obliczu bezczelną a wspaniałą maskę nieposzlakowanej prawdy i cnoty. Tam jadę ofiarować swe usługi.

— Ha — szczęśliwej podróży!

— Z wami, cóżbym tu teraz robił? Zapisać się na śląskiego, lub wschodniopruskiego najmitę z nożem w rękawie, lub ręcznym granatem w kieszeni. To wam wykona, według zleceń, prawą lub lewą ręką każdy dobrze płatny parobek. A ja mam jeszcze, oprócz ręki, także i głowę. Moja głowa nie ma już dla was tęgich myśli. Stoicie na rozdrożu nowych gościńców, wiodących do krainy cichych cnót i zgodnego posłuszeństwa każdemu, nawet cudzemu, prawu.

— Mylisz się pan grubo!

— Nie myślę się. Będziecie robili w cnotach, jak umiecie robić w sklepikach, porządnie i systematycznie. Maluczko, a ockniecie się w ramionach braci Polaków, tudzież łyzy miłości będziecie w ich brudne kamizelki wylewać. Przebaczycie sobie nawzajem winy, odpuścicie grzechy, zapomnicie starą przeszłość, podacie sobie prawice, wykreślicie najsprawiedliwsze na świecie zażębienia gminy o gminę i, każdy w swoim kraiku, albo przetasowani pomiędzy sobą w miastach mięsanych, będziecie zgodnie i nazawsze pracowali nad nor-

malnym przyrostem żywej wagi mamy cywilizacji i spokojem żywota papy postępu, uchylając wszelkie powody niezdrowej alteracji.

Machnął Niemiec groźnie prawicą.

— Nie zaprzeczaj pan. Podpatrzyłem was dobrze, uważnie, w szczegółach i na przestrzał. No — i długo Teraz już na zawsze żegnam — i wyrynam! Gdzie pieprz rośnie! Należycie do przeszłości. Wygaś w was Henryk Ptasznik i ocknął się ze snu przy grobie świętego Wojciecha Otto Trzeci.

— Cóż to za mistyka!...

— Ręcę panu. Jadę do tych, co chyłą się wprawdzie także ku przeszłości, sypią się tu i tam w gruzy nowoczesnego zwicnięcia rasy człowieczej, ale mają w sobie wigor Ryszarda Lwie Serce, któremu ludzkie mięso równie dobrze smakowało, jak bycze lub baranie, a który chętniej zwykł był zabijać ludzi, niż zwierzęta. Tam jeszcze stoją otworem kuźnie i wałą ręce potężnych kowali w kajdany na gorących od młota kowadłach. Tam jeszcze czczą dumę ze siebie, jako bożyszcze, a na deptaniu wszystkich innych, białych i żółtych, czarnych i śniadych zasadzają i gruntują swoją własną, na wyspie wyrobioną sprawiedliwość.

— Więc pewny pan jesteś dobrej posady u tych nowych panów?

— Będę się starał o dobrą. Mam niezłą szkołę i niezłe rekomendacje. A gdzież dziś, panie, ocenią wysoką wartość mych rekomendacji? Tylko tam, dokąd się kieruję. Tam jeszcze wygłaszają słowo — sprawiedliwość, — z flegmą dusząc obiekt za gardło.

W tej chwili pociąg przebiegał wzdłuż helskiego

półwyspu. Świecił jaskrawo okien szeregiem i sunął po niskiej, przymorskiej ziemi. Zdawało się, że mknie po powierzchni morza.

— Patrz pan, patrz! Pociąg na Helu... — mówił do Niemca angłoman.

— I cóż? Śmieszna impreza Polaków.

— Mówiłeś pan, że to barbarzyńcy. Tymczasem oni wybudowali kolej tam, gdzie wy zostawiliście barbarzyństwo.

— Mógłbym dużo śmiesznych anegdot o tej tam kolei powiedzieć. Ale szkoda na to czasu. Wybudowali ją pod przymusem wypadków, ze strachu.

— Ejże! Ten pociąg nawiezie ich tu z głębi lądu. Obsiądą ten przylądek i zaludnią. Wysypią na piaski z jednej i drugiej strony tysiące tysięcy dzieci. Uczynią z jałowego pustkowiecia południową plażę w tych północnych wodach. Będą się tu leczyli i nabierali zdrowia. W siły tu porosną. Będą tu wypiókiwali wszystek brud i skarleńce swe, w niewoli nabyte. A gdy się dobrze nauczą myć, czesać, kąpać, — a gdy się jeszcze nauczą powaszemu zamiatać, szorować, — no, i pracować, — biada, synowie Bismarcka!

— Nigdy się nie nauczą myć, czesać, kąpać. A już powaszemu pracować — przenigdy!

— Dobrze jest mieć w sobie, na składzie większe zapasy pewności swego dostojęństwa. Owszem. Ale muszę jedno szepnąć w zaufaniu. Już te bramy piekielne, któreście, — powiedzmy, — któreśmy tutaj wielokroć nad nimi zatrzaskiwali, ta pokrywa szczelna i z dobrego żelaza, — zardzewiała, połupała się i pękła na zawsze. Nigdy już nie odzyskacie Pomorza!

— Skądże to taki horoskop? Nim jedno pokolenie podrośnie, zawali się w gruzy to własne ich, śmieszne »państwo«.

— Kto to wie!

— Z rozkoszą nas powitają Kaszubi, gdy tu powrócimy.

— Kto ich tam wie, tych Kaszubów! Było już tak, żeście pracowicie osadzili swych własnych ludzi na piasku pruskiego pojezierza, żeście im grunt wykarczowali pracowicie, żeście im domy porządne zbudowali, żeście ich zaopatrzyli, w co potrzeba, a przeciwno wam samym skoczyła rewolucya tych ludzi, dzika i straszna, na noże idąca. Cóż dopiero teraz, o Niemcy!

— Przeciwno Polsce wypowiedział się wierny nasz Mazur.

— Czy się drugi raz przeciwno niej wypowie za lat dziesięć, piętnaście, gdy go dzieje spytają o zdanie, — któż zaręczy? Powtarzam: już raz wasz lud własny do Polski się twarzą obrócił i na twarz przed nią upadł, błagając, żeby go wzięła pod swą władzę. Któż wie, czy Mazur nie otrze z twarzy potu a brudu niewoli i nie wspomni sobie, że nad nim panują cudzoziemcy?

— Przypatruję się panu i myślę, że z zamaskowanym Polakiem się spieram.

— Uspokój się pan. Zbyt dobrze wam życzę. Ale właśnie dla tego, że dobrze wam życzę, prawdę w oczy wam mówię. Sami sobie nie lubicie prawdy w oczy wyjawiać.

— Pracują w głębi Niemiec tysiące tysięcy warsztatów, zakładów, pracowni. Organizujemy nowe Niemcy. Państwo przejmuje warsztaty i wspólnie z rzeszami

pracowników organizuje olbrzymie zespoły. Kto lepiej od nas pracuje i wytwarza na ziemi?

— To właśnie, to właśnie! Lecz wśród wszystkich tych zjawisk jedno was zaskoczyło straszliwie.

— Wojnę przegraliśmy z kretesem, sami jedni przeciw globowi ziemskiemu!

— Nie, nie to. Czyż pan tego nie widzisz? Masa się wam z garści wymknęła. Już ani Niedźwiedź, ani Fryc, ani Bismarck nie udepce jej, nie ujarzmi, nie ugniecie w żelaznych swych dłoniach. Masy nie macie, jak ją mieliście niegdyś. Wyszła poza was i stała się sobą. To jest wasza klęska najgorsza.

— A tam, dokąd pan jedziesz, masa nie chce być sobą, nie wyłamuje się z ręki?

— I tam, dokąd ja zdążam, masa staje się sobą tęższe jako lawa, wypływająca z krateru. I tam płynie ta klęska, równie dobrze, jak u was. Ale tam jest gmaszysko przestronne, olbrzymie, kolosalne, na całą kulę ziemską rozległe. Tam jeszcze pan znajdziesz przy wszystkich nowoczesności pozorach, maskach i snobizmach, podziemia, zapadnie, jaskinie, wieże tortur, trupiarnie, kostnice, Gibraltary, Malty, Indye — i inne, nory i dziury z dziesiątego wieku, w których działają obcęgi i kuny metodami z wieku czwartego. Tam jeszcze stoją interesujące zamki Lady Macbeth. Śmieszna to była pycha wasza, żeście się z tamtymi ludźmi równać zamierzili. Czyż wy jesteście takim gmachem? Tyleście zyskali, że wasz stary Malborg z jego tajnymi schodami i gruboskórną jego legendą prześwietlili światłem elektrycznym, ażeby was było widać wzdłuż, wszere i naprzestrzał. I widać was, jak na dłoni.

— Skarże Bóg Anglię!

— O, najśmieszniejszy z okrzyków! Zaczniście już lepiej czytać nanowo pisma Ludwika Tiecka. Albo »Cierpienia młodego Wertera« nanowo odczytywać zaczniście. Zalejcie się nanowo waszym quasi — płaczem. Mniej śmieszni będziecie.

— Znieważasz nas pan, gdy jesteśmy w nieszczęściu. Ale wydzwigną Germanię ramiona jej synów!

— Wydzwigną, lecz nową i wam samym nieznaną. Aby starą wydzwignąć, już ludzi nie macie.

— My, panie? — śmiał się Niemiec.

— Ci, o których pan myślisz, to nie ludzie, to pały. Trzebaby za nich kręcić głową, za rękę ich prowadzić, ramieniem ich podpierać. Dość tego! Nim się wielkie gmaszysko, cel mej drogi, zacznie walić, w gruzy lecieć, w pył rozmiatać, nim ten teatr, godny bogów, napełni glob łoskotem i szczękiem nielada, zabawimy się jeszcze.

Statek zatoczył półkole i wzdłuż Helu kierował swe drogi na światło latarni i na kępę czarującą Rozewa, we mgły nocne spowitą. Długi połysk latarni padał w wody i odbijał się w oczach rozmówców. Okręt, jakoby fantom przedziwny, płynął w nocnym тумanie, nie wiedzieć, w okręgach wód ziemi, czy na pograniczu niebieskiem. Kadłub jego wyniosły, prześwietlony w stu miejscach, niósł się, jako widzenie w jasnej nocy przestworach. Docierał do lądu tak blisko, iż słyszeli go ludzie, jak płynie, wspaniały, w swe drogi dalekie. A docierał do lądu tak blisko, iż z cichego osiedla, z Ceynowy, — które zowią Chałupy, — gdzie cisi, pracowani rybacy spali głucho pod Bodziem, doleciało do

statku północne pianie kura. Posłyszał pianie kura ciemny na pokładzie podróżnik. Wstrząsnął się, jak od chłodu nagłego przejęty.

I rzekł do towarzysza podróży:

— Już północ. Kur gdzieś zapał! Nieprawdaż? Kiwnął głową przygodny znajomy.

— Czas na mnie! Dobranoc!

Szybko przebiegł przez pokład, obok kotłów huczących od ognia czarną plamą się sunął, w czeluść schodów świetlistych się schylił. W świetle drzwi, prowadzących w dół statku, do kajut i maszyn, postać jego przepadła, jak widmo.

KONIEC.



BIBLIOTEKA
Konsulat R. P.
w Charbinie

~~Konsulat~~

~~Rzeczypospolitej Polskiej~~
w Charbinie

Nr. 124.

**Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charbinie**

<http://rcin.org.pl> *al. 131/53 d.*

**Konsulat
Rzeczypospolitej Polskiej
w Charbinie**

<http://rcin.org.pl>

I
2813